



**KARIN
FOSSUM**

**OGIEŃ
PIEKIELNY**

PRZEKŁAD JOANNA BARBARA BERNAT



**KARIN
FOSSUM**

**OGIEŃ
PIEKIELNY**

PRZEKŁAD JOANNA BARBARA BERNAT



Tytuł oryginału: *Helvetesilden*

Przekład: Joanna Barbara Bernat

Copyright © Karin Fossum, 2024

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2024

Projekt graficzny okładki: Henriette Mørk

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Magdalena Bugalska

ISBN 978-87-0238-062-0

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Najdroższemu Finnowi – dziękuję.

Piąty lipca 2005, upał

Kobiety i dzieci smażyły się w słońcu, mężczyźni rozsądnie trzymali się w cieniu, z opuszczonymi na oczy rondami kapeluszy. Na polach w pobliżu gospodarstwa Skarven, w małej dolinie z kępą czarnych świerków, stała stara przyczepa kempingowa marki Fendt z rdzą wokół okien. W jednym z nich, pod postrzępioną firanką, leżały martwe owady, uwięzione w nylonowej siatce pomiędzy gęstymi, cienkimi nitkami i białą koronką. Tuż za drzwiami leżało dziecko, cztero- lub pięcioletnie. A na wąskiej kanapie pod oknem – dorosła kobieta. Miała szeroką ranę w kącie ust, krew sączyła się po jej brodzie. Inspektor stał w drzwiach, serce mu waliło.

Przyczepa była w fatalnym stanie, czy naprawdę ta dwójka tu mieszkała, matka i dziecko? Nie, nie sądził. Może tylko bawili się w coś. Na spacerze przez pola w piękną pogodę spostrzegli zardzewiały mały domek. Tej nocy będziemy spać na dworze, w przyczepie!

Na zachodzie leżała miejscowość Geirastadir, na wschodzie Haugane, a tutaj, w czarnej kępie drzew, matka z dzieckiem. Sejer wszedł do środka. Adrenalina wysuszyła mu wargi. Przekroczył ciało chłopca, uważając, by nie wdepnąć w krew, zauważył nóż leżący na podłodze przed szafką kuchenną. Nóż z drewnianą rękojeścią i mosiężnymi nitami oraz długim, wąskim ostrzem, używany do filetowania ryb lub mięsa. Na błyszczącym ostrzu strużki krwi, spłynęła silnym strumieniem, śmierdząca zgnilizna. Na blacie torebka z czerwonym portfelem o wielu przegródkach. Plecak, niedojedzona pizza, trochę ubrań na półce. W portfelu tysiąc koron w gotówce. Nie był to więc rabunek, niczego takiego zresztą nie podejrzewał. Zawsze jest jakiś związek, pomyślał, powód, motyw. Jakaś sprawa z przeszłości. Ten, kto zabił matkę i dziecko, wiedział, kim są. I gdzie ich spotkać. Szukał swoich ofiar, przeszedł przez pola i znalazł tę kryjówkę. Jeśli faktycznie się tu ukrywali. Zostać osaczonym w tak ciasnej przestrzeni, z rdzą, wilgocią i nieprzyjemnym zapachem, to kiepska sprawa. Dach przeciekał, no i te martwe owady. Dziecko miało na sobie dres w norweskich barwach, czerwono-niebiesko-biały, nie mógł na oko określić, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

Leżało na podłodze na plecach, z wyciągniętymi ramionami, jakby odepchnięte od drzwi. Kilka jasnych loków przylgnęło do czoła. Głowa była odchylona do tyłu, szyja cienka i biała. Sejer otworzył portfel, który przed chwilą znalazł, wyjął z niego prawo jazdy. Bonnie Hayden, tak nazywała się matka. Dziecko pozostawało jednak bezimienne.

– Nie – rzucił do pozostałych, którzy chcieli wejść. – Niczego nie dotykać. Od zdarzenia nie minęło wiele czasu, krew jeszcze nie wyschła. Zadzwoń do Snorrasona, do Instytutu Medycyny Sądowej, i poproś, by natychmiast tu przyjechał.

Musiał wyjść na świeże powietrze, postął chwilę i odetchnął. Kilka rzeczy zauważył krystalicznie jasno: że ptaki wciąż śpiewają, że świerki falują na wietrze swymi czarnymi spódnicami, że drozd na polu znalazł kawałek ziemi, w której teraz grzebał i dziobał. Policjanci odgradzili spory obszar dookoła przyczepy. Plastikowe taśmy drżały na wietrze jak kolorowe wstążki na prezentach.

Szli teraz suchą ścieżką w górę w kierunku Geirastadir. Nie rozmawiali, rzucali tylko krótkie, ciche uwagi. To tutaj poszedł, tędy uciekł po przestępstwie.

– Jedna z ofiar musiała widzieć śmierć drugiej – stwierdził Sejer, zwracając się do młodszego kolegi. Czy dziecko było świadkiem zabójstwa matki, czy też odwrotnie? Nie wiedział, która wersja byłaby straszniejsza. Tej dwójce przydarzyło się najgorsze. Na tym odludziu pojawił się diabeł i ich zasztyletował. Było też w tych morderstwach coś umyślnego, zaplanowanego, nie mógł na to spojrzeć w inny sposób. Boże, mam nadzieję, że nie męczyci się długo, pomyślał. Zamienił kilka słów z rolnikiem, który ich znalazł. Stał przestraszony w odpowiedniej odległości, nie mógł ani podejść, ani wrócić, nie chciał iść do domu, nie chciał też zostać. To on był właścicielem przyczepy, od wielu lat tkwiła tu nieużywana, rdzewiała pośród drzew.

– Będziemy się z panem jeszcze kontaktować – uprzedził Konrad Sejer. – Czy widział pan kogoś w okolicy w ciągu ostatnich kilku dni? Kogoś obcego?

– Nie, nie widziałem żywej duszy. Pracują u mnie w gospodarstwie Polacy – dodał – wiedzieli o matce i chłopcu, o tym, że nocują w przyczepie. To była tylko jedna noc, ona przyjechała tu wczoraj. Nie chce mi się wierzyć, że którykolwiek z nich jest w to zamieszany. Jeśli tak jest, nie pogodzę się z tym, to przecież moi ludzie.

– Na podłodze przyczepy leży nóż – powiedział Sejer – widział go pan?

Rolnik wstrzymał oddech.

– Ledwie.

– Chciałbym, żeby się mu pan bliżej przyjrzał. Może zauważył go pan już gdzieś wcześniej.

– Muszę tam znowu zaglądnąć? – spytał wyraźnie niechętny.

– Tak.

Wszedł po dwóch stopniach i zajrzał do środka.

– To nie nasz – stwierdził. – Mogę już iść?

– Tak, przyjdziemy później. Proszę nie rozmawiać z prasą.

Sejer miał już wrócić do środka, aby kontynuować oględziny, kiedy zauważył coś w trawie obok wąskich drzwi. Przewrócona patera. Ciasto zsunęło się z krawędzi i leżało na ziemi. Było nietknięte. Zdziwił się i dopilnował, by zostało sfotografowane. Tłuste wrony bez wątpienia rzuciłyby się na nie i pożarły je w krótkim czasie albo zabrały ze sobą. Technicy robili zdjęcia przykucnięci i skuleni w ciasnej przyczepie. Na linoleum znaleźli kilka krwawych odcisków dużej podeszwy, większość była niewyraźna lub niekompletna, tylko jeden zachował się w całości. Sejer stapał ostrożnie między trupami. Ostry zapach krwi drażnił mu nos, umysł miał jednak czysty. Przez okno zobaczył gęstą kępę krzewów pełną dojrzałych malin.

*

Grudzień 2004

Tuż przed Bożym Narodzeniem w końcu spadł śnieg.

– Naprawdę musisz wychodzić? – narzekał Eddie. – Patrz, jaka śnieżycą! W radiu mówili, że jest ślisko, trudne warunki do jazdy, i radzili, żeby zostać w domu i patrzeć przez okno na padający śnieg! Prawie nic nie widać!

Mass położyła mu dłoń na ramieniu.

– Eddie – powiedziała łagodnie, choć stanowczo – mam opony z kolcami. Jasne, że będę jechać ostrożnie, będę się wlec jak żółw. Chcę wrócić do domu, do ciebie,

cała i zdrowa. Ale muszę jechać do sklepu, potrzebujemy jedzenia. A może zamierzasz głodować?

Na myśl o głodzie Eddie pokręcił ciężką głową.

– Zostaniesz w domu i poczekasz, razem z Shibą – zdecydowała. – Co chcesz ze sklepu? Na pewno jesteś głodny.

Eddie Malthe wierzchem dłoni wytarł nos. Sylwetką przypominał gigantyczną gruszkę, łydki miał cienkie i patykowate, a stopy w grubych butach, które zawsze nosił, były wąskie przy pięcie, a w kierunku palców znacznie się rozszerzały – przypominały łapy gęsi. Pięści miał duże i białe, palce krótkie i grube.

– Ślimaczki cynamonowe – zażądał stanowczo.

– Ślimaczki cynamonowe, tak jest. Dobra, jadę. Bądź miły dla Shiby, nie ciągnij jej za ogon. Wiem, że tak robisz, kiedy jesteś sam w domu.

– Obiecuję, że nie będę – powiedział Eddie, chociaż to właśnie planował. Kiedy chwycił ją za ogon, zawsze zaczynała się wiercić, długimi pazurami drapała podłogę, by uciec. – Pamiętaj o pasach!

Matka wkładała właśnie płaszcz.

– Nie zapomnij telefonu – kontynuował. – Zadzwoń, jeśli zjedziesz z drogi, zadzwoń na sto dwanaście. O ile nie stracisz przytomności, rzecz jasna.

– Daj już spokój – poprosiła. – Usiądź sobie na kanapie, ja wrócę najpóźniej za czterdzieści pięć minut.

Eddie spojrzał na matkę.

– Kiedy wychodzisz, w całym domu robi się zimno – narzekał. – Wiesz, jak to jest. Nie zapomnij o ślimaczkach cynamonowych. Jeśli ich nie będzie, kup mi ciastka. Cytrynowe markizy.

Patrzył zboląłym wzrokiem przez okno, szyby były błyszczące i czyste, matka pilnowała porządku. Zobaczył, jak samochód wyjeżdża tyłem z garażu i skręca na główną ulicę. Śnieżycą zelżała, śnieg zmieciony przez silny wiatr utworzył zaspę przy drodze. Cicho modlił się, by nic złego się nie stało. Żeby mama wróciła do domu w jednym kawałku, z mlekiem i ciastkami. Pies spał przed żeliwnym kominkiem z głową opartą na łapach. Podszedł i złapał go mocno za ogon, jak zawsze. Zwierzak zaczął skomleć, przez chwilę biegł w miejscu, aż w końcu

wyrwał się i schronił w kuchni. Eddie usiadł na kanapie, wziął gazetę i otworzył ją na przedostatniej stronie, na której znajdowała się krzyżówka. Zwykle dawał radę ją rozwiązać. Nie brakowało mu przecież rozumu. Znalazł ołówek i zaczął czytać. Pionowo, pomyślał, „głośny sukces” na sześć liter. Wpisał w kratki słowo „furora”.

Pies leżał nieruchomo w kącie kuchni, kominek grzał. Ośmioletnia labradorka miała sporą nadwagę i nie zostało jej wiele czasu, tak twierdziła matka. Jej ciało było pełne guzów, czuł je przez żółte futro, ale nie mieli ubezpieczenia ani funduszy na operację.

– Życie po prostu musi się toczyć swoim torem – mawiała matka. – Wiesz, nic nie trwa wiecznie.

– Wiem – odpowiadał wtedy Eddie. Potem zawsze myślał o śmierci matki, bo przecież kiedyś nadejdzie. Chociaż miała ledwie pięćdziesiąt sześć lat, a on sam skończył dwadzieścia jeden, na myśl o końcu robiło mu się gorąco z przerażenia. Często musiał kłaść rękę na sercu, aby je uspokoić. „Król na szachownicy” – przeczytał, miał już pierwszą literę z furory, było to „f”. Wpisał w kwadraty słowo „figura”. Zawsze zaczynał od najłatwiejszych haseł. Potem spojrzął na zegar tykający na ścianie. Za dwadzieścia minut powinna wrócić matka, ze ślimaczkami cynamonowymi. Czuł już ich smak w ustach. Oby tylko były w sklepie. Oby tylko były świeże i pyszne! „Jad”, to może być trucizna. Albo toksyna. Na siedem liter, więc to drugie, miał teraz ostatnią literę z hasła „krzyk opon”. Kończyło się na „k”. Tu musiał być „pisk”. Kolejne hasła były już trudniejsze, zafundował więc sobie przerwę. Zbliżył się do okna, wpatrywał się w zaspę śnieżną, prosząc Jezusa o opiekę, o ile oczywiście istniał. Pozwól mamie przetrwać burzę. Siedzę tu sam, czekając na słodycze. Jesteśmy tylko we dwójkę. Musisz się nami opiekować!

Znów poszedł do kuchni, do Shiby, pociągnął ją mocno za ogon i zaśmiał się, kiedy podskoczyła i pobiegła z powrotem do salonu. Wczołgała się pod kanapę, sapiąc głośno.

– Ty tchórze – rechotał – czemu mnie nie ugryziesz? Nie masz zębów w pysku?

Potem znów usiadł nad krzyżówką, ssąc ołówek. Słowo „koniec” na cztery litery wytrąciło go z równowagi.

Minęło czterdzieści pięć minut, a matki nie było. Zmartwiony chwycił komórkę i grubymi palcami wybrał jej numer. Usłyszał jednak tylko oznajmiający głos: „Osoba, do której dzwonisz, ma wyłączony telefon bądź jest niedostępna”. Znowu podszedł do okna i wgapił się w śnieżycę, była gęsta i biała, słońce ledwo się przez nią przebijało. Wiedział, że później matka każe mu odśnieżać, czego szczerze nienawidził. Dla pewności zadzwonił jeszcze raz, ale usłyszał ten sam beznamienny komunikat. Minęło pięćdziesiąt minut. Stało się, pomyślał z rozpaczą, zjechała z drogi i uderzyła w drzewo. Teraz siedzi z nosem w poduszce powietrznej. Przez chwilę zastanawiał się, czy włożyć kurtkę i ruszyć na poszukiwania. Wreszcie, tak stojąc przy oknie, zaciskając pięści z niepokoju, zobaczył na horyzoncie jej samochód. Światła skierowały się w jego stronę, wybiegł do korytarza i dalej na schody.

– Powiedziałaś czterdzieści pięć minut – poskarżył się – przestraszyłaś mnie.

– Eddie, nie dramatyzuj. Nie mogę odebrać telefonu, kiedy prowadzę, byłam już prawie w domu.

– Były ślimaczki?

– Tak, kupiłam dwa opakowania. Masz, smacznego. Wstaw mleko do lodówki, ja pójdę odśnieżyć schody. Jak już zjesz, musisz wyjść i odśnieżyć podjazd.

Odliczyła siedem ślimaczków i położyła je na talerzu.

– Resztę dostaniesz wieczorem. Bądźmy szczerzy, jesteś dosyć gruby. Wiem, że duży z ciebie chłopak, ale sto trzydzieści kilo to naprawdę za wiele. Nadwaga jest niebezpieczna, Eddie. Mleko i ciastka osadzają się w żyłach jak glina. A potem tak powstała zatyczka odrywa się i wędruje do serca. A nawet do mózgu i wtedy koniec z krzyżówkami.

– No dobra, ale dostanę ostatnie ślimaczki wieczorem, prawda? – upewnił się.

– Tak, obiecuję. Wiesz, muszę być surowa. Ktoś musi się tobą opiekować, co do tego możemy się zgodzić.

– Powinniśmy iść do CC – odparł na to – potrzebuję ubrań. Chcę tę bluzę, którą widziałem w gazecie. *I love New York*.

W nocy śniły mu się kurczaki. Żółte, puszyste i miękkie, biegały na cienkich nóżkach. Podnosił je i wrzucał do garnka, z czosnkiem i masłem. Śnił, że pływały

tam i bulgotały, piszcząc i szarpiąc się we wrzącej wodzie. Obudził się gwałtownie, kiedy sen się skończył. Leżąc, nasłuchiwał odgłosów z pokoju matki. Czasami mówiła przez sen, innym razem jęczała, ale najczęściej było cicho przez całą noc. Nie lubił, gdy matka spała. Kiedy nie było jej przy nim, kiedy nie odpowiadała na wezwanie, tylko leżała tam i oddychała w ciemności, poza jego zasięgiem.

Zawsze to on budził się pierwszy i zostawał w łóżku, słuchając i czekając, aż matka wstanie. Leżał w ciszy, póki nie usłyszał szumu spuszczonej toalety. Dopiero wtedy wyskoczył z łóżka, wszedł do salonu, odsunął zasłonę z okna i wpatrywał się w nowy dzień, który rozciągał się przed nim. Następnie pojawiał się w kuchni, z jedną ręką w majtkach, drugą zaczął grzebać w chlebaku. Ukroił dwie kromki chleba i posmarował je grubą warstwą masła, sięgnął po cukiernicę. Strzepnął kilka ziarenek z gładkiej ceraty. Matka wyszła z łazienki i zobaczyła go tam, przy stole, z chlebem i cukrem.

– Zawsze to samo, ile jeszcze mam mówić, że trzeba umyć ręce przed jedzeniem, nie byłeś nawet w łazience. Te ręce były wszędzie.

Eddie miał swoje zdanie na ten temat. Wiedział, że często zasypiała z ręką między spoconymi udami, a czasami w nocy słyszał jej jęki.

– Kurwa, nie jestem przecież idiotą – wymamrotał do siebie. Chociaż matka gonila go do łazienki umyć ręce, to on miał ostatnie słowo. Kobieta wyjrzała przez okno na gęsty śnieg.

– Pojedziemy dzisiaj autobusem – spojrzała na syna – nie ma różnicy. Trzeba cię zabrać wreszcie do fryzjera, wyglądasz jak dziewczyna.

Eddie prychnął. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a jego głos był szorstki jak tarka. Z pewnością nie wyglądał na dziewczynę, jak mogła powiedzieć coś takiego. Gęste, brązowe i miękkie włosy rzeczywiście sięgały mu karku, ale nie lubił, gdy nożyczki zbliżały się do jego uszu.

Wkrótce siedziała na miejscu obok niego, zaciskając dłonie na brązowej torebce.

– Jedziemy do Dressmanna – stwierdziła stanowczo – tam mają bardzo duże rozmiary. Musisz przestać sypać cukier na kanapki, możesz dostać cukrzycy.

Nie odpowiedział na to. Siedział obok niej, wyczuwał zapach mydła. Lubiał kołysanie autobusu, niskie, senne dudnienie silnika, zapach nowych, czerwonych

pluszowych siedzeń. Zapach obcych ludzi, którymi nie musiał się przejmować.

Dressmann był na drugim piętrze centrum handlowego, pojechali ruchomymi schodami. Przed sklepem stały stojaki z towarem, było tu trochę starszych i przecenionych rzeczy.

– Poproszę spodnie i bluzę – powiedział głośno i wyraźnie do młodej dziewczyny, która podeszła ich obsłużyć. – Spodnie muszą być czarne. Mają mieć wiele kieszeni z przodu i z tyłu oraz wzdłuż nogawek. Nie džinsy, to musi być inny materiał. Sztywne ubrania są obrzydliwe. Rozmiar XL, jestem dużym chłopcem.

Uśmiechała się, odsłaniając białe zęby. Jej skóra była ciemna jak czekolada, a włosy czarne.

– Nie jesteś z Norwegii – stwierdził Eddie stanowczo.

– Ależ jestem – odparła natychmiast. – Mój ojciec jest Etiopczykiem, ale urodziłam się i wychowałam w Norwegii. Proszę, tutaj mam spodnie z mnóstwem kieszeni. Sześć z przodu i dwie z tyłu, to nieźle, prawda?

– Nie są czarne. – Eddie nie był zadowolony.

– Nie, ale ze wszystkiego, co mamy, najlepiej spełniają twoje wymagania. W twoim rozmiarze. Jeśli kieszenie są takie istotne. Mam też inne czarne spodnie, tylko to džinsy. A džinsów przecież nie chcesz.

– Dobrze – powiedział Eddie – dziś pojedę do domu w ciemnoniebieskich spodniach. Niesamowite, że nie można spełnić takich skromnych życzeń. Potrzebuję też bluzy – dodał – też ma być czarna. Czy kiedykolwiek byłaś w Etiopii w poszukiwaniu swoich korzeni? – zapytał z ciekawością.

Matka wkroczyła zirytowana.

– Nie przeszkadzaj pani w pracy. Chodź do przymierzalni, musisz sprawdzić te spodnie. W międzyczasie poszukam bluzy. Nie pytaj ludzi, skąd pochodzą, to nie twoja sprawa. Czy podobałoby ci się, gdyby ktoś pytał o twoje pochodzenie?

– Tak, bardzo by mi się to podobało – odparł.

Przesunął zasłonę i wszedł do ciasnej przymierzalni, zdjął stare spodnie i włożył nowe. Matka przysłała z bluzą, znalazła na wieszaku taką z napisem „Nowy Jork”, ale Eddie nie chciał jej przymierzać, widział, że pasuje. Mass zapłaciła siedemset dwadzieścia koron, po czym wyszli ze sklepu, on niósł torbę.

Stali przed ladą w kawiarni Christiania na drugim piętrze.

– Możesz zjeść kanapkę – uznała Mass – i ciasto. Ja wezmę gofra z dżemem. Eddie, nie pytaj obcokrajowców, skąd są.

– Etiopia jest ładna – tłumaczył. – Nie ma się czego wstydić.

Usiedli przy stoliku najbliższym okna. Eddie wgniał napoleonkę w talerz, próbując rozdzielić wierzch na małe kawałki.

– Pamiętasz, jak wróciliśmy z Las Palmas – spytał – czy pamiętasz tego murzyna, który spadł ze schodów ruchomych na Gardermoen? Złamał obie nogi. W kilku miejscach. To najgorsze, co w życiu widziałem.

– Nie wolno mówić „murzyn” – pouczyła go Mass. – Dlaczego teraz o nim pomyślałeś?

– Bo my teraz musimy zjechać schodami ruchomymi.

– Uważaj, trzymaj się poręczy. Ja wezmę torby.

Oblizwał wargi.

– Dziś wieczorem będę oglądał program *Tore na tropie* – powiedział. – Wiesz, dużo myślałem o babci i dziadku. I wszystkich innych ze strony taty. Skąd się wzięli. I kto był przed nimi. Jak żyli. Co robili.

Mass napiła się kawy.

– Oni nie żyją – przekonywała – to nie ma znaczenia. Zostaliśmy tylko ty i ja i myślę, że dobrze sobie radzimy. – Ugryzła gofra. – Myślę, że powinieneś znaleźć sobie dziewczynę. Kiedyś mnie zabraknie.

Eddie miał przerażoną minę.

– Po co mi dziewczyna, przecież mam ciebie. Było ci smutno, kiedy tata odszedł?

– Nie – odparła – niezupełnie, byłam na to przygotowana. Był bawidamkiem, Eddie, nie będę owijać w bawełnę. Mówiłam ci, że znalazł sobie inną, oczywiście była dużo młodsza ode mnie, tacy już są mężczyźni. Ale potem zachorował, umarł w dziewięćdziesiątym drugim, więc ta druga też się nim nie nacieszyła. Nie wiem, czy mieli dzieci, nie ma co do tego pewności. Już o tym rozmawialiśmy, Eddie, nie mam nic więcej do dodania.

– Wygląda na to, że twoim zdaniem wszystko było w porządku. – Eddie zdawał się urażony. – Nie myślałaś o mnie?

– Oczywiście, że myślałam. Ale nie chciałam też, żebyś dorastał z ojcem, który nas nie chciał.

Później tego popołudnia Eddie siedział na kanapie z gazetą. Lubił czytać nekrologi, były dla niego jak cukierki, starsze panie pachnące kamforą i małe dzieci słodkie jak karmelki. W niektórych przypadkach śmierć była mocna, jak lukrecja z pieprzem. Morderstwa lub samobójstwa i ludzie, którzy przegrali walkę z rakiem. Bez reszty pochłonęły go rozmyślenia. Potem wrócił do krzyżówki. „Korona”. Na pięć liter, ostatnią było „s”. Nie chodzi o koronę królewską ani o markę piwa, bo ją pisze się przez „c”. Było też chyba coś z koroną słońca? Usiadł przy komputerze i ku swojemu zdumieniu znalazł informację, że to także wirus.

– Tak dużo wiem – pomyślał z zadowoleniem. – Ogarniam.

*

Blåkollen, grudzień 2004

Dziecko spało obok niej z mokrym kosmykiem włosów na czole. Czteropółletnie, z jasnymi lokami i małymi białymi rączkami zakończonymi paznokciami jak z masy perłowej.

– Simon – wyszeptała – nie śpisz? Zaczął się nowy dzień, musimy wstać.

Wiercił się w łóżku, przewrócił się na bok i chciał dalej spać.

– W takim razie wstanę sama – powiedziała zrezygnowana i postawiła jedną stopę na podłodze. – Zrobię ci owsiankę. Płatki owsiane z masłem i rodzynkami oraz cukrem i cynamonem.

Usłyszała westchnienie, jakby wiadomość o gorącej owsiance przedostała się przez zasłonę snu. Pocałowała go w policzek i poczuła, jaki jest ciepły i puszysty. Potem włożyła ciepły sweter, przeszła przez zimną podłogę do kuchni. Wlała mleko do garnka i dodała płatki, posypała łyżeczką soli. Na koniec garść rodzynek. Potem wróciła do sypialni i podniosła małego z łóżka. Sennie przewrócił oczami i objął ją za szyję. Ważył tyle co nic, był szczupłym chłopcem. Zniosła go do łazienki i pomogła mu się ubrać, opierał się o umywalkę. Potem usiadł na wysokim

krześle przy kuchennym stole. Jak zawsze zupełnie stracił panowanie nad sobą, nie chciał iść do przedszkola, krzyczał i uderzał łyżką w stół, aż owsianka się rozchlapała. Bonnie zalała się łzami.

– Ale będzie tak miło – powiedziała z zapalem. – Może pobawisz się z Martą. Może dostaniesz kakao z piankami – dodała, głaszcząc go po policzku. Nadal walił łyżką w stół. Chciał tylko być z matką, a przede wszystkim wrócić do łóżka i ciepłej kołdry. Bonnie dosłodziła mu owsiankę i dołała mleka.

– Przyjdę po ciebie po południu i pobawimy się razem. Możemy zrobić namiot z narzuty i krzesel, możesz zamieszkać sobie w namiocie, a ja przyniosę ci obiad, to będzie miłe, prawda?

Każde z dzieci w przedszkolu miało swój symbol, na szafce Simona znalazł się ślimak. Ślimak niósł swój domek na grzbiecie, czułki sterczały jak dwie antenki. Chłopiec opadł ciężko na sosnową ławkę, podczas gdy matka ściągnęła mu kurtkę, czapkę, szalik, rękawiczki i ciepłe buty. Trochę się złamał, nie miał już siły protestować, wiedział, że mama musi iść. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do innych dzieci, które tłoczyły się w sali. To nie w porządku, pomyślała Bonnie, zostawiać go innym. Znikać na cały dzień. Powinniśmy być razem przez całą dobę. Dziecko blisko jej ciała, na wyciągnięcie ręki, by mogła je od razu pocieszyć, gdy coś się stanie. Spędzali razem ledwie trzy godziny wieczorem. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, ale musiała pracować. Była pomocą domową osób starszych, sprzątała, szorowała i polerowała, trzepała dywany i podawała jedzenie. Dziś jej pierwszą klientką była Erna, co stanowiło wyzwanie.

– Dzień dobry, Simon – powiedziała Kaja, dyrektorka przedszkola. – Co chciałbyś dzisiaj robić?

Nie odpowiedział. Nie był przyzwyczajony do spełniania jego życzeń, powoli przeszedł przez salę i usiadł na dużej narożnej kanapie, znalazł książeczkę z obrazkami. Zaczął przewracać strony cienkimi palcami. Potrafił przeczytać kilka słów, których nauczyła go matka: „lód”, „małpa”, a także swoje imię. Zobaczył plecy matki znikające za drzwiami, a chwilę później podbiegł do okna. Tylne światła zniknęły za bramą i dalej na drodze. Teraz musiał czekać dziewięć godzin. Powoli przekartkował książkę. Kaja usiadła obok niego.

– Dzisiaj masz dyżur w kuchni – powiedziała z uśmiechem – będzie miło, prawda? Upieczemy bułki. Możesz zagnieść ciasto.

Simon na to też nie odpowiedział. Widok biednego, nieszczęśliwego chłopczyka, który miał zaledwie cztery i pół roku, prawie załamał Kaję. Nikt nie powinien zostawiać płaczącego dziecka. Wszystko było nie tak, współczuła Bonnie Hayden. Potem próbowała myśleć o wszystkim, co dobre. Że nigdy nie głodował ani nie marzył, że był kochanym dzieckiem, nie wszyscy mieli takie szczęście. Bonnie siedziała chwilę w samochodzie, żeby się pozbierać. Ten sam ból każdego ranka, te same wyrzuty sumienia, które musiała tłumić. Wyjechała przez bramę w drodze do domu Erny, niezwykle wymagającej osoby. Bała się tego spotkania. Przeklinała własne życie, było tak żałosne, codzienna walka z płaczącym dzieckiem. Bieda i rozpacz związane z samodzielnym rodzicielstwem. Inni byli o wiele szczęśliwsi od niej, byli przeschczęśliwi, mieli plany i marzenia dotyczące siebie i dzieci. Często myślała o Simonie, o tym, że może mu się nie udać, że nigdy mu się nic nie uda i społeczeństwo go odrzuci. Życie było niekończącą się serią obowiązków i wymagań. Musiał sobie radzić w przedszkolu, musiał znaleźć przyjaciół. Dogadać się z personelem i innymi osobami. Potem musiał dobrze sobie radzić w szkole, w nauce i nawiązywaniu relacji. W końcu dorośnie, będzie musiał znaleźć pracę, najlepiej dobrze płatną, bezpieczną. Idealnie, gdyby miał dziewczynę, najlepiej, gdyby mieli dzieci. A jeśli nie zdecydują się na dzieci, będą musieli wyjaśniać dlaczego. „Nie chcemy” albo „Nie możemy”. A gdy dzieci się urodzą, będą musieli sobie znów radzić z niekończącym się oczekiwaniem społeczeństwa. Mój mały Simon, pomyślała z piekącymi oczami, jak to będzie? Samochód zgasł, kiedy wrzuciła czwarty bieg, w rurze wydechowej była dziura. Mógł się zepsuć w każdej chwili, a gdyby tak się stało, nie miałaby za co kupić nowego. Bez samochodu nie mogłaby już pracować jako pomoc domowa. Serce podskoczyło jej do gardła na samą tę myśl. Zacisnęła zęby i dodała gazu. Wiedziała, że Erna siedzi przy oknie i wypatruje jej jak jastrzęb.

Jej profil był jak wyrzeźbiony w kamieniu. Bonnie zobaczyła przez szybę ostry grzbiet nosa. Jak zwykle nie spieszyła się z otwarciem, wpuszczała ją jakby z łaską, zawsze musiała zaznaczyć swoją obecność w ten sposób. Gdy tylko Bonnie znalazła się w środku, poczuła zapach starej osoby, która nie była już w stanie o siebie zadbać.

– Zimno dzisiaj – poskarżyła się Erna – musisz napalić. Tak bardzo marzną mi stopy, a tobie?

– Dziękuję, że pytasz – odparła Bonnie. – Simon był prawie siny, gdy doszliśmy do przedszkola.

– Te dzisiejsze matki, porzucacie dzieci – skomentowała Erna z przekąsem. – My tak nie robiłyśmy, cały czas byłyśmy z nimi. Dlaczego tak sobie urządziłaś życie, bez mężczyzny? Może nie dostał tego, czego potrzebował? Wiesz, jacy oni są.

– Odszedł – odpowiedziała Bonnie z rozpaczą – tłumaczyłam to już. Poderwał kogoś znacznie młodszego, nic nie mogłam poradzić. Musiałabyś go zobaczyć, miał kompletną obsesję na punkcie tej drugiej. Nie chcę szukać nikogo nowego, już mi wystarczy.

Wstała i poszła do sypialni Erny. W kącie znajdował się kosz ze skarpetkami, nie były ułożone parami. Bonnie czuła zmęczenie na sam ich widok. Przez chwilę tkwiła przy łóżku ze zwieszoną głową. Gdyby tylko mogła paść na miękką materac. Głowa bolała ją ze zmęczenia, nie mogła znieść myśli o sprzątaniu, mimo to odwróciła się z koszykiem skarpetek w ramionach. Wychodząc, spojrzała na ścianę, żeby jak zwykle przyjrzeć się wiszącej tam fotografii. To była Erna na bierzmowaniu, w sukni do ziemi. Za każdym razem patrzyła na to zdjęcie zdumiona. Czy to naprawdę Erna, trudno było w to uwierzyć – ta piękna dziewczyna o olśniewającym uśmiechu. Wróciła do salonu, wzięła głęboki oddech i zabrała się do pracy. Starsza kobieta siedziała na fotelu z kocem na kolanach, podążała za nią wzrokiem jak jastrząb, jej ostre spojrzenie dźgało Bonnie w plecy. Wzięła skarpetkę z koszyka, pochyliła się, podniosła niewielki dębowy stolik kawowy i nawlekła grubą skarpetę na jego nogę. Potem drugą, trzecią i czwartą. Następnie zajęła się fotelami, one też były ciężkie jak ołów. Na drugim końcu salonu Erna miała ogromny stół jadalny z sześcioma krzesłami, również wykonanymi z litego dębu. Wkrótce wszystkie meble Erny miały białe skarpety z czerwono-niebieskim paskiem. Potem musiała przyciągnąć odkurzacz marki Nilfisk. Drewniane meble były chronione zarówno przed ssawką odkurzacza, jak i długą miotłą, które w przeciwnym razie mogłyby o nie uderzyć, porysować je. Erna bała się zużycia, skarpetki były stałym rytuałem. Przez cały czas podążała

wzrokiem za Bonnie. Dłonie leżały jak szpony na rąbku sukni, a chuda twarz przechylała się z boku na bok jak u drapieżnego ptaka.

– Trzeba dzisiaj umyć okna – stwierdziła – są na nich smugi. Czy nigdy nie nauczysz się używać ściągaczki?

– Jest za zimno, Erno – odpowiedziała Bonnie głośno przez wycie odkurzacza. Jej głos zdradzał znużenie.

Ale Erna знаła na to radę.

– Dodaj trochę spirytusu do wody – rozkazała – jest w szafce.

Bonnie nie miała siły na odpowiedź. Prowadziła ssawkę odkurzacza między nogami stołu, bojąc się zbliżyć do szlachetnego drewna. Gdyby je porysowała, Erna zadzwoniłaby do biura ze skargą, twierdząc, że Bonnie jest nieostrożna i lekkomyślna. Nie żeby Ragnhild słuchała tego wszystkiego, ale i tak było to nie do zniesienia. Radio Erny było włączone, słuchała wiadomości. Urzędnikowi w urzędzie pracy w Oslo grożono śmiercią.

– To musi być cudzoziemiec – orzekła Erna – pewnie Afrykanin. Na tych ludzi nie ma rady, banda pasożytów.

Bonnie wyprostowała się, by dać odpocząć plecom. Sama bywała w tym urzędzie, pobierała numerek i stała w kolejce, kiedy nie miała pracy i otrzymywała zasiłek dla bezrobotnych. Zauważyła, że wielu petentów nie jest z Norwegii, i przyszło jej do głowy kilka gorzkich myśli, z których nie była dumna. Znów pochyliła się nad odkurzaczem. Simonie, gdzie teraz jesteś? Siedzisz w małym domku w kąciku zabaw czy na kanapie z książką? A może jeździsz na sankach z innymi? Nie płacz, bo zaraz będę, tylko muszę posprzątać. Codziennie muszę posprzątać. I może jeśli będę ciężko pracować i oszczędzać tyle, ile się da, będziemy mogli polecieć na wakacje samolotem. Na południe. Będziesz się kąpać w ciepłej wodzie i bawić w sypkim piasku.

– Mam nadzieję, że ten Afrykanin zostanie odesłany tam, skąd przyszedł – oświadczyła Erna ze swojego fotela.

– Jeśli jest Afrykaninem – odparła Bonnie. – Norwegowie też grożą ludziom, kiedy uznają, że mają ku temu powód.

Przesunęła lampę podłogową i kosz z gazetami, od czasu do czasu zerkając na okna. Błyszczały jak lustro. Dodać spirytus do wody, tak, chyba tego nie uniknie. Musiała ustawić drabinkę w śniegu, aby umyć szyby od zewnątrz. Duże okna

w salonie nie dały się otworzyć. Odstawiła odkurzacz na miejsce w składziku, zatrzasnęła drzwi i usiadła na krześle, chcąc się trochę odprężyć. Z radia dobiegały dźwięki organów. Erna zamknęła oczy.

Przyszwał czas na mycie podłóg. Wstała i poszła po wiadro, napełniła je ciepłą wodą, ale nie gorącą, by nie zmatowić dębowego parkietu. Erna bardzo tego pilnowała. Potem zajęła się kuchnią i sypialnią, a na końcu posprzątała łazienkę. Fugi między białymi kafelkami poszarzały i Erna zasugerowała, żeby je wyczyścić szczoteczką do zębów.

Bonnie wytrzepała dywaniki. Wyprała ubrania i zmieniła pościel. Potem siadła przy kuchennym stole i wypolerowała pięcioramienny srebrny świecznik, który Erna kupiła kiedyś w Egipcie. Zgodnie z instrukcją z agencji w ogóle nie miała wykonywać tego rodzaju pracy, ale to było mile widziane zadanie, jakaś zmiana. Mogła siedzieć w spokoju i dać odpocząć plecom. Świecznik lśnił przepięknie. Ale potem musiała balansować na zewnątrz w śniegu przed dużymi oknami, podczas gdy Erna stała w środku i uważnie obserwowała. Nie mogła pozostawić ani jednego śladu po ściągacze, to byłaby katastrofa. Ręce w gumowych rękawiczkach i uszy zmarzły niemiłosiernie. Wreszcie wniosła do domu drabinę i odstawiła ją na miejsce. Podlała kwiaty i wytarła kurz, wyrzuciła stare gazety do kosza, wymieniła przepaloną w kuchni żarówkę, postawiła pięć białych świec na świeżo wyczyszczonym świeczniku. Następnie przejrzała jedzenie w lodówce. Mleko się przeterminowało, podobnie jak ser i wędlina. W końcu opadła na krzesło. Skończyła się połowa dnia pracy, teraz miała jechać do Marie. Tam było dużo łatwiej, miała małe mieszkanie w bloku dla starszych osób. Erna wstała z fotela i dziarsko ruszyła w kierunku sypialni. Bonnie siedziała i czekała, myśląc o Marie. Po chwili Erna wróciła z pudełkiem po butach.

– Weź to ze sobą – powiedziała szorstko – od dawna to tu trzymam. Dostałam to kiedyś pod choinkę. Takie rzeczy nie są mi już potrzebne.

Bonnie spojrzała na pudełko. Sznurek utrzymywał pokrywę na miejscu, było dość lekkie. Nigdy nic nie dostała od Erny, była strasznie skąpa. Czasem zbierała okruszki dla ptaków, to tyle. Ale Bonnie serdecznie podziękowała jej za prezent, pożegnała się, trzymając go w rękach.

Marie siedziała na krześle, a Bonnie ją kąpała.

Na ubranie włożyła foliowy płaszcz, mimo to była mokra jak zawsze. Najtrudniejsze było regulowanie temperatury wody, ponieważ Marie była strasznie wrażliwa. Najpierw trzeba było delikatnie umyć jej stopy. Było za gorąco, potem za zimno, a potem znowu za gorąco, ale w końcu udało im się znaleźć właściwe ustawienie. Później, kiedy chude ciało zostało wytarte ręcznikiem, a Marie usiadła na brzegu łóżka, Bonnie nasmarowała ją balsamem. Stara skóra była tak sucha, że łuszczyła się i odpadała małymi płatkami. Podczas gdy Bonnie ją masowała, Marie siedziała i rozmyślała nad ludzkim złem, jak to miała w zwyczaju. Mężczyzna udusił swoją żonę sznurem. Owinął ją dywanem i wsadził do samochodu, a potem pojechał do kamieniołomu i tam ją porzucił.

– Myślisz, że tu przyjdzie? – zawołała Marie ze strachem.

Bonnie uśmiechnęła się mimowolnie. Doszła do stóp Marie, były małe jak u dziecka.

– Nie, kochana, skąd ten pomysł? Pokłócili się – przekonywała – a ty tego nigdy nie robisz. Poza tym zamkną go w więzieniu, na wiele lat.

– Ale kiedyś wyjdzie. – Marie nie mogła się uspokoić. – I wtedy będzie szukał nowej ofiary. Nie otworzę mu drzwi. Pamiętaj, żeby zadzwonić trzy razy, krótko, żebym wiedziała, że to ty.

*

Simon siedział i wypatrywał jej przez okno.

Bonnie zajechała przed przedszkole, była szczęśliwa, bo teraz mieli być tylko we dwoje, przez cały wieczór i całą noc. Chciała nadrobić wszystko, czego nie zrobili w ciągu dnia, kupiła butelkę piwa imbirowego i paczkę herbatników w kształcie dinozaurów. Przybiegł, kiedy tylko otworzyła drzwi, policzki miał czerwone, był na mrozie przez długi czas. Natychmiast usiadł na miejscu pod ślimakiem, pomogła mu się ubrać.

– Teraz idziemy do domu i robimy namiot. Będzie naprawdę wielki, użyjemy wszystkich prześcieradeł i koców, mam dużo klamerki.

Simon wsiadł do samochodu, zapięła mu pas bezpieczeństwa.

– Masz pozdrowienia od Marie – powiedziała łagodnie. – Nigdy nie pamięta, ile masz lat, myśli, że chodzisz do szkoły.

– Co masz w tym pudełku? – zapytał z zaciekawionym. Bonnie położyła owinięte sznurkiem pudełko po butach na tylnym siedzeniu samochodu. Wsiadła z powrotem i odpaliła opla, a ten ruszył jak zwykle, z rżeniem.

– Nie mam pojęcia, dostałam to od Erny. Jak myślisz, co to jest? Zgadniemy?

Simon sięgnął po pudełko i położył je sobie na kolanach. Potrząsnął nim kilka razy, ale nic nie było słychać.

– To nie buty? – upewnił się.

Bonnie się roześmiała.

– Nie – spojrzała na niego w lusterku – nie mogę nosić butów Erny, ma o wiele większy rozmiar niż ja.

Pomyślała chwilę i skierowała się na ulicę. Najpierw jednak spojrzała w prawo i lewo, by upewnić się, że droga jest wolna.

– Zastanawiałam się, czy to może być wazon albo jakieś filiżanki do kawy, których nie używa. Powiedziała, że dostała to na święta i już tego nie potrzebuje. Że jest za stara.

– Można być za starym na filiżanki do kawy? – zapytał zdziwiony Simon.

– Nie, oczywiście, że nie, faktycznie, nie pomyślałam. Może to czekolada, to jest coś, co starsze panie dostają na gwiazdkę. Jeśli tak jest, to pewnie jest przeterminowana i nie możemy jej zjeść.

– Dostają też kapcie – stwierdził Simon niczym mały dorosły. – Babcia ma kilka par i wszystkie dostała od nas.

– Może to mała torebka – dodała Bonnie po chwili milczenia. – Byłoby miło. Erna nigdzie przecież nie wychodzi. Może pomyślała, że będę mieć z torebki lepszy użytek niż ona.

Simon pochylił się do przodu i chwycił oparcie jej siedzenia.

– Ty też nigdzie nie chodzisz – zauważył.

Bonnie ponownie spojrzała na niego w lusterku.

– Masz rację, też nigdy tego nie robię. Wolę być z tobą.

Kiedy wrócili do domu i zdjęli ubrania w przedpokoju, Bonnie zapytała, czy chciałby najpierw zjeść, czy od razu otworzyć pudełko. Simon zastanowił się chwilę.

– Co na kolację? – spytał.

– Makaron świderki z sosem pomidorowym.

Bonnie położyła pudełko na stole, a Simon usiadł na kanapie z podciągniętymi kolanami. Podniósł karton i nim potrząsnął, nasłuchując.

– Ciekawe, czy to lampa... – zastanawiał się poważnym tonem.

– Musiałaby być bardzo mała – stwierdziła Bonnie. – Ale może to latarka. Rzeczywiście byłaby niepotrzebna Ernie. Chociaż nie, czasem prąd się wyłącza, a ona musi zajrzeć do skrzynki z bezpiecznikami. Wyobrażam sobie, jak potyka się po domu, wpadając na swoje monstrualne meble, przewracając lampy i zdzierając zasłony.

Simon prychnął i roześmiał się głośno.

– Najpierw zjemy, dzięki temu tajemnica stanie się jeszcze ciekawsza. Kto pierwszy do kuchni!

W pośpiechu ciągnął ze sobą stołek, którego potrzebował, by sięgnąć do blatu. Lubił patrzeć, jak mama gotuje, obserwować jej chude palce bez pierścionków.

– Dobrze, trzeba się uczyć. Pewnego dnia dorośniesz i będziesz musiał się wyprowadzić i gotować sobie sam.

Simon stanowczo potrząsnął głową.

– Nie, chcę mieszkać z tobą, nie chcę się przeprowadzać.

Bonnie napełniła rondel wodą i postawiła go na kuchence. Gdy po chwili woda zawrzała, otworzyła torebkę z makaronem i sosem pomidorowym w proszku. Simon dostał kilka suchych kawałków makaronu do zabawy. Ułożył je jeden za drugim na blacie, w długim rzędzie, jak łańcuszek z pereł. Zapytała, co chce przeczytać przed snem.

– *Tam, gdzie żyją dzikie stwory* – odpowiedział szybko.

– Ale czytaliśmy to wczoraj.

– Nie szkodzi, mogę słuchać tej opowieści wiele razy.

Bonnie położyła jedzenie na stole, a Simon usiadł. Przez cały czas wyglądał do salonu, za pudełkiem, które tam stało, tak kuszące, z cienkim sznurkiem. Jadł w pośpiechu, później pomógł matce sprzątać ze stołu i czekał, podczas gdy płukała talerze gorącą wodą i układała je na blacie. W końcu wytarła stół i poszła do salonu. Gdy tylko położyła pudełko na jego kolanach, Simon zaczął szarpać się ze sznurkiem. Erna zawiązała węzeł twardy jak skała, a Bonnie nic a nic mu nie pomogła, musiał radzić sobie sam. Dzięki temu ta cenna chwila trwała dłużej.

– Może to pieniądze – powiedział z nadzieją. Wiedział, że zawsze im ich brakuje.

– Banknoty nic nie ważą – stwierdziła Bonnie – to jest cięższe.

– A monety? Dziesięciokoronówki.

– Nie, wtedy usłyszelibyśmy brzęczenie. Poza tym Erna jest skąpa.

Teraz Bonnie sama zaczęła się niecierpliwić, bardzo rzadko zdarzało się, żeby ktoś dawał jej prezenty. Simonowi udało się w końcu rozwiązać podwójny węzeł. Rzucił sznurek na podłogę, siedział przez chwilę z koniuszkiem języka wystającym z kącika ust.

– Zrobimy fanfary? – zasugerowała Bonnie. – Możesz zdjąć pokrywę.

Przyłożyła dłonie do ust tak, że utworzyły trąbkę. Potem wykonała długą fanfarę i Simon w końcu uniósł wieczko z pudełka. Przez chwilę oboje siedzieli i patrzyli, a mina Simona zdradzała rozczarowanie.

– To tylko gazety. – Odrzucił wieczko na kanapę.

– To znaczy, że to coś, co łatwo stłuc – wyjaśniła Bonnie. – Musisz to odpakować. Bądź ostrożny.

Simon podniósł mały pakunek. Szybko zauważył, że jest ich kilka, i jego ciekawość rozbudziła się na nowo.

– To jakieś durnostojki – stwierdziła Bonnie – ma ich przecież tak dużo.

– Durnostojki?

– Dekoracje. Figurki i takie tam.

Ostrożnie odwinął gazetę, próbując opanować podekscytowanie, i wkrótce siedział z małą butelką na kolanach.

– Perfumy! – wykrzyknęła Bonnie. – Zawsze takie chciałam, ale nie było mnie stać.

Simon podziwiał butelkę. Mama się ucieszyła, więc on też. Wzięła od niego flakonik, odkręciła zakrętkę i podsunęła mu ją pod nos.

– Oscar de la Renta – powiedziała – są bardzo drogie.

– Kim jest Oscar? – zapytał Simon.

– Oscar... to on stworzył te perfumy.

– Ale dlaczego są takie drogie?

– Perfumy są zrobione z kwiatów – wyjaśniła Bonnie – a taka mała butelka wymaga ich bardzo dużo.

– Ten Oscar chodzi po swoim ogrodzie i zbiera kwiaty do wielkiego kosza? Sam je wybiera?

Bonnie się roześmiała.

– Nie – odparła Bonnie ze śmiechem. – Perfumy są produkowane w fabryce. Musisz otworzyć kolejną paczkę, jest ich więcej.

Postawiła perfumy na stole, gdzie błyszcząły w świetle lampy złotą nasadką. Simon wybrał kolejny pakunek. Papier został na podłodze przed kanapą, postanowili posprzątać później.

– Gucci – ucieszyła się Bonnie. – Dawaj, powąchamy.

Najpierw pozwoliła powąchać Simonowi, potem wzięła od niego butelkę, by sama delektować się zapachem. Ta butelka była inna, ale też była bardzo piękna, postawiła ją obok Oscara de la Renty. Trzecia miała kształt kobiecego ciała. Tam, gdzie powinna być głowa, umieszczono korek. Powąchali po kolei. Czwarta była mała i okrągła, wielkości mniej więcej piłki tenisowej. Wreszcie została tylko jedna. Była prosta, kwadratowa i nudna, Simon obracał ją w dłoni, uważał, że pozostałe były o wiele ładniejsze. Ale Bonnie klasnęła w dłonie w dzikim podnieceniu.

– Czegoś takiego nigdy nie widziałam! – wykrzyknęła. – Te są najwspanialsze, to Chanel numer pięć.

– Czy jest w nich dużo kwiatów? – zapytał Simon.

– Tak, mnóstwo kwiatów. Mówię ci, Simonie, to najsłynniejsze perfumy na świecie. Używają ich wszystkie gwiazdy filmowe.

Nagle ukryła twarz w dłoniach i zaczęła pociągać nosem. Simon się przestraszył. Wyjął butelkę z jej rąk i postawił obok pozostałych. Nie rozumiał, dlaczego zaczęła

plakać, przed chwilą była taka szczęśliwa. Otarła łzy i pogłaskała go po policzku.

– Jestem po prostu taka wzruszona – wyjaśniła. – Nigdy bym nie pomyślała, że Erna mi coś podaruje.

Odwróciła się i zaczęła oglądać butelki.

– Jutro ty też dostaniesz prezent, pójdziemy do sklepu z zabawkami.

Simon klasnął w dłonie.

– Ale czy nas na to stać? – upewnił się.

– Tak, jutro będzie nas stać. Ja dostałam prezent, więc tobie też się należy. Teraz użyję tylko kropli Chanel numer pięć.

Odkręciła kwadratową zakrętkę z butelki, zwilżyła palec wskazujący, po czym lewy nadgarstek.

– Dlaczego nakładasz je na rękę?

Bonnie odstawiła butelkę i wyjaśniła.

– Patrz, tutaj skóra jest bardzo cienka. A pod nią jest grube naczynie krwionośne, dlatego jest w tym miejscu bardzo ciepła. Podgrzane perfumy pachną wyjątkowo silnie. Chodź, Simonie, teraz zrobimy ogromny namiot.

Cztery krzesła i cztery prześcieradła później Simon miał piękny namiot, który stał na środku podłogi w salonie. Chwycił poduszki z kanapy i wczołgał się do środka, Bonnie przykucnęła i podążyła za nim. Przez chwilę siedzieli tak w milczeniu.

– Przyniosę książkę, siedź tutaj i czekaj – poleciała. – I latarkę – dodała.

Znalazła książkę na półce i wróciła do środka, ułożyła się na poduszce.

– Czy możemy kiedyś kupić prawdziwy namiot i spać na zewnątrz, w lesie? – spytał Simon z nadzieją.

– Tak – odparła – obiecuję, ale pewnie zajmie to trochę czasu. Proszę, przytrzymaj latarkę.

Przeczytała całą książkę. Jej głos wznosił się i opadał, a Simon wyraźnie widział przerażające stwory. Bawił się super, jak zwykle, przecież to była tylko bajka, dobrze się skończyła, mały Max zawsze wracał do domu cały i zdrowy.

– Chcę tu dzisiaj spać – rzucił nagle – chcę spać w namiocie.

– Ale podłoga jest twarda jak kamień, nie będzie ci zbyt wygodnie.

Simon się uparł. Po kolacji poszedł do łazienki i umył zęby, bardzo dokładnie. Bonnie przyniosła mu kołdrę i poduszkę, w szafce znalazła jeszcze poduszki na meble ogrodowe, po czym wczołgała się do namiotu i przygotowała mu proste łóżko. Powiedział „dobranoc” i wskoczył do środka, kładąc się na boku z ręką pod policzkiem. Widziała latarkę prześwitującą przez prześcieradła. Usiadła w fotelu przed telewizorem, żeby obejrzeć wiadomości. Wiedziała, że mały nie śpi, ale nie dawała nic po sobie poznać.

– Damy sobie radę – szepnęła do siebie uspokajająco. – Muszę podziękować Ernie. Pewnie to zignoruje, bo taka już jest.

O dziesiątej wyłączyła telewizor. Simon zgasił latarkę, przez chwilę siedziała i nasłuchiwała. Myślała, że pewnie leży tam, wstrzymując oddech, i też nasłuchuje. Wstała więc, zgasiła lampy, w namiocie zrobiło się ciemno. Sam chciał tam spać, w przytulnej jaskini z wszystkimi poduszkami. Weszła do sypialni, ale drzwi zostawiła otwarte w oczekiwaniu, wiedziała, że zaraz się pojawi. Że nie pójdzie do swojego pokoju. Przychodził do niej, kiedy myślał, że już zasnęła, a ona odchyłała gościnnie kołdrę.

*

Lipiec 2005

Pies Frank położył się pod stołem, gdzie miał swoją starą kołdrę. Przedtem potupał jednak wkoło, by ugnieść sobie posłanie. Sejer podszedł do okna. Z biura miał widok na rzekę, po której teraz, w lipcu, przepływały duże i małe łódki, a od czasu do czasu także energicznie wiosłujący kajakarze. Zobaczył rodzinę łabędzi i staruszka ze skórkami od chleba oraz kilkoro dzieci kąpiących się w bystrym, lodowatym strumieniu.

Sejer rozpoczął właśnie pięćdziesiąty piąty rok życia, był wysoki, szczupły i siwy, miał ostre rysy twarzy. Nadal przyciągał wzrok kobiet. Wiedział, że za kilka lat będzie musiał zrezygnować z pracy, że inni są gotowi przejąć pałeczkę. Myśl o emeryturze irytowała go bezgranicznie. Czym ma się zająć? Siedzieć na balkonie z whisky, słuchać Moniki Zetterlund i chodzić na spacer z Frankiem? Przemierzył

pokój i usiadł przy biurku, otworzył górną szufladę i wyjął stos fotografii dwojga zmarłych, matki i dziecka. Wiedział, że zdjęcia będą go prześladować, ciągle wracać do niego, nawet gdy się już zestarzeje. Najpierw, trochę z daleka, stara przyczepa kempingowa. Biała, z ciemnym paskiem pod okienkiem, a na tylnej ścianie chromowany napis „Fendt”. Przy lepszej pogodzie mieszkało tam kilku Polaków, którzy pracowali w sąsiednim gospodarstwie, w końcu przenieśli się do czteroosobowego domu dla pracowników. Przyjeżdżali w maju i wracali do domu w listopadzie. Sejer nigdy nie miał przyczepy kempingowej. Posiadał domek letniskowy na wyspie Sandøya i spędzał tam kilka tygodni latem, ale zawsze miał pozytywne skojarzenia z przyczepami. Mały domek na kółkach, ludzie w środku jak ślimaczki, szczęśliwi w drodze nad morze, do słońca i lata. Od teraz tak nie będzie. Odtąd już zawsze, gdy utkwi w korku za przyczepą, będzie myślał o kobiecie i dziecku. Gdzieś siedział zabójca, nasłuchując gończych. Może stał przy oknie i patrzył na zewnątrz. Poza tym śledził wiadomości, być może rozmawiał o sprawie z sąsiadami. Najprawdopodobniej miał więcej niż dwadzieścia lat, jednak raczej mniej niż czterdzieści, spore szanse, że był pochodzenia norweskiego. To było chyba jego pierwsze zabójstwo. Mimo wszystko. Niewątpliwie miał zaburzenia zachowania, ale niekoniecznie zostało to zauważone przez otoczenie. Może pracował, może nie. Rodzina? Nie, raczej nie. Nie miał też bliskich przyjaciół. Niewykluczone oczywiście, że był już kiedyś leczony psychiatrycznie. Sejer uważał, że morderstwa były zaplanowane, z miejsca zdarzenia nie zabrano żadnych kosztowności. Nie zadał sobie trudu usunięcia śladów. Nóż został na podłodze. Czyn ten być może dał mu pewną satysfakcję, może mniej przejmował się tym, co miało stać się później. Jego misja, jakkolwiek ją definiował, została wykonana. Może chciał ich ukarać, a może zlikwidować. Przeszedł przez pola ze straszliwym zamiarem. W dłoni, prawdopodobnie prawej, trzymał nóż. Pełen determinacji podszedł do kobiety i dziecka, niewykluczone, że drzwi stały otworem, było wszak ciepło. Być może kobieta pojawiła się w drzwiach, żeby sprawdzić, kto nadchodzi. Może nic nie zostało powiedziane, może po prostu wpadł do środka, brutalnie ją popychając, po czym zabił oboje z zimną krwią. Nikt ich nie słyszał. Gospodarstwo było za daleko. Potem odwrócił się i poszedł z powrotem przez pola. Mógł być zakrwawiony, ale prawdopodobnie nikogo nie spotkał. Przypuszczalnie przyszedł z Haugane lub Geirastadir.

Frank ugryzł go w czubek buta, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Sejer pochylił się i pogłaskał psa po głowie.

– Zaraz – obiecał – jestem zajęty.

Spojrzał na kolejne zdjęcie. Technik wykonał je z progu, widać było obie ofiary. Krew trysnęła nawet na postrzępione firanki. Na malutkim stoliku pokrytym laminatem leżały zakrwawione karty do gry, być może grali w szalone ósemki, jeśli dziecko było na tyle duże, by rozumieć zasady. Na blacie pusta butelka po napoju i bukiet polnych kwiatów. Na drugim końcu przyczepy dwie wąskie, rozłożone do spania kanapy. Pościel w kwiatki, na jednej poduszce miś. Spojrzał na kolejne zdjęcie. Przedstawiało dziecko leżące na plecach. Czerwono-biało-niebieski dres był na niego o wiele za duży, pofałdował się. Włosy miał jasne i kręcone, a tenisówki nowe. Żadnych ran obronnych na dłoniach ani ramionach, nie zdążył się nawet zasłonić. Zdaniem Sejera dziecko zostało zabite jako pierwsze, to jego ciało znajdowało się najbliżej drzwi. Następne zdjęcie przedstawiało kobietę, matkę. Byli tylko we dwoje, Bonnie i Simon Haydenowie, nie mieszkał z nimi ojciec chłopca, nie było też rodzeństwa. Matka też była blondynką, ale nie miała loków, rozczochrane kędziorki chłopak musiał odziedziczyć po ojcu. Jej biała letnia sukienka była zakrwawiona, miejscami jeszcze mokra. Przejrzał wszystkie zbliżenia, zrobione według wskazówek Bardy'ego Snorrasona, który był odpowiedzialny za sekcję zwłok. Stopy miała białe, z pomalowanymi paznokciami. Przerzucał i przeglądał zdjęcia, aż zatrzymał się nad ostatnim. Zużyte szare linoleum ze znacznymi ilościami krwi. A w tle, przy szafkach kuchennych, wyraźny ślad stopy. Przyjrzał się dokładnie zdjęciu, zbliżył je do oczu. To wszystko, co mamy, w tej chwili, pomyślał. Odchylił się w fotelu, aby przeanalizować wrażenia. Frank wrócił do gryzienia czubków butów, rozległo się pukanie do drzwi. Snorrason przyszedł z raportem z sekcji zwłok. On też zbliżał się do wieku emerytalnego. Przywitał się z Frankiem i odsunął krzesło, położył na stole przed sobą stos ciasno zapisanych kartek.

– To wstępny raport – zastrzegł – ale bardzo dokładny.

Sejer zaczął czytać obszerny dokument, podczas gdy Snorrason siedział obok niego i komentował swoje ustalenia.

– Chłopiec, Simon, zginął od czterech ran kłutych. Wszystkie ciosy trafiły w brzuch, prawdopodobnie wykrwawił się na śmierć. I niestety mogło to zająć

trochę czasu. Matka, Bonnie, również została dźgnięta cztery razy, sprawca działał błyskawicznie. Jedna z ran obejmowała tętnicę szyjną, śmierć mogła więc nastąpić szybko. Pozostałe trzy pchnięcia trafiły w serce, wątrobę i nerkę. Ma też powierzchowną ranę przy ustach. Co myślisz? – Rudowłosy Islandczyk spojrzał na inspektora.

– Musiał wiedzieć, że są w przyczepie – stwierdził Sejer – wybrał na ofiary właśnie ich. Wszystko zaplanował. Prawdopodobnie nie odczuwa wyrzutów sumienia, to osoba głęboko zaburzona.

Przejrzał stertę papierów, nie rozumiał całej terminologii, ale Snorrason wyjaśnił wszelkie wątpliwości.

– Może ktoś go za coś ochrzanił, tak się to często zaczyna – zauważył Sejer. – Albo uważa, że ktoś potraktował go niesprawiedliwie. Więc teraz się mści. Ale dlaczego na matce i małym dziecku? Nie rozumiem tego. Mamy tutaj sporo różnych wątków do zbadania.

Frank wyszedł spod biurka, a Sejer pochylił się i pogłaskał go po głowie.

– Rozwiążemy tę sprawę – obiecał Snorrason – choćby miała być naszą ostatnią. A teraz wyjaśnię ci, co powiedziały mi ciała. Właśnie zjedli posiłek. W ich żołądkach znajdowało się niestrawione jedzenie, a chłopiec pił napój gazowany. Poza tym oboje byli zdrowi, matka miała kiedyś złamaną nogę, prawdopodobnie jako mała dziewczynka. Miała metr siedemdziesiąt wzrostu i ważyła pięćdziesiąt cztery kilogramy, chłopiec też był bardzo drobny. Poza tym nie znalazłem żadnych szczególnych odchyień od normy. Ostrze weszło głęboko. Miało około dwudziestu trzech centymetrów długości, niezwykle wąskie. Rękojeść ma jedenaście centymetrów.

Sejer założył ręce na kark. Myślał o ewentualnych świadkach, z którymi miał rozmawiać.

– Bonnie Hayden nie miała koleżanek, pracowała jako pomoc domowa – zaznaczył – a one zwykle pracują same. Ale porozmawiam ze wszystkimi jej klientami. Jej rodzice żyją, nie ma rodzeństwa. Byłem już u matki, Henny Hayden, ale nie była w stanie rozmawiać, będziemy musieli poczekać, aż Bonnie zostanie pochowana. Chociaż nie możemy sobie pozwolić na zwłokę. Bonnie praktycznie nie miała kontaktu z ojcem dziecka, mieszkali razem przez kilka lat. Chłopiec chodził do przedszkola, będę rozmawiał ze wszystkimi pracownikami i z szefową

Bonnie, w urzędzie gminy. Porozmawiam też znowu z rolnikiem ze Skarven i jego polskimi pracownikami. Przyjeżdżają tam co roku i dobrze orientują się w okolicy.

– W tym kierunku idą twoje podejrzenia? – spytał Snorrason.

– Szczerze mówiąc, w tej chwili idą we wszystkich możliwych kierunkach, dam znać, jeśli się skonkretyzują. Pracuj dalej, wpadnę do ciebie później.

Snorrason się pożegnał. W tym samym momencie pojawił się Skarre ze swoją jasną czupryną.

– To mów, od czego zaczynamy.

Opadł na krzesło, które właśnie opuścił Snorrason, i spojrzał na papiery.

– Jedyne, co mamy, to prawa stopa – skomentował Sejer – jest duża. To nie jest drobny człowiek. I jest wściekły.

*

Grudzień 2004

Śnieg był ciężki i mokry, niezdolnie kleił się do łopaty, Eddie odgarniał go już od pół godziny, musiał wyprostować plecy. Strasznie bolały. Jego loki były wilgotne od potu, a do miejsca, w którym ich podjazd łączył się z ulicą, został mu długi odcinek. Na koniec miał jeszcze odśnieżyć przed śmietnikami.

– Inaczej nie zabiorą śmieci – ostrzegła matka – tak mówi regulamin.

Sterczał przez chwilę, wpatrując się w zaśnieżoną dal, łapał oddech. Wiedział, że jego matka stoi jak zawsze przy oknie i pilnuje, by pracował. Dlatego schylił się i robił to dalej, próbował znaleźć rytm, przeklinał pod nosem, rzucając śniegiem na boki.

Wzdłuż podjazdu wyrosły wysokie zasy. Podczas pracy próbował wymyślić, co chce na obiad, mama zwykle go o to pytała, a wtedy najlepiej było mieć gotową odpowiedź. Wreszcie śnieg przestał padać, a niebo, szare jak ołów, w końcu się rozjaśniło. Horyzont zabarwił się na różowo od zachodzącego słońca, nad doliną leżały pojedyncze białe chmury, obraz jak z bajki. Pod marynarką miał nową bluzę: *I love New York*. Matka pytała, dlaczego chciał akurat taki.

– Bo Nowy Jork to ładne miasto – odpowiedział.

– Ale przecież nie byłeś tam nigdy.

– Nie, ale pojedziemy tam razem. Pójdziemy na spacer do Central Parku.

Matka odwróciła się do niego plecami.

– Nie zniosę różnicy czasu – powiedziała.

Zrozumiał, że nici z wycieczki do Nowego Jorku, musiał zadowolić się bluzą. Skończywszy, oparł łopatę o ścianę. Zmierzch był piękny, granatowy, w małym domku wkrótce zapadną ciemności. Mass zapaliła wszystkie światła w środku i to wprawiło go w dobry, bezpieczny nastrój. Podążył za nagłym impulsem, przebrnął przez zasy i podszedł do ściany domu. Stał pod oknem, gdzie matka mogła go widzieć. Śnieg był bardzo miękki, mógł go kształtować, jak chciał, zrobił więc kulę, twardą jak kamień, i odłożył na zaspę. Potem ulepił kolejną i położył obok. Mama otworzyła okno, dokładnie tak, jak się spodziewał.

– Co ty wyprawiasz?

Spojrzał na nią gniewnie i kontynuował ze śnieżką numer trzy, były wielkości dużych pomarańczy.

– Robię latarnię śnieżną – wyjaśnił skwapliwie.

– Nie robiłeś ich przecież od dzieciństwa...

– Nie, ale ta jest dla ciebie, żebyś miała na co patrzeć.

Nie zapomniał swoich dawnych sztuczek. Pierwsze koło było idealne, długo ugniatał śnieżki, żeby były jak najtwardsze i przetrwały długo. Nucił pod nosem piosenkę *New York, New York*, którą często słyszał w radiu. Nigdy nie podróżował, poza wycieczką do Hiszpanii i kilkoma wypadami samochodem do Szwecji, gdzie mama kupowała mięso i czerwone wino, a on sam targał do samochodu sześciopaki cherry coke. Zaczął rząd numer trzy. Obwód się jeszcze nie zmniejszał, skoro miał już zrobić latarnię, musiała być ogromna. Pracował non stop, od czasu do czasu w otwartym oknie pojawiała się matka.

– Jaki jesteś zdolny, nigdy nie widziałam nic piękniejszego.

Eddie odgarnął włosy z czoła. Lubił, kiedy matka go chwaliła, nigdy nie miał tego dość. Śnieg nagle stał się teraz całkiem urokliwy! Że też nie pomyślał o tym wcześniej, śnieg leżał od dawna i zbliżało się Boże Narodzenie. Żeberka, światła i prezenty. Po długiej i żmudnej pracy cofnął się o kilka kroków i podziwiał swoje dzieło. Góra była oczywiście otwarta, trzeba było umieścić w środku świecę, już

się ściemniało, ale pracował przy świetle wylewającym się z okna. Potem przegramolił się przez śnieg i podszedł do drzwi, otworzył je i krzyknął do środka.

– Świeca! Zapałki!

Słyszał, jak matka otwiera szufladę. Po chwili wyszła do niego z tym, o co prosił.

– W sumie to potrzebuję więcej niż jednej. To duża latarnia.

Wróciła do środka i wyłoniła się z dwoma kolejnymi świecami w dłoniach. Wziął je i wrócił przed dom, umieszczając trzy świece na dnie latarni. Upewnił się, że stoją stabilnie. Ostrożnie opuścił ramię w dół, niezbyt blisko ściany, by konstrukcja się nie rozpadła. Potem zapalił świece, jedną po drugiej, dołożył ostatnie śnieżki, wstrzymując oddech, i zamknął latarnię. Gdyby śnieg spadł na dno, świece by zgasły.

Stali blisko siebie przed oknem i podziwiali wybitne dzieło Eddiego. Latarnia śnieżna, wielka i piękna, migotała cicho, światełka miękko błyszcząły na otaczającym śniegu. Stali w milczeniu, nie mogli oderwać wzroku, a przez resztę wieczoru Eddie podchodził co chwila do okna, żeby sprawdzić, czy światło dalej płonie. Mass zrobiła klopsiki i spaghetti, zjedli kolację, gadając o tym i tamtym. Eddie grzecznie włożył talerze do zmywarki, tylko tyle potrafił. Potem poszedł na wieczorny spacer z Shibą. Zgodnie z poleceniem matki założył kamizelkę odblaskową, a pies miał na obroży migające niebieskie światełko. Od czasu do czasu napotykał samochody, schodził wtedy na skraj drogi i czekał, aż go miną. Myślał o reszcie ślimaczków cynamonowych, które obiecała mu mama. Lubił białe ciasto ze smugami cynamonu. Później, wieczorem planował oglądanie *Torego na tropie*. Zawsze bardzo silnie przeżywał, gdy ludzie odnajdywali swoich zaginionych krewnych. Matki, ojców i rodzeństwo, często w obcych krajach, czasem po drugiej stronie globu. Zdarzało się, że znajdowali tylko grób, do którego mogli się udać, zawsze to jednak coś. Myślał wtedy o swoim ojcu, pochowanym w Kopenhadze. Eddie nigdy tam nie był. Shiba załatwiła się kilka razy, wrócili więc do domu. Pies natychmiast wszedł do kuchni i położył się w kącie.

– Te złogi, o których mówiłaś... – zagaił. – W naczyniach krwionośnych... Które mogą się oderwać i dotrzeć do serca. Myślisz, że mam ich dużo? Jestem przecież gruby.

Mass pokręciła głową.

– Nie, miejmy nadzieję, że będzie dobrze, w końcu nie palisz ani nie pijesz, jesteś bardzo zdrowy.

Eddie oparł łokcie na stole.

– A ty – zaniepokoił się – masz takie złogi? Widać je na zdjęciu rentgenowskim?

– Nie wiem, może. Dlaczego pytasz?

Pomyślał chwilę.

– Bo gdyby tak było, moglibyśmy coś z tym zrobić. Istnieją leki, które rozrzedzają krew, aby ułatwić jej przepływ. Wiesz, lepiej zapobiegać, niż leczyć!

Matka spojrzała na niego z uśmiechem.

– Dlaczego tak dużo o tym myślisz, boisz się śmierci?

Wysunęła krzesło i usiadła przy stole, delikatnie pogłaskała jego dużą pięść, białą i miękką, z obgryzionymi paznokciami.

– Wolałbym umrzeć na długo przed tobą – odpowiedział Eddie – nie chcę być sam.

Mass to zaniepokoiło.

– Eddie, mam pięćdziesiąt sześć lat. A ty dwadzieścia jeden. Sam możesz to sobie policzyć.

Jego ciężka głowa opadła, wyglądał na przygnębionego. Mass (nigdy nie używała pełnego imienia – Thomasine – nie znosiła go) chciała go pocieszyć.

– Nie myśl o tym teraz, mam jeszcze dużo czasu. Żadne z nas nie jest chore, oboje będziemy jeszcze długo żyć i cieszyć się każdym dniem, który nam dano.

– Co się najpierw zatrzymuje? – drążył Eddie. – Oddech czy serce?

– To zależy – stwierdziła Mass – nie znam się za bardzo na takich rzeczach. Chodź do salonu, zaczyna się *Tore na tropie*.

Światło z ekranu migotało na twarzy Eddiego. Niebiesko-białe cienie ożywiły jego ciężkie rysy. Powoli żuł cynamonowe ślimaczki, od czasu do czasu podnosząc do ust puszkę cherry coke. Lubił słodkie, mocne smaki, chłodne mrowienie na języku. Matka siedziała obok niego, nogi miała oparte na podnóżku i przykryte kocem. Co jakiś czas zerknęła na syna, za każdym razem zaskoczona. Był naprawdę jedyny w swoim rodzaju. Nie radził sobie w społeczeństwie. Kiedyś dostał pracę przy sortowaniu poczty, ale po zaledwie dwóch tygodniach zrezygnował. Nie dawał rady

rano stawiać się na czas, był kiepski w kontaktach z nieznanymi. Mimo to miał niezaprzeczone talenty. Kiedyś zbudował kościół z kostek cukru i lukru, z wieżą i nawet iglicą, pracował nad nim przez kilka tygodni. Był mistrzem w rozwiązywaniu krzyżówek, miał imponującą pamięć. Często to on musiał jej o czymś przypominać. Kiedy siedzieli razem wieczorem, oglądając teleturniej w telewizji, wiedział o wiele więcej niż ona, chociaż była o ponad trzydzieści lat starsza. Wiedzę chyba zdobył w internecie, którego ona sama nie rozumiała, a on mógł tam siedzieć godzinami. Pamiętał każdą jej nieopatrznie rzuconą obietnicę, nie poddawał się, dopóki jej w końcu nie spełniła. Jak wtedy, gdy osiem lat temu zaczął błagać ją o szczeniaka. Powiedziała „zobaczmy, nie teraz”.

– Jak nie teraz, to kiedy? – dopytywał, chociaż starała się unikać tematu. – Może latem?

– Nie wiem – powtarzała ze znużeniem.

– Ale jeszcze w tym roku? – nie odpuszczał.

– Eddie, nie rozmawiamy już o tym.

– No to kiedy możemy o tym porozmawiać? – dopytywał. – Może wieczorem? A może jutro?

Od czasu do czasu odbywali tę samą rozmowę, aż w końcu musiała się poddać. Wtedy pojawiła się w domu Shiba, miękki, płowy szczeniak, który przeżuwał wszystko, co napotkał. Kable i kilka par butów, grzbiety książek z najniższej półki. Stara encyklopedia w trzynastu tomach, oprawiona w czerwoną skórę, była teraz w strzępach. Eddie szybko znudził się psem, wiedziała, że dręczy go pod jej nieobecność. Miał jednak pewne obowiązki. Trzy razy dziennie musiał wychodzić z suczką na spacer. Tylko na krótko, oboje mieli nadwagę.

Spojrzała na niego z boku. Eddie marudził też o coś jeszcze. Chciał, żeby pojechali do Kopenhagi i poszukali grobu ojca. Odpowiedziała jak zwykle: „zobaczmy”. Poza tym nie wiedziała nawet, gdzie został pochowany. Eddie sięgnął po ostatniego cynamonowego ślimaczka, był świeży i miękki. Uważnie śledził ekran, na którym prezenter Tore Strømøy wsiadł do samolotu lecącego do Lahore wraz z ciemnoskórą nastolatką o imieniu Susann. Mieli szukać jej matki.

Za każdym razem, gdy Eddie spotykał człowieka, czy to na drodze, czy w sklepie, dużo myślał o tym, jak ich widzi i czuje. Także ci w telewizji i radiu pachnieli i smakowali, mieli własną melodię, jak z instrumentu, mogli też być

zwierzęciem, owocem lub warzywem. Lubił tę zabawę, od zawsze. Szybko podejmował decyzję i nigdy nie cofał swoich wyborów. Na przykład Hans Wilhelm Steinfeldt był rogiem pocztowym. Sąsiad, Ansgar, był przebiegłą hieną. Erna Solberg to świeży precel drożdżowy z cukrem pudrem i nadzieniem makaronikowym. Knut Nærum, którego widywał w telewizji w każdy piątek, był małą, szybką surykatką. Znał też kilka osób będących pikłami, a sąsiadka, stara Irena, mająca chorobę Parkinsona, była jak galaretowaty lutefisk. Matka brzmiała jak saksofon altowy, a on sam był pięknym, potężnym fagotem. Instrumentem, który opanował mało kto. Ale Mass, należąca w końcu również do instrumentów dętych drewnianych, zawsze znajdowała w nim dźwięk.

A *Tore na tropie*? Tore był rzepą. Albo niedopieczonym chlebem.

– Myślisz, że znajdą matkę Susann? – zapytał z zapałem.

– Oczywiście, inaczej nie byłoby programu. Tylko co to da? Ma miłych rodziców w Norwegii, na pewno jest jej tu dużo lepiej niż w Pakistanie.

Eddie zdecydowanie się nie zgodził.

– Ma przecież inny kolor skóry. To jasne, że chce zobaczyć, skąd pochodzi, takie rzeczy są ważne.

– Ale to wszystko skomplikuje, dwie pary rodziców... – zauważyła Mass. – Jak będzie ich potem traktować? Może nawet nie chcą jej widzieć, jest jakiś powód, dla którego ją oddali.

– Nie jest wcale pewne, czy ją oddali – zaprotestował Eddie – może została im zabrana.

– W takim razie jej matka nie mogła być dobra, skoro została pozbawiona praw rodzicielskich. Nie ma powodu, by szukać kontaktu ze złą matką.

Samolot wylądował w Lahore, a Tore, Susann i ekipa telewizyjna przedzierali się przez gorące ulice. Panowały ogromny ruch i hałas, harmider i upał zapierały dech w piersiach. Eddie i Mass w ogóle sobie nie wyobrażali, że w takim chaosie da się znaleźć matkę Susann. Ale Tore znał się na swoim fachu, przeprowadził śledztwo. Od rodziców Susann z Norwegii otrzymał adres sierocińca, do którego trafiła szesnaście lat temu. Była wtedy niemowlęciem bez imienia.

Po chwili złapali taksówkę, a w domu dziecka przywitała ich sympatyczna kobieta z głową okrytą szalem. Zaprowadziła ich do biura, gdzie otworzyła dużą książkę i zaczęła czytać, dobrą angielszczyzną.

– Siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku przyszła tu kobieta z dzieckiem w kocyku. Dziecko było prawie noworodkiem, nie miało nawet imienia, to my je ochrzciliśmy i nazwaliśmy Adelina. Ta kobieta urodziła czworo dzieci i wszystkie je oddała. Nic nie wiemy o ojcu.

– Ale dlaczego? – spytali oboje. – Dlaczego je oddała?

Kierowniczka sierocińca zamknęła dużą księgę i położyła na niej rękę, jakby chciała zachować tajemnicę. Ale mleko już się rozlało, mogła tylko mieć nadzieję, mimo wątpliwości, że doprowadzi to do czegoś dobrego. Adelina, która w Norwegii otrzymała imię Susann, była szczupłą i piękną dziewczyną w drogich ubraniach. Poszcęściło jej się w życiu, miała wszystko, o czym dziecko może zamarzyć. Dyrektorka spojrzała w prawie czarne oczy, te podekscytowane, wyczekujące oczy, i poczuła ciężar na sercu.

– Matka była bardzo uboga – wyjaśniła – nie miała zupełnie środków do życia. Nie była w stanie zatrzymać żadnego z dzieci.

– Ale gdzie ona mieszka? – dopytywali.

– W wiosce, sporo oddalonej od miasta, będziecie potrzebować łodzi. Zapiszę wszystko, co musicie wiedzieć, imię i inne informacje. Musicie znaleźć sternika, który mówi po angielsku, będzie potrzebny tłumacz.

– O Boże – wykrzyknęła Mass – co dalej?

Eddie pochylił się do przodu na kanapie, tak podekscytowany, że nie mógł oderwać wzroku od ekranu, bo teraz byli tak blisko, tak blisko. Na ulicy Adelina-Susann kupiła piękny kolorowy szal, chciała go podarować swojej mamie. Po chwili znaleźli mężczyznę, który zgodził się zabrać ich w górę rzeki Ravi na dużej barce. Stał w wodzie, a Tore i Susann wyjaśniali po angielsku, dokąd się udają i dlaczego. Nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego, myślał głównie o pieniądzach za przeprawę. Po drodze w górę rzeki minęli kilka małych wiosek, dzieci siedziały na brzegu i śledziły przybyszów wzrokiem. Niektóre krzyczały i machały rękami, biegając tam i z powrotem w ekscytacji.

– Wyobrażasz sobie mieszkać w takim miejscu? – zapytał Eddie, żując cynamonowe ciasto. – Są odcięci od reszty świata. Bez telewizora, bez telefonu, bez komputera. Jak tak można?!

– Bez tych rzeczy można żyć całkiem nieźle – stwierdziła Mass. – Ale brakuje im też żywności i opieki medycznej, a to jest znacznie gorsze.

Śledzili barkę wzrokiem. Mass dołała sobie kawy, a Eddie siedział z puszką w dłoni, dawno opróżnioną. W końcu łódź dobiła do brzegu, natychmiast podbiegło do niej kilkoro zaciekawionych dzieci. Susann siedziała z szalem na kolanach, zawiniętym w cienki brązowy papier. Potem wysiedli z łodzi i wspięli się na niewysoki wał porośnięty bujną zielenią, pięknymi drzewami. Poproszono ich, aby poczekać. Sternik zniknął za wałem, a Tore i Susann usiedli na trawie, podczas gdy półnagie dzieci stały wokół nich w kręgu. Susann ścisnęła szal w dłoniach, Tore trzymał ją za rękę. Po chwili, która wydawała się wiecznością, sternik w końcu powrócił. Prowadził chudą kobietę, bosą, ubraną w łachmany. Twarz miała suchą i pomarszczoną, wzrok wbijała w ziemię. Susann natychmiast wstała, wpatrzona w matkę. Ostrożnie wyciągnęła rękę, a kobieta ją ujęła. Piękna młoda dziewczyna w eleganckich ubraniach była kiedyś oddanym niemowlęciem, ostatnim z czworga dzieci, którym nie była w stanie zapewnić bytu. Susann podała jej paczkę z szalem. Ale matka nie zadała sobie trudu, aby ją otworzyć, po prostu stała tam, zdezorientowana, zrozpaczona i zawstydzona. Mimo to udało jej się uśmiechnąć, a Susann z przerażeniem zobaczyła, że kobieta nie ma zębów. Widziała tylko blade nagie dziąsła. Bieda i nędza uczyniły ją starą na długo przed czasem.

– To najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałam! – wykrzyknęła Mass. – Wyobraź sobie, że zastajesz swoją matkę w takim stanie. Teraz ta dziewczyna będzie się tym gryzła przez wiele lat. A dla biednej matki to jak otwieranie starej rany. Znowu będzie krwawić, Eddie. Zapamiętaj moje słowa.

Eddie zwiesił głowę. Chciał szczęśliwego zakończenia. Wzruszających scen nad brzegiem rzeki, podczas gdy podekscytowane dzieci klaskały w dłonie. On również był głęboko zmartwiony tym, co zobaczył. Mimo to uważał, że to musiało się wydarzyć. Każdy miał prawo i obowiązek znać swoje pochodzenie. Podniósł się, podszedł do okna i wyjrzał. Śnieżna latarnia stała i cicho migotała w ciemności. Ale w nocy miała pewnie zgasnąć. Teraz pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie zniszczą jej kolejne opady śniegu.

Następnego dnia w przedszkolu Simon opowiedział Kai o pięciu buteleczkach perfum. Siedział na ławce pod ślimakiem, a na kolanach trzymał torbę z zapasowymi ubraniami, na wypadek gdyby zmoczył się w śniegu. Wydawał się zadowolony, Kaja nie była do tego przyzwyczajona. W pierwszej chwili chciała odebrać mu torbę i powiesić ją na kołku, ale zaprotestował, chciał ją wnieść do środka. Kaja lubiła Simona Haydena. Był cichym i skromnym chłopcem, ale wiedziała, że rano, kiedy mieli wychodzić, często miewał ataki buntu. Nie mógł sobie poradzić z codzienną rozłąką z matką.

– Wyglądasz tak tajemniczo – powiedziała, klepiąc go po głowie. Mówiła głośno, aby się przebić przez krzyki innych dzieci. Simon otworzył torbę i wyjął małą paczkę w różowym papierze. Wokół paczki była niebieska kokardka, matka podkreśliła jej końcówki.

– Czy to dla mnie? – zdziwiła się Kaja. Choć w domu w kuchni miała ściany pełne dziecięcych rysunków, nie była przyzwyczajona do otrzymywania prezentów.

– Rozpakuj teraz – zachęcił chłopiec.

Jego oczy rozszerzyły się z podekscytowania. Kaja musiała sięgnąć po nożyczki, żeby przeciąć wstążeczkę. Niektóre dzieci, w tym Marta, zebrały się wokół, aby popatrzeć. Kaja próbowała poluzować taśmę, nie uszkodzając papieru, ale w końcu dała za wygraną i ją zerwała. W środku była buteleczka perfum. Miała kształt serca, a zawartość była niebieska.

– Ale co to, Simon – wykrzyknęła radośnie – jeden flakonik jest dla mnie? To bardzo miłe z twojej strony, moje perfumy już się prawie skończyły.

– To ja tak postanowiłem – oznajmił z dumą – mama ma ich tak dużo. Ma perfumy na kilka lat.

Marta pochyliła się i chwyciła butelkę.

– Ja też chcę perfumy – powiedziała zazdrosna.

– Możesz poprosić mamę – zaproponowała Kaja – albo Mikołaja, na święta.

– Idziemy dziś do sklepu z zabawkami – pochwalił się Simon – ja też mam dostać prezent. Mam sobie wybrać coś za mniej niż dwieście koron.

Bonnie zaparkowała starego opla przed domem Ingemara. Dzień zdawał jej się piękny, mimo że śnieg padał gęsto. Czekala ją jednak ciężka robota, Ingemarowi

nie było łatwo pomóc. Dostaję same najtrudniejsze przypadki, to niesprawiedliwe, pomyślała. Mogło to być lepiej rozdysponowane. Zebrała się w sobie i weszła przez otwarte drzwi. Nigdy ich nie zamykał, stały otworem nawet w nocy. Całe życie pracował w policji i nie przejmował się żadnymi doczesnymi sprawami. Ludzie mogli po prostu przychodzić i wychodzić, kiedy im się podobało. Wkrótce Bonnie stała w małym salonie, wiedziała, że Ingemar jest w kuchni, zawsze tam był. Gdy weszła do pomieszczenia, uderzyły ją zapachy starca i stęchłego jedzenia.

– Hej, to tylko ja.

Mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi. Był zajęty wpatrywaniem się przez okno w dwa konie wędrujące po białym śniegu. Całe jego jedzenie stało na blacie, nieświeże, nigdy nie wkładał niczego do lodówki. W dzemie była pleśń, a wędliny były przebarwione. Podniósł butelkę tranu i wypił kilka łapczywych łyków. Ingemar miał osiemdziesiąt sześć lat, owdowiał w wieku czterdziestu. Miał dzieci, które nie odwiedzały go w ogóle, mogła je nawet zrozumieć, był zrzędlivy i nieprzyjazny. Żył w brudzie i chaosie. Bonnie usiadła na stołku. Chociaż dzień był dobry, czuła się zniechęcona. Trudno było zacząć, bez względu na to, co próbowała zrobić, Ingemar protestował. „To naprawdę nie jest konieczne”. „Nie lubię hałasu odkurzacza”. Wzięła się jednak do roboty. Pod meblami w maleńkim salonie leżał ciężki dywan, którego nie dało się wynieść na dwór, choć oczywiście powinna była to zrobić. Wstała i zaczęła odsuwać meble. Podobnie jak u Erny, były ciężkie jak ołów. Wyjęła odkurzacza z szafy w przedpokoju, to była stara volta, niewiele było z niej pożytku. Musiała przecież robić coś przez te godziny. Szybko skończyła, po czym zabrała się do mycia podłogi. Ingemar nie ruszał się z krzesła w kuchni, musiała czyścić wokół jego nóg. Nagle odwrócił wzrok od okna.

– Musisz zmienić pościel – rzucił krótko.

Bonnie spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nigdy o nic nie prosił, więc w pewnym sensie była to poprawa. Skończyła i odstawiła wiadro, przetarła wszystkie powierzchnie drewniane środkiem do mebli. Lubiała ten zapach, a meble nabierały blasku. Potem poszła do sypialni, stanęła w drzwiach. Uderzył ją silny, obrzydliwy smród. Jego łóżko było ogołoczone z pościeli, a na jasnym materacu widać było duże brązowe plamy. Chwilę zajęło jej zrozumienie, co się stało. Narobił pod siebie. A potem sam zdjął prześcieradło i poszwy z kołdry i poduszki. Bonnie zakryła usta dłonią. Nie może być, pomyślała. Sterczała tak, w ohydny

odorze, oszołomiona. Odruchowo ruszyła do łazienki. Tak jak myślała, znalazła wszystko w wannie. Włożył kołdrę, poduszkę i prześcieradło do zimnej wody. Woda była brązowa, widziała unoszące się w niej duże bryły kału. Opadła na zamknięty sedes, głowę schowała w dłoniach, nie wiedziała, jak długo tak siedzi, wreszcie pomyślała o starym Ingemarze tkwiącym w kuchni i popijającym tran. Zachowującym się jak gdyby nigdy nic. Po chwili podjęła decyzję. Zadzwoiła do Ragnhild, do biura.

– Cała wanna jest pełna kału – powiedziała z rozpaczą – a jego materac jest kompletnie mokry. Nie może spać w tym łóżku. Wszystko trzeba wyrzucić!

Ragnhild usłyszała rozpacz w głosie Bonnie.

– Porozmawiam z jego córką, musimy umieścić go w zakładzie. Tak dłużej być nie może.

– Jasne – zgodziła się Bonnie – ale to wymaga czasu, a ja muszę mu pomóc teraz.

Ragnhild musiała się chwilę zastanowić. Była pielęgniarzką i widziała już wiele.

– Powiedz Ingemarowi, że musisz wyjść i coś załatwić. Pojedź do hurtowni pościeli i kup kołdrę i poduszkę, możesz wyłożyć pieniądze? Zorganizuję to tak, żebyś dostała zwrot.

Bonnie się zgodziła.

– Ale co mam zrobić z materacem?

– Na razie musi tak zostać. Zdezynfekuj go wybielaczem i odwróć.

Bonnie podziękowała za pomoc. Poszła do Ingemara i wyjaśniła, że ma coś do załatwienia, ale wkrótce wróci i wszystko uporządkuje. Najwyraźniej nie przejmował się tym, co stało się w nocy, był zajęty wpatrywaniem się w konie za oknem. Pojechała do centrum. Zapłaciła za parking i przeszła dwie przecznice do hurtowni. Kiedy weszła i zaczęła przeglądać półki, odkryła, że puchowa kołdra kosztuje dużo pieniędzy, a na koncie nie miała zbyt wiele. Musiała więc kupić cienką syntetyczną kołdrę za dwieście koron. Znalazła taką samą poduszkę, zapłaciła, schowała paragon do portfela i pospiesznie wróciła do samochodu. Musiała przecież ruszyć dalej, kolejni klienci czekali. Wróciła do Ingemara, skinęła mu głową i zabrała się do pracy. W szafce znalazła żółte gumowe rękawiczki i dwa czarne worki na śmieci. Wyciągnęła wtyczkę z wanny, starała się, jak mogła, wycisnąć wodę z zabrudzonej kołdry, nie było to łatwe. Mokra ważyła tonę i trudno

było ją włożyć do worka. Poduszka i prześcieradło trafiły do drugiego. Związała worki i wyniosła je na śnieg, żeby nie zostały w domu i nie śmierdziały. Potem wróciła do środka i zabrała się za materac. Chociaż nie pozbyła się brązowych plam, to znacznie je wybieliła i zapach zniknął. Odwróciła materac. Znalazła czystą pościel, którą sama wyprała w starej pralce Ingemara w piwnicy. Pościeliła czyste łóżko. Pozamiatała i wróciła do łazienki, by wyszorować wannę.

– Skończyłam – powiedziała do Ingemara – wszystko jest w porządku.

Nie chciał na nią patrzeć, może jednak się wstydził. Wsiadła do samochodu i zadzwoniła do biura.

– Skończyłam – poinformowała Ragnhild. – W zasadzie nie było aż tak źle. Worki na śmieci leżą na śniegu, jego dzieci muszą się tym zająć. Jeśli w ogóle się pojawią.

– Bonnie – zaczęła Ragnhild – muszę ci podziękować, bo nikt inny tego nie zrobi. Nie znam drugiej tak uczynnej osoby jak ty.

Bonnie włożyła kluczyk do stacyjki i samochód odpalił.

– Możesz iść do domu – dodała natychmiast Ragnhild.

– Co takiego?

Bonnie aż otworzyła usta z zaskoczenia.

– Zasłużyłaś na kilka godzin wolnego. Jesteś bezcenna.

Kiedy Bonnie pojawiła się w drzwiach przedszkola, Simon oszalał z radości. Podbiegł do niej na krótkich nóżkach i pozwolił się podnieść, a Bonnie mocno go przytuliła.

– Kaja ucieszyła się z perfum? – spytała szeptem. Simon kiwnął głową zadowolony.

– Ale Marta się zdenerwowała.

Bonnie uśmiechnęła się i powiedziała, że nie musi się tym przejmować. Zniosła go na rękach do gabinetu, gdzie Kaja siedziała z papierami, zamieniła kilka przyjacielskich słów i zabrała ze sobą Simona.

– Teraz do sklepu z zabawkami, tak jak obiecałam. Czy zastanowiłeś się już, co chcesz? Pamiętaj, nie może być zbyt drogie.

Simon skinął głową z tylnego siedzenia. Och, jak bardzo się zastanowił. Kiedyś był w sklepie z babcią Henny, żeby kupić prezenty świąteczne, natknął się wtedy

na coś, co bardzo mu się spodobało. Chociaż na prezent wybrał coś innego, nigdy o tym nie zapomniał.

Przed centrum handlowym było pełno samochodów, ale Bonnie odczekała chwilę i wkrótce zobaczyła wyjeżdżającą furgonetkę.

– Mieliśmy szczęście.

Zaparkowała na zwolnionym miejscu, weszli do środka. Simon był tak podekscytowany, że wspinał się po wysokich stopniach schodów ruchomych. W ogromnym sklepie z zabawkami zaczęli wędrować wzdłuż półek, widać było, że Simon czegoś szuka, był bardzo systematyczny. Od czasu do czasu coś podnosił, stał przez chwilę i podziwiał, ale myślami błądził i szukał dalej. W końcu znalazł się przed półką z wszelkiego rodzaju zwierzętami, we wszystkich kształtach i kolorach. Były tam też pluszaki, ale miał już obdartego misia z czarnymi szklanymi oczami. Nie, szukał czegoś innego. Kolorowe plastikowe zwierzęta leżały tam w dużych woreczkach z różną zawartością. W jednym z nich ujrzeli gumowe węże z pięknymi zygzakowatymi wzorami na grzbiecie i czerwonymi rozdwojonymi językami.

– Nie chcesz chyba węży, prawda? – Bonnie się wzdrygnęła. – Są takie obrzydliwe.

Simon uważał, że są ładne, miękkie i przyjemne w dotyku, ale to nie je wybrał. Podniósł kolejną torbę, zawierała norweskie zwierzęta gospodarskie, owce, krowy i konie, gęś z pomarańczowymi łapkami, kilka kurczaków i cętkowanego psa. Odłożył ją także. A kiedy podniósł trzecią torbę, był już zdecydowany. Dzikie zwierzęta Afryki z sawanny. Lew z wielką grzywą. Słoń, żyrafa, nosorożec i hipopotam. Mała i piękny flaming, gnu i hiena, i sęp.

– Sto dziewięćdziesiąt osiem koron – powiedziała Bonnie. – Akurat na tyle nas stać.

Zapłacili za zabawki i włożyli je do siatki, którą wziął Simon. Wyszli ze sklepu, śnieg już nie padał. Kiedy zbliżyli się do samochodu, Bonnie zatrzymała się nagle. Na przedniej szybie, pod wycieraczką, zobaczyła pasek żółtego papieru. Z jakiegoś powodu dostała mandat za parkowanie. Wolnym krokiem podeszła i chwyciła pasek, papier przypominał plastik, musiał być odporny na warunki atmosferyczne. Zaparkowała na miejscu dla osób z niepełnosprawnościami. Niski znak z symbolem wózka inwalidzkiego zaginął w śniegu, więc go nie zauważyła.

– Siedemset koron – prychnęła.

Simon zobaczył, że mamie zrobiło się przykro. I chociaż cieszył się ze zwierzątek, bardzo go to przestraszyło. Bonnie włożyła żółty pasek do torebki i postanowiła na razie o nim nie myśleć. Nie chciała psuć dnia. Pojechali do Blåkollen i weszli do domu. Simon poprosił o nożyczki. Otworzył worek i wysypał dzikie zwierzęta na podłogę. Poukładał je porządnie w dużym kręgu z lwem pośrodku i jednym bawołem na uboczu.

– To Skaza? – spytała Bonnie.

– Mufasa – odpowiedział Simon. – Szkoda, że nie mamy dżungli.

Bonnie rozejrzała się po salonie. W dwóch oknach miała zielone rośliny, przyniosła je, jedną doniczkę po drugiej. Ustawili je w bujnym pierścieniu wokół zwierząt.

– Kogo lubisz najbardziej? – zapytała, podnosząc Mufasę.

– Wszystkich – odrzekł Simon bez wahania.

Usiadł na kolanach na wytartej podłodze i podziwiał swoją pracę, podnosząc zwierzęta po kolei, wachając je. Bonnie poszła do kuchni, gdzie otworzyła torebkę. Znalazła żółty pasek papieru i otarła łzę.

*

Lipiec 2005

Frank położył głowę na jego stopach. Przyjemnie było mieć przy sobie to małe, ciepłe i żywe stworzenie. Chociaż moczyło mu śliną skarpetki. W dłoni trzymał szklankę whisky, w temperaturze pokojowej, bez lodu. Na stole obok niego leżała paczka tytoniu, którą rzadko otwierał, był człowiekiem umiarkowanym.

Pomyślał o Bonnie Hayden. Długi nóż wbił się w jej ciało cztery razy. W dzikim szale czy bardziej metodycznie? Był pewien, że morderstwo było zaplanowane, że kryje się za nim coś, czego on nie jest w stanie dostrzec. Od dłuższego czasu oglądał zdjęcia nagich ciał, szczupłej Bonnie i Simona, smukłego jak trzcina. Zwłoki umyto, a rany otwierały się w jego stronę, dziwnie wąskie i ostre. Bonnie miała tatuaż na ramieniu. Nad piersiami trzy małe pieprzyki ułożone luźno w łuk,

przypominały mu Pas Oriona. Wyobrażał sobie, że jakiś mężczyzna kiedyś pogłaskał je palcem i policzył uroczyście, może ojciec Simona. Nie potrafił sobie wyobrazić jej strachu, tam, w tej starej przyczepie. Czasami jego myśli pędziły w niekontrolowany sposób, walczył o oddech. Kiedy szklanka była pusta, wstał i zgasił lampę, a idąc do łazienki, minął zdjęcie swojej zmarłej żony Elise.

– Nigdy się z tym nie pogodzę – rzucił w stronę zdjęcia. – Czas mija, nie tak sobie to wyobrażałem. Chcę, żebyś to wiedziała.

*

Randen dostrzegł samochód przez kuchenne okno, wiedział, że przyjedzie policja, więc natychmiast wyszedł na podwórko, żeby ich powitać.

– Ma pan chwilę?

Zatrzymał się przed nimi i wskazał na kuchnię.

– Siądźmy tutaj.

Znajdował się tam długi, piaskowany wiejski stół z ośmioma krzesłami. Ich oparcia zdobiły proste rzeźby, pomalowane na czerwono-złoto. Sam Randen stał jednak przy blacie.

– Nie śpię – powiedział – bo czuję ten zapach. Smród rzeźni.

Sejer pomyślał, że tamten widok musiał być nie do zniesienia. Randen będzie pamiętał to nawet w domu starców, będzie go nawiedzać we śnie.

– Ile osób tutaj w sumie mieszka? – dopytywał Skarre.

– Solveig, ja i nasze cztery dziewczyny. Matka mieszka w swoim małym domku, a czterech Polaków w domu dla pracowników, razem jednaście osób.

– Czy mógł przejść przez podwórko?

– Oczywiście. Nie stoimy przecież ciągle w oknach, ale szczerze w to wątpię, zawsze ktoś tu jest. Przynajmniej teraz, latem. Nie, raczej przeszedł przez pola. Od strony lasu. Jeśli miał samochód, mógł zaparkować w Geirastadir, przychodzi tam wielu spacerowiczów i jest miejsce na sporo samochodów. Jesienią niektórzy przyjeżdżają motorowerami, zbierać jagody, które sprzedają na rynku. Zwłaszcza Litwini.

– Proszę mi opowiedzieć o wszystkich czterech robotnikach – poprosił Sejer. – Przyjeżdżają tu co roku?

Randen zdecydował, że jednak chce usiąść, odsunął krzesło od stołu. Jak większość farmerów wyglądał na twardego i silnego, skórę miał ogorzałą od słońca. Gęste, grube włosy były koloru piasku, łysina mu raczej nie groziła.

– Są tu ósmy rok, więc dobrze ich znam. Każdy z nich ma rodzinę w swoim kraju, wszyscy mają dzieci. Mają tam też robotę, do której wracają jesienią, cała czwórka pracuje ciężko i bez narzekania. Nigdy nie było z nimi żadnych problemów ani w ogóle nie chorują. Wstają przed nami i późno kładą się spać. Rozumiem do pewnego stopnia, że pan o nich pyta, ale ręczę za wszystkich czterech. Dlaczego, u licha, mieliby być w to zamieszani? Nie, nie ma mowy.

Skarre pokręcił głową.

– My też tak nie uważamy, ale musimy rozmawiać ze wszystkimi. Dadzą radę pogadać po angielsku?

– Wojciech mówi po norwesku. Całkiem dobrze.

– Teraz proszę opowiedzieć mi o matce i chłopcu – poprosił Sejer – najdokładniej, jak pan potrafi.

– Stanęli tutaj, na schodach, trzymając się za ręce. Matka zerwała kilka polnych kwiatów i zasadniczo wydawała się trochę zawstydzona, jakby była zbyt nieśmiała, by zapytać. Ale było jasne, że zrobiła to dla chłopca, przebierał nogami, stojąc tu. Zapytała mnie, czy jestem właścicielem starej przyczepy w dolinie, a kiedy potwierdziłem, chłopiec się ożywił. Wyjaśniła, że przechodzili obok i Simon zapytał, czy mogliby tam przenocować, tylko na jedną noc. Cały czas trzymała go za rękę.

– Tak – ciągnął Randen – szczerze mówiąc, bardzo mnie wzruszyła ta dwójka na schodach, musiałem im jednak powiedzieć, że przyczepa jest dość nędzna i właściwie nie nadaje się do zamieszkania. Ale wtedy stwierdzili, że już tam byli i że dla nich jest jak najbardziej wystarczająca na jedną noc. Mieli przywieźć jedzenie, ale kołdry i poduszki musieli już mieć ze sobą. Oczywiście się zgodziłem, a chłopak skakał z radości. „Ile to będzie kosztować?”, zapytała, a ja prawie się roześmiałem. „Moja droga”, powiedziałem, „oczywiście, że nic od was nie wezmę. Przyczepa nie była używana od lat, trzeba ją odholować na złom”. Rozejrzeli się po podwórku. Kobieta chciała się dowiedzieć, gdzie mogą później zaparkować,

pokazałem im miejsce za domem dla robotników, tam samochód nie przeszkadzał. A kiedy ruszyli pod górę w kierunku Geirastadir, by pojechać po swoje rzeczy, pomachali mi na pożegnanie. Powiedziała: „W takim razie przyjdziemy dziś wieczorem”, była bardzo zadowolona. I już ich nie było.

Randen złożył ręce na solidnym stole.

– Kiedy chłopaki przyszli wieczorem, uprzedziłem ich o tej dwójce. I już o siódmej wieczorem nadszedł opel. Ledwo się trzymał, był gorszy od przyczepy. Wyszedłem ich przyjąć, bo może potrzebowali pomocy w niesieniu bagaży. Matka miała przewieszane przez ramię dwie kołdry, a chłopiec niósł poduszkę i obdartego misia. Powiedzieli, że poradzą sobie sami. Patrzyłem za nimi, gdy szli przez pola, było w nich coś smutnego.

– Smutnego? Co ma pan na myśli?

– No, nie wiem, jak to wyjaśnić. Byli jak dwie samotne dusze w wielkim świecie. Godzinę później znów wrócili pieszo i zniknęli w samochodzie. Ale nie było ich tylko przez kilka minut, a potem znowu zeszli do przyczepy z dużym pudełkiem od pizzy i torbą z zakupami. Wieczorem o nich zapomniałem i zająłem się innymi sprawami, na dużym gospodarstwie jest sporo do zrobienia.

Utkwił wzrok w sęku na stole, słyszeli jego oddech.

– Dlaczego poszedł pan do przyczepy następnego dnia? – zapytał Sejer. – Znalazł ich pan o drugiej, miał pan tam coś do załatwienia?

– Chciałem tylko się przywitać. Zapytać, jak minęła noc.

Wyjaśnił, że jego żona Solveig przez cały ranek siedziała w kuchni i piekła. Przygotowała okrągłą szarlotkę i tartę migdałową. Dziewczyny chciały tartę, postanowiły oddać szarlotkę tamtej dwójce. Dziesięcioletniej Emilie pozwolono położyć cienkie plasterki jabłek pink lady na dnie formy, blisko siebie jak cegły, a Solveig rozwałkowała z ciasta cienkie paseczki, z których ułożyła na torcie cienką kratkę. Na koniec udekorowała je cukrem pudrem i perełkami cukrowymi.

– Więc zabrałem szarlotkę i poszedłem przez pola – wyjaśnił Randen. – Drzwi były otwarte. Zapukałem w ścianę i krzyknąłem „dzień dobry”, żeby się nie przestraszyli, kiedy nagle stanę w drzwiach. Może to zabrzmiało dramatycznie, ale moje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Na podwórku pojawiło się czterech Polaków. Wszyscy byli poruszeni tym incydentem, dwóch z nich widziało Simona przed przyczepą, z misiem w dłoniach.

Matka stała w drzwiach, machała do nich, gdy przechodzili, oni odmachali spracowanymi, brązowymi dłońmi. „Beautiful weather”, krzyknęli, a ona uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Proszę się zastanowić – nalegał Sejer – czy widzieli panowie coś, co mogłoby mieć znaczenie dla sprawy? Mam tu na myśli jakichś ludzi lub samochody w pobliżu gospodarstwa. W dniach przed zdarzeniem?

Cała czwórka spojrzała po sobie. Rozmawiali już o tym. Najstarszy z nich, Wojciech, który w domu, w Polsce, był rzeźnikiem, zauważył dziwny samochód na drodze do gospodarstwa. To było czwartego lipca. Mogłoby się wydawać, że jechał za oplem, ale zatrzymał się w pewnej odległości od podwórka i czekał. Nie podjeżdżał blisko.

– Proszę nam opowiedzieć o samochodzie – poprosił Skarre.

– Był niezbyt nowy – stwierdził Wojciech. – Czerwony.

*

Gospodarstwo Skarven było własnością rodziny Randenów od czterech pokoleń, a Robert i jego żona Solveig pracowali tam od wczesnego rana do późnego wieczora. Cztery córki również miały swoje obowiązki i Randen miał nadzieję, że najstarsza, Johanne, za kilka lat przejmie gospodarstwo. Teraz rodzina Randenów jadła obiad, a wokół stołu panowała cisza. Po chwili Solveig odłożyła widelec i spojrzała na męża.

– Kiedy możemy odholować przyczepę?

– Jak tylko policja wyrazi na to zgodę.

– Czy oni ją umyją? – zapytała. – Nie wyobrażam sobie, bym ja miała to zrobić.

– To chyba tak nie działa. Dziś wieczorem zawołamy tu chłopaków, musimy porozmawiać.

– Pójdziemy na pogrzeb? – Najmłodsza z córek, Emilie, spojrzała na ojca.

– Nie, kochanie – powiedział Randen. – Naprawdę nie powinniśmy, nie jesteśmy rodziną.

– Ale umarli tu, u nas. Na naszym polu.

- Tak, Emilie, ale zostawmy tę rodzinę w spokoju.
- Pochowają ich w jednej trumnie?
- Nie, będą mieć dwie osobne trumny, dużą i małą.

Przez otwarte drzwi weszła piękna, zadbana szara kotka o imieniu Mama. Wskoczyła na kolana Emilie i zwinęła się w kłębek. Matka chciała poprosić córkę, żeby przegoniła kota, ale się powstrzymała. Na farmie Skarven panował stan wyjątkowy, nic nie było jak dawniej, jeśli kiedykolwiek jeszcze miało tak być.

Dziewczyny sprzątnęły ze stołu i włożyły naczynia do zmywarki, po czym odstawiły krzesła na miejsce. Randen położył się na kanapie w salonie, a kotka pobiegła za nim i umościła się na jego brzuchu. Chociaż była ciężka i utrudniała oddychanie, nikt jej nie wygonił. Czuł ciepło Mamy przez koszulę, uspokajało go. Zwykle myślał trzeźwo, ale teraz przemykały mu przez głowę smutne refleksje, bo ten, kto użył noża w przyczepie, był teraz gdzieś, żył dalej. Oddychał, jadł, spał. Mówił i poruszał się wśród niczego niepodejrzewających ludzi, uśmiechając się. Czekał na śledczych. Nie żałował tego, co zrobił. Mam nadzieję, że niedługo spadnie deszcz, pomyślał Randen. Ziemia potrzebuje deszczu. I może jednak powinniśmy pójść na pogrzeb. Umarli tu, u nas. Na naszym polu.

*

Grudzień 2004

W sypialni Mass miała lustro, w którym mogła zobaczyć całą swoją sylwetkę, teraz stała tam, kręcąc się i obracając z niezadowoloną miną. Wszystko zaczęło na niej wisieć, policzki, piersi i brzuch, ogromna fałda wylewała się z krawędzi majtek jak białe ciasto z formy. Kiedy tak stała, patrząc na siebie, poczuła pulsujący ból w dole pleców. No tak, pomyślała, to pewnie przez moje wczorajsze wielkie sprzątnięcie, już prawie Boże Narodzenie. Wyniosła ciężkie dywany na śnieg, zamiotła wszystkie podłogi, w każdym pokoju, bardzo dokładnie. Eddie nie był mistrzem sprzątnięcia, jego działką było odgarnianie śniegu. A teraz bolały ją plecy. Nie zrobiły się sztywne, to było raczej coś w rodzaju pulsowania. Ból

przemieszczał się w górę i dół kręgosłupa, nadchodził falami. Nigdy wcześniej nic takiego nie czuła. Odwróciła się plecami do lustra, jakby szukając wyjaśnienia. Ale nic nie zobaczyła. I kiedy tak stała, wpatrując się w siebie, ból zniknął równie szybko, jak się pojawił. Przeczesła szczotką gęste włosy, ubrała się i weszła do salonu. Eddie siedział przed komputerem, jak zwykle. Stała i patrzyła na szerokie plecy, podziwiała dorosłego syna, któremu nigdy nie postawiono diagnozy i który przez to nie miał swego miejsca w systemie ubezpieczeń społecznych. Mimo to udało jej się wyklócić skromną rentę dla niego, po wielokrotnych wizytach u lekarza pierwszego kontaktu, który dobrze go znał. I niekończącej się serii formularzy wysyłanych przez nią do biura NAV. Co się z nim stanie, kiedy już mnie tu nie będzie? – pomyślała zmartwiona. Chociaż miał sporo talentów, był też bezradny i męcząco zależny od niej. Czepiał się jej i marudził, cały czas, nie dawał jej spokoju. Ale miała tylko jego, więc milczała, bo przecież był też radością.

– Co robisz? – zapytała, siadając z gazetą.

– Siedzę w necie – odpowiedział, nie spojrzawszy nawet w jej stronę. – Googlam.

– Szukasz jakichś konkretnych informacji? Ciągłe tak siedzisz.

Grube palce Eddiego przebiegły po klawiaturze. W regularnych odstępach wydawał ciche okrzyki. Mass była już poważnie zaciekawiona. Odłożyła gazetę i wstała, podeszła do niego.

– Co znalazłeś?

Eddie przeczytał:

– „Władze stanu Ohio planują teraz przetestować nową metodę, zakładającą użycie tylko jednego zastrzyku, po tym jak egzekucja skazanego na karę śmierci trwała dwie godziny, ponieważ mieli duże trudności ze znalezieniem żyły. Zwykła metoda trzech zastrzyków polega na tym, że więzień otrzymuje najpierw dawkę środka znieczulającego. Następnie środek paraliżujący mięśnie. I wreszcie środek, który zatrzymuje serce”.

Mass położyła rękę na ramieniu Eddiego. Potem przesunęła dłoń po jego ciepłej szyi, cudownie miękkie kręcone włosy urzekły ją od pierwszego wejrzenia, dotykała ich, gdy tylko nadarzyła się okazja, a on ani razu się nie odsunął.

– Albo – powiedział Eddie – krzesło elektryczne. Dwa tysiące woltów przez głowę, z wielką mokrą gąbką pod hełmem. Mogą wybrać, jak chcą umrzeć. Co byś

wybrała?

– Po co się czymś takim zajmować? – spytała. Eddie spojrzał na matkę z uśmiechem.

– Zastanawiam się nad wszystkim – wyjaśnił – zawsze fajnie jest się czegoś dowiedzieć.

– Śmierć i cierpienie to złe rozrywki – stwierdziła Mass. – Znajdź coś innego.

– Mogliby – zaczął Eddie z zapalem – wrócić do użycia szubienicy, siedem sekund i już. Innymi słowy, niedoceniana metoda.

Skończył i wstał z krzesła, przeszedł ciężko przez pokój, usiadł na kanapie i wziął gazetę. Na przedostatniej stronie znalazł krzyżówkę. Rozwiązując ją, gryzł ołówek, lubił ten smak. Po wielu latach z krzyżówkami miał wprawę, rzadko musiał używać gumki, ale jeśli już było to konieczne, wachał także ją, pachniała słodko. Znał większość autorów i wiedział, czym każdy z nich się zajmuje – nauką, historią, geografią i polityką, ludzkim ciałem. Astronomią. Od czasu do czasu skrót, od czasu do czasu wymyślone słowo, które tak naprawdę nie istniało. Oszustwo i fantazja, myślał wtedy, to wcale nie jest zabawne. Napotkał na trudność. „Wybuch gazu”. Na trzynaście liter. Czy wybuch gazu był tym samym co detonacja? Nie, miało być trzynaście liter. A co z erupcją wulkanu? Nie, to też nie pasuje. Poza tym w wulkanie wybucha magma, która następnie przekształca się w stopioną skałę, spływając po zboczu góry. Ale gdzie można znaleźć gaz? W naturze. I prawdopodobnie w przemyśle. Rozwiązał kilka haseł krzyżówki i otrzymał pierwszą literę, którą było „p”. A ostatnie „e”. Kiedy wreszcie wypełnił „u” i „b”, wpadł na odpowiedź. „Protuberancje”. Gwałtowne wybuchy na powierzchni Słońca, płomień sięgający tysiące kilometrów w kosmos. „Inaczej spaw”, na cztery litery, drugie „z”. „Szew”. „Ścieg”, osiem liter, trudna sprawa. Pierwsza to „f”, a czwarta to „t”. „Fastryg”. Był już w połowie krzyżówki, postanowił zachować resztę na wieczór. Przeczytał więc wszystkie nekrologi. „Fredrik, mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, zdecydował się porzucić życie. Ceremonia żałobna zakończy się przy grobie. Prosimy nie przysyłać kwiatów do domu”. Dwadzieścia dwa lata, musiał mieć nędzne życie. Eddie nie mógł zrozumieć, że ktokolwiek w ogóle ośmielił się umierać całkowicie dobrowolnie, kiedy nie musiał.

– Musisz wyprowadzić Shibę na spacer – zawołała mama z kuchni, gdzie obierała warzywa na zupę.

Eddie skierował się do przedpokoju po kurtkę, naciągnął czapkę na loki. Zaczepił smycz na obroży grubego psa i wyszedł na śnieg. Zatrzymał się na chwilę przy drzwiach, by podziwiać latarnię śnieżną, która jeszcze stała. Każdego wieczoru po zmroku zdejmował najwyższe śnieżki i zapalał nowe świece.

Shiba zatrzymała się, gdy tylko dotarli do drogi. Tam przykucnęła na tylnych łapach i zrobiła, co trzeba. Kiedy Eddie próbował ciągnąć ją dalej, stawiała opór, ale i tak zatargał ją do skrzynek pocztowych. Otworzył jedną i wyjął pocztę, były tam dwa rachunki. Za prąd. Za telefon. Gdy miał już się odwrócić, z domu wyszedł jego sąsiad, Ansgar. Kot Kennedy skradał się za nim, brudnożółty, hałaśliwy, o wąskich oczach. Eddie w ogóle nie lubił Ansgara, nie lubił też brzydkiego kota. Kiedyś zwabię tego sierściucha do domu, myślał. Ugotuję go w wielkim garnku na kuchence, aż zrobi się całkiem miękki. Potem położę trupa na schodach Ansgara i schowam się za drzewem, żeby widzieć jego przerażenie. Pewnie doszłoby do wielkiego zamieszania i Ansgar wezwałby zarówno policję, jak i lokalną gazetę.

– Cześć – rzucił wesoło sąsiad. – Wyszedłeś na spacer? Dobrze, że masz coś do roboty, dni muszą być długie, kiedy nie masz roboty.

Eddie nie odpowiedział. Zaczął ciągnąć smycz, ale Shiba usiadła i nie chciała iść dalej.

– Wczoraj w gazecie było ogłoszenie o pracę – kontynuował Ansgar – nie wiem, czy je widziałeś. Szukają konserwatorów budynków. Pomyślałem o tobie, wiesz, bo nie trzeba mieć wykształcenia, żeby wymieniać żarówki.

– Chyba robią dużo więcej niż wymienianie żarówek – mruknął Eddie. – Poza tym jestem niepełnosprawny, tak powiedział lekarz.

Ansgar uśmiechnął się szeroko. Jego zęby były małe, spiczaste i dość żółte.

– Ale większość ludzi jakoś sobie radzi. Odgarniasz śnieg jak maszyna. Możesz odgarnąć też u mnie – zasugerował – zapłacę.

Eddie szarpnął gwałtownie smycz i postawił Shibę na nogi, bez słowa pobiegł drogą. Wszedł do domu, zdjął psu obrozę, odwiesił kurtkę i położył dwie koperty na kuchennym stole. Mass przyjrzała się im z przygnębieniem i wróciła do gotowania, Eddie opadł na krzesło, a Shiba zwinęła się w kacie i zasnęła.

– Ledwo chodzi – stwierdził Eddie – coś jest nie tak z jej tylnymi łapami.

Mass zwróciła się do syna.

– Wiem. Powinam iść z nią do weterynarza, ale ciągle to odkładam.

– Domyślam się, jak to się skończy – stwierdził Eddie, składając ciężkie pięści na stole.

Mass nie odpowiedziała. Znużonym ruchem odgarnęła włosy z czoła. Eddie wstał z krzesła i podszedł do Shiby. Położył się obok niej na podłodze. Poruszyła się niespokojnie i chciała uciec, ale nie miała siły, więc Eddie wsunął rękę pod jej klatkę piersiową. Czuł, jak serce małego psa bije słabo.

*

Lipiec 2005

– Absolutnie wszystkie wskazówki traktujcie poważnie – zastrzegł Konrad Sejer. – Zanotujcie wszystko, nazwisko, miejsce i czas, samochody i ludzi. Nawet kompletnie nieuzasadnione podejrzenia. Wątpliwości i fantazje bujnej wyobraźni. Rozdzielcie je między siebie i bądźcie czujni. Chcę wiedzieć każdą, nawet najmniej istotną rzecz. Jeśli macie wątpliwości, porozmawiajcie ze Skarrem, tutaj nie możemy niczego przeoczyć. Odłóżcie wszystko inne.

Podszedł do mapy wiszącej na ścianie i wskazał.

– Zakładamy, że przyszedł jedną z trzech dróg. Z Geirastadir i tamtejszego parkingu dalej przez pola, przypuszczalnie skrajem lasu. Jacob i ja przemierzmy ten odcinek, zajmie to piętnaście minut. Opcja druga: przybył z Haugane. Ponownie, mógł zaparkować w pewnej odległości, może nie powinniśmy, ale przyjmujemy za pewnik, że przyjechał samochodem. Ten odcinek jest krótszy i być może bardziej prawdopodobny. Trzecią opcją jest oczywiście to, że przeszedł przez podwórko gospodarstwa Skarven, ale to mało realne. Miał też przy sobie nóż. Mógł go schować pod ubraniem, ale szansa na wykrycie byłaby dość duża, mieszka tam jedenaście osób.

Zostawił mapę i usiadł przy stole.

– Jeden z polskich robotników zauważył stary czerwony samochód nieco dalej na drodze do gospodarstwa – powiedział. – Czwartego lipca. Samochód był obcy,

nie widział go wcześniej. Stał tam przez kilka minut, zanim znowu zniknął. Robotnik pomyślał wtedy, że to ktoś pomylił drogę. Ale ten samochód jest oczywiście interesujący. Możliwe, że ktoś obserwował Bonnie i Simona w dniach poprzedzających zbrodnię. W pewnym momencie mógł zobaczyć, jak znikają w przyczepie, Bóg jeden wie, co nim kierowało.

Przerwał i spojrzał na otaczających go ludzi, było ich dziesięciu, siedmiu mężczyzn i trzy kobiety. Robili notatki i słuchali uważnie, z wielkim szacunkiem. Każdego ranka o siódmej spotykali się w tym pokoju i rozdzielali zadania na dany dzień. Każdy dostawał swoją działkę.

– Nie zostawił żadnych odcisków palców – ciągnął Sejer – musimy założyć, że nosił rękawiczki. Dlatego dziwne, że zostawił nóż. Zaskakujące niedopatrzenie. To bardzo chaotyczne zdarzenie. Zaplanowane, a jednak chaotyczne. To nie było morderstwo w afekcie, musiał być jakiś plan.

Sejer i Skarre zjedli lunch razem w kantynie. Lato było jeszcze upalne, a z prognoz długoterminowych wynikało, że wysokie temperatury utrzymają się jeszcze długo. Sejer kupił więc lody, podczas gdy Skarre pochłoniął kanapkę z krewetkami i jajkiem, a kiedy skończyli, zeszli na parking podziemny. Skarre wycofał służbowy samochód i już po chwili byli w drodze do Geirastadir, dobrze znanego terenu spacerowego.

– Złapiemy go. – Skarre był tego pewny. – To psychopata, może się wymigać od kary. Trafi do szpitala psychiatrycznego, z którego wyjdzie po kilku latach dzięki lekowi. Powie, że nic nie pamięta. Osobiście proponuję wsadzić go do celi. I wyrzucić klucz.

Sejer wyjrzał przez okno samochodu.

– Wielu się z tobą zgodzi. Ale nasz system taki nie jest. Za kilka lat wyjdzie i znów będzie chodził pośród nas. Będzie mieszkał, będzie pracował, będzie żył.

– Nie ma sposobu, aby odpokutować za coś takiego.

– Chyba nie. Pracujesz w policji, musisz to po prostu przełknąć. Nie zapomnij skrócić w prawo.

Droga była pełna kamieni i wybojów, a Skarre prowadził samochód tak ostrożnie, jak to tylko możliwe, przez ostatni odcinek do parkingu. Stało tam już

kilka samochodów, a młoda para właśnie pakowała dziecko do niebieskiego nosidełka, wątle ciało w dużym kapeluszu przeciwsłonecznym. Na końcu wysypanego żwirem placu stał drewniany drogowskaz. Saga dziewięć kilometrów, Svarttjern cztery kilometry, Haugane trzy. Mężczyzna usadził wreszcie dziecko, uniósł nosidełko na plecy, a kobieta założyła okulary przeciwsłoneczne. Ale zatrzymali się, gdy dwaj mężczyźni podeszli.

– Często tu państwo przychodzą? – zapytał Sejer.

Potwierdzili, ale dopytani uściślili, że nie, nie było ich tu piątego lipca. Nic nie zauważyli. Wybrali drogę w górę w kierunku Svarttjern, a Sejer i Skarre ruszyli ścieżką przez pola do gospodarstwa Skarven. Skarre się nie spieszył. Idąc, rozglądali się za polskimi robotnikami. Nawet jeśli Randen za nich ręczył, nie ulegało wątpliwości, że byli w pobliżu miejsca zbrodni. Widzieli kobietę i dziecko z bliska, śledzili ich wzrokiem. Mieli przeszłość w Polsce, o której nikt nic nie wiedział, a najstarszy, Wojciech, był rzeźnikiem, chociaż to akurat niezręcznie byłoby wykorzystać. Przez chwilę szli w milczeniu pod palącym słońcem. Skarre pocił się pod mundurem. Pragnął rozwiązania, coś napędzało go jak silnik.

– Mamy tu na pewno do czynienia z jakimś zaburzeniem zachowania – powiedział – ale jest ich przecież tak wiele. Może ktoś go zdenerwował, może był pod wpływem jakichś środków.

Znów szli w milczeniu. Skarre kontrolował czas.

– Trzyście minut – zameldował – jest przyczepa.

Zatrzymali się i popatrzyli, a potem przeszli pod biało-czerwonymi taśmami do małego domku na kółkach, otoczonego czarną kępą drzew. Z daleka wyglądała niemal idyllicznie, ale kiedy znów ruszyli, żołądki mieli skręcone z nerwów. Wąskie drzwi były zamknięte, weszli na schody. Skarre przysiadł na stopniu. W wewnętrznej kieszeni miał paczkę żelków, teraz wyjął zielonego misia i włożył go do ust, był całkiem smaczny. Przeżuwając, spojrzął w górę na gospodarstwo, zobaczyli idącego przez pole mężczyznę w niebieskim kombinezonie i rozpoznali Roberta Randena.

– Widziałem panów przez okno – powiedział, gdy dotarli na miejsce. – Jak idzie?

Sejer stał tyłem do przyczepy.

– Słyszałem, że znaleźliście ślad stopy – kontynuował – czy to coś da? Tylko jednego buta? – Włożył ręce do kieszeni.

– Skąd pan to wie?

– Słyszałem podczas przeszukania, że na podłodze jest ślad.

– Absolutnie nie wolno panu o tym nikomu wspominać – upomniał Sejer. – Jeśli ta informacja trafi do prasy, morderca pozbędzie się butów.

Randen zrozumiał.

– Chciałbym wiedzieć, kiedy będę mógł wywieźć stąd przyczepę. Żona pyta – dodał. – Rozumieją panowie, widzimy ją z okna sypialni i nie daje jej to spokoju. Stoi wieczorem i patrzy tu w dół, nie może się uspokoić. Zabroniłem dziewczynom tu przychodzić, zresztą same nie chcą. Koledzy z klasy dokuczają im, chcą szczegółów. Lokalna gazeta zapukała wczoraj do drzwi, chcieli usłyszeć moją wersję. Ale odesłałem ich.

– To bardzo dobra decyzja – powiedział Skarre ze schodów.

– Wybierają się panowie na pogrzeb? – kontynuował Randen.

– Tak – potwierdził Sejer – to oczywiste. Będziemy się często kontaktować z rodziną w najbliższym czasie.

Randen wyraźnie zbierał się do odejścia, ale jeszcze raz się odwrócił.

– Tak, głównie zastanawiałem się, czy mogę odholować stąd przyczepę. Jakoś niedługo.

– Nie – zaprzeczył Sejer – obawiam się, że będzie musiała tu zostać jeszcze jakiś czas.

Następnie pojechali do Haugane. Stali tam przez chwilę i badali okolicę. Stąd też mogli zobaczyć gospodarstwo, a Skarre znów się nie spieszył. Ta droga była krótsza, ale trudniejsza, nie można było stwierdzić, skąd przyszedł. Mimo to chcieli sprawdzić tę ścieżkę, badali ją czujnie, na wypadek gdyby pozostawił po sobie ślady. Nic jednak nie znaleźli. W drodze powrotnej zatrzymali się na stacji benzynowej i Sejer poszedł kupić lokalną gazetę. Potem siedział w samochodzie i przeglądał ją, za działem kulturalnym znalazł nekrolog. Matka Bonnie, Henny Hayden napisała go we współpracy z domem pogrzebowym.

„Dziś, piątego lipca brutalnie odebrano nam ukochaną córkę Bonnie i najdroższego wnuka Simona. Henny i Henrik”.

*

Grudzień 2004

Tego ranka Bonnie miała zacząć od sprzątanía u Kristine, ale najpierw wpadła do biura, żeby porozmawiać z Ragnhild. Wręczyła rachunek za pościel, którą kupiła dla Ingemara, a szefowa obiecała szybko przelać pieniądze. Siedziały przez chwilę i rozmawiały o incydencie, Ragnhild była w kontakcie z rodziną, chyba zrozumieli powagę sytuacji.

– Postaramy się znaleźć pilne rozwiązanie – obiecała – tak już nie może dalej być. Kto jest dziś pierwszy na twojej liście?

– Kristine.

– Zaciśnij zęby – powiedziała Ragnhild.

Kristine mieszkała w Reistad z mężem i dwójką dzieci. Dom był okazały i wysoki, z ogromnym dwustanowiskowym garażem i kolumnami przy wejściu, obrośniętymi chmielem. Pod tabliczką z numerem wisiała żelazna podkowa. Za każdym razem, gdy Bonnie tu wchodziła, uderzała ją cała ta zamożność, tak inna niż jej życie. Zbliżyła się do rzeźbionych dębowych drzwi, a kiedy położyła palec na dzwonku, usłyszała stłumiony dźwięk wewnątrz domu. Po chwili weszła do środka, stanęła na chwilę w przedpokoju, prawie tak dużym jak jej salon, z sufitem zawieszonym wysoko. Kamienne płytki były pokryte ciężkimi dywanami, Kristine wyjaśniła, że to perski hamadan. Bonnie tego nie rozumiała, sama miała dywan z IKEA za dziewięćset koron, o długim biało-czarnym włosiu. Postawiła stopę na dywanie. Prawdopodobnie tknęły go dzieci, małymi paluszkami. Weszła po schodach na piętro i znalazła Kristine i dzieci w dużej kuchni. Dzieci miały osiem i dziewięć lat, siedzieli przy stole z kanapkami. Dokuczały im silne alergie, były nadwrażliwe pod każdym względem, zarówno na jedzenie, jak i na pyłki, kurz i oczywiście zwierzęta. Dlatego zadaniem Bonnie było usuwanie wszelkiego kurzu

z domu. Choć Kristine miała zaledwie trzydzieści dwa lata, otrzymała pomoc od gminy na czas nieokreślony. Po wizycie u kręgarza doznała chwilowego paraliżu nóg i poruszała się powoli i z wielkim trudem. Nie mogła zajmować się domem, spędzała głównie czas na gotowaniu jedzenia, które Thomas i Tale ledwo tolerowali. Pracowała jako stewardesa w SAS, a jej mąż był pilotem.

– Tata jest w Bangkoku – oznajmił Thomas.

– Ale super – odpowiedziała Bonnie. – Może wam coś przywiezie, musicie być bardzo podekscytowani.

– Kiedy zjecie, idźcie do swoich pokoi posprzątać – zarządziła Kristine.

– Pomoc domowa może to zrobić – rzuciła Tale, żując kromkę chleba z kremem czekoladowym.

Nie dostała reprymendy od matki. Bonnie weszła do jej pokoju, gdzie musiała przez chwilę zebrać się w sobie. W łóżku Tale miała mnóstwo pluszaków, kiedyś je policzyła. W sumie było ich dziewiętnaście, dużych i małych. Pomyślała o jedynym pluszowym misiu, którego dała Simonowi. Wyjęła odkurzacz z szafki i zabrała się do pracy. Przy silnej alergii na kurz, takiej jak u Tale, pluszaki należałoby usunąć, ale nie śmiała tego powiedzieć. Kiedy skończyła, poszła do Thomasa. On nie miał maskotek, natomiast na długich półkach stały modele samolotów, samochodów i statków, które ojciec kupił w czasie długich podróży. Kiedy skończyła, odłożyła odkurzacz i poszła do kuchni.

– Mam taki pomysł – zaczęła Kristine, stała przy blacie, opierając rękę na biodrze. – Może dzisiaj przejrzymy regały z książkami.

Bonnie przyjęła polecenie w milczeniu.

– Na wszystkich książkach jest obwoluta – kontynuowała Kristine – i zazwyczaj są dosyć brzydkie. Ale pod nimi jest sztuczna skóra, a czasem nawet prawdziwa, czarna lub czerwona. Więc jeśli wyjmiesz wszystkie książki z półek i usuniesz obwoluty, a potem poukładasz je z powrotem według kolorów, regał będzie wyglądać naprawdę elegancko.

Bonnie kiwnęła mechanicznie głową. Pomyślała, nie po raz pierwszy, że absolutnie nie jest to zadanie gminnej pomocy domowej, ale zawsze robiła wszystko, co w jej mocy, aby pomóc swoim klientom. A zabawa książkami powinna być przyjemniejsza niż mycie podłóg, choć właśnie tym powinna była się zająć, zwłaszcza przy tych wszystkich uczuleniach. Weszła do dużego salonu

i spojrzała na regały z książkami. One też były wykonane z dębu i stosunkowo niskie, stały jeden przy drugim, trzy sztuki. Przynajmniej nie musiała szukać drabiny. Wyjęła wszystkie tomy z półek. Przeczytała tytuły: *Cena miłości*, *Głód serca*, *Śmierć jaskółki* i *Wybór Rebeki*. Bonnie ułożyła książki w stosy na podłodze, nie za wysokie, obawiała się, że mogą się przewrócić, zadbała też o wygodne przejście, była dokładna. Zaczęła odczuwać zmęczenie w plecach od pochylania się do najniższych półek, czasem przyklękała. Z kuchni dobiegały odgłosy sprzeczki dzieci. Kontynuowała wyjmowanie książek, aż w końcu półki były puste. Następnie przyniosła środek do czyszczenia mebli. Dokładnie tak, jak mówiła Kristine, większość grzbietów była czarna lub czerwona, ale znalazło się też kilka brązowych i zielonych, te umieściła na dole, a czarne i czerwone na samej górze. Pracowała wolno i metodycznie, wkładając tomy na półki, a obwoluty gromadziły się na wielkim stosie na podłodze. Po chwili weszła Kristine, niosąc duży czarny worek na śmieci. Poprosiła Bonnie, żeby zeszła na dół i wyrzuciła wszystko do pojemnika na papier. Sama stanęła nieco dalej, podziwiając regały. Wskazała je czerwonym paznokciem i powiedziała:

– Super.

Kiedy skończyła, pojechała do kawiarni By the Way i kupiła bułkę z serem i szynką oraz kawę. Usiadła przy oknie i patrzyła na zewnątrz. W myślach planowała wieczór, jej przyjaciółka Britt miała przyjść w odwiedziny, na co bardzo się cieszyła. Zawsze spędzały wiele godzin na rozmowach, a po tym, jak Simon zasnął, na intymnych zwierzeniach. Jedząc kanapkę, obserwowała ruch uliczny, przejeżdżało wiele ciężarówek. Przy kawiarni By the Way zawsze stały kolejki kamperów, wiele z nich zagranicznych, z Niemiec, Polski, Holandii i Danii. Gdy skończyła, podniosła się od stołu i pojechała do Gjertrud.

Spotkanie z Gjertrud było punktem kulminacyjnym tygodnia. Ta dobroduszna staruszka czyniła jej pracę wartą zachodu mimo wszystkich trudności. Gjertrud nie była najstarsza, właśnie skończyła osiemdziesiąt pięć lat, a Jørgen miał sto jeden. Była żywa i energiczna jak na swój wiek, mimo zaawansowanego artretyzmu, miała palce zakrzywione jak ptasie pazury i musiała na co dzień znosić silny ból.

Nigdy jednak nie narzekała. Stała u drzwi i przywitała Bonnie z rozpromienioną twarzą. Jej białe włosy wyglądały na nieco rozczochrane, więc Bonnie postanowiła je ułożyć. Przez chwilę siedziały w ciepłym salonie, każda w swoim wygodnym fotelu, a Gjertrud wzięła kieliszek okowity i podniosła do ust.

– Codziennie piję trochę wódeczki – powiedziała – myślisz, że to szkodzi?

– Nie – głos Bonnie brzmiał stanowczo – to raczej ci służy.

Starsza kobieta uśmiechnęła się wdzięcznie. Ledwo była w stanie utrzymać kieliszek w dłoniach zdeformowanych przez artretyzm. Bonnie oparła się wygodnie w fotelu. Chciała zamknąć oczy, ale wiedziała, że nie może, natychmiast by zasnęła. Mimo to pozwoliła sobie na chwilę spokoju.

– Chyba muszę się zabrać do pracy – stwierdziła, odsuwając się od stołu. Gjertrud zaprotestowała.

– Nie, zostań jeszcze trochę. Tak miło mieć towarzystwo, a ty zawsze biegasz z miotłą, tak że widzę tylko twoją pupę.

Bonnie zaśmiała się, po chwili obie się śmiały, a za oknem starego domu cicho padał śnieg. Kot Gjertrud spał przed piecem.

– Gdzie spędzisz Wigilię? – zapytała Bonnie. – Czy będziesz miała gości?

– Idę do Edith, mieszka tu obok. Pomaga mi we wszystkim, robi zakupy, przynosi pocztę.

Gjertrud nie miała dzieci, Bonnie nigdy nie pytała dlaczego, to nie była jej sprawa. Wcześniej została wdową i przez wiele lat mieszkała samotnie. Miała tylko białego kota, a kiedy ten wychodził, martwiła się, bo na ulicy panował duży ruch. W końcu Bonnie musiała wstać i sięgnąć po wiadro z mopem. Ale Gjertrud nie przejmowała się kurzem, była bardzo zadowolona, że Bonnie przychodziła co tydzień. Po sprzątaniu pomogła starszej kobiecie wyjść do łazienki, usadziła ją na krześle i umyła w umywalce jej miękkie białe włosy. Gjertrud musiała siedzieć tyłem i głową opierać się o krawędź, to nie było wygodne dla starego ciała. Dlatego Bonnie pracowała szybko, dokładnie wypłukała i wytarła włosy, potem poszły do kuchni, by znaleźć wałki. Piękne białe pasma były cienkie, więc starała się nie nawijać ich zbyt mocno. Na koniec przykryła je cienką chustką i zawiązała ją z tyłu na karku.

– Mój mały Kopciuszek – powiedziała Bonnie z czułością. – Teraz będziesz piękna.

Gdy musiała ją w końcu opuścić i stanęły w przedpokoju, Gjertrud położyła dłoń na ramieniu Bonnie, a jej ręka drżała.

– Na pewno wrócisz? – zapytała z nadzieją, miała łzy w oczach.

– Oczywiście, że tak – odparła Bonnie. – Już za tydzień.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz, uderzyło je zimno. Kot Gjertrud przebiegł obok nich, chciał wyjść.

*

Lipiec 2005

– Myślisz, że coś powiedział? – zapytał Jacob Skarre.

Jechali na umówione spotkanie w biurze pomocy społecznej. Ragnhild Strøm siedziała i czekała, cały czas wyglądając przez okno, przez ostatnią godzinę nie mogła się na niczym skupić.

– Masz na myśli tam, w przyczepie? – zapytał Sejer.

– Tak. Czy błagali o życie. Czy zaoferował im jakiegokolwiek wyjaśnienie.

– A może czekali na niego – spekulował Sejer – może to był znajomy, często tak jest. Być może opuścili dom w Blåkollen, aby się ukryć. Przyczepa świetnie się do tego nadawała. Ale i tak ich znalazł.

Kiedy jechali, Sejer siedział i rozmyślał, mieli przed sobą wiele przesłuchań, do których musiał przygotować pytania. Teraz chciał usłyszeć o pracy Bonnie, potrzebował wglądu w jej życie. W to, co robiła i jak to robiła. Jego własna matka przez pewien czas korzystała z takiej pomocy, zanim trafiła do domu opieki. Teraz nie żyła, Sejer nie miał też rodzeństwa.

Ragnhild Strøm miała biuro na parterze, trzecie drzwi po lewej stronie. Kiedy weszli, wstała i przywitała się z nimi. Wcześniej ustawiła przed biurkiem dwa dodatkowe krzesła, pożyczyła je z pomieszczenia obok.

– Nie mogę panom pomóc – zaczęła. – Właściwie to niewiele wiem o Bonnie, ona nigdy się nie zwierzała. Dlatego mogę tylko skomentować jej pracę. O tym mogę mówić dużo, była absolutnie wyjątkowa.

– Więc niewiele wie pani o jej życiu prywatnym? – zapytał Sejer. – Czy zupełnie nic?

– Bardzo mało. Miała mały dom w Blåkollen. Mieszkała tam sama ze swoim synem Simonem. W domu nie było mężczyzny, ojciec dziecka ich porzucił, więc Simona wychowywała sama, mały chodził do przedszkola. Nikogo poza sobą nie mieli. Bez przerwy mówiła o Simonie i wiem, że nie znosiła zostawiać go każdego ranka. Ciężko jest zaczynać dzień pracy w ten sposób, wiadomo.

– Jak długo tutaj pracowała? – spytał Skarre.

– Od ponad ośmiu lat. Kiedy Simon się urodził, był najpierw w miejskim żłobku. I muszę zaznaczyć coś ważnego. Niewielu ludzi wytrzymuje w tej pracy tak długo, więc w pewnym sensie to, że wytrwała, mówi wszystko, co trzeba wiedzieć o Bonnie.

– Nie miała cały czas tych samych klientów, prawda?

– Nie, wiadomo, ciągle się zmieniają. Większość przenosi się do różnych instytucji. Miała zawsze dziesięciu, codziennie dwa domy, dość pracy na pełny dzień roboczy. Wstyd to mówić, ale i tak powiem. Wielu z naszych klientów jest dość uciążliwych, wymagających w ten lub inny sposób. A pomoc domowa nie zawsze czuje się mile widziana. Mam takie straszne wyrzuty sumienia – rzuciła nagle.

Zamknęła oczy. Po chwili oczekiwania Sejer musiał dopytać:

– Skąd wyrzuty sumienia?

– No, tak jak powiedziałam. Wielu klientów jest dosyć trudnych. Często przychodzą do mnie pomoce domowe. Mówią: odmawiam pójścia do Erny, albo: nie będę już sprzątać u Ingemara, dłużej tego nie zniosę. Mam wtedy straszny dylemat. Z jednej strony klientom przyznano wsparcie pomocy domowej i w tym sensie pracownicy mają obowiązek udać się pod wskazany adres. Z drugiej strony muszę też dbać o moich podwładnych. Sama byłam pomocą domową, wiem wszystko o pracy w domu klienta, którego nie lubisz. Wielu z nich w ogóle nie chce pomocy, to krewni naciskają, potrzebują kogoś innego, kto weźmie odpowiedzialność. Trudny i niewdzięczny klient siedzi na żołądki, pracownik obawia się go przez cały tydzień. Niektórzy starzy ludzie dzwonią prywatnie do pomocy domowych, ot tak, żeby pozrzedzić. Rozwiązaniem zawsze była Bonnie. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy protestować, spełniała swój obowiązek. Innymi

słowy, w końcu wylądowała z kompletem najtrudniejszych klientów. Nie tylko do nich chodziła, ale wykonywała swoją pracę najlepiej, jak potrafiła, i nigdy nie było żadnych skarg. Wydaje mi się, że nawet lubiła ich wszystkich, na swój własny, cierpliwy sposób. I przez te osiem lat prawie nie miała nieobecności. Wielu naszych pracowników często bierze zwolnienia, narzekają na plecy. Mam wtedy niezłą kabałę do ułożenia, bo trzeba znaleźć zastępstwo. Znow, zwykle była to Bonnie. Jak ja mogłam!

– Czy starszycy zostali poinformowani o tym, co się stało?

– Oczywiście – odpowiedziała Ragnhild – przynajmniej ci, którzy są w stanie zrozumieć. Przede wszystkim rozmawialiśmy z rodzinami i to im zostawiliśmy przekazanie wieści w delikatny sposób.

– Potrzebujemy listy – stwierdził Sejer – wszystkich, do których chodziła.

– Zamierza pan z nimi rozmawiać?

– Tak. Nie sądzi pani, że zasługują na to? Być może nawet mają do tego prawo. Będziemy działać spokojnie – obiecał.

Ragnhild przejechała palcami po klawiaturze i wkrótce znalazła kartę Bonnie i wszystkich jej podopiecznych wraz z dokładnymi adresami. Drukarka zaczęła pracować.

– Myśli pani, że ktoś z nich przyjdzie na pogrzeb? – zapytał.

Skinęła głową.

– Na pewno tak, chociaż może nie wszyscy. Sami są blisko śmierci, to tylko kwestia czasu, może się to wydarzyć w każdej chwili, w łóżku albo toalecie.

*

Grudzień 2004

Britt przysłała do Blåkollen o ósmej, Bonnie położyła już Simona spać. Dziś w jego pokoju. Nie zasnął jeszcze, leżał i słuchał, niewielu ludzi przychodziło do domu, tylko Britt i babcia Henny. Dziadka Henrika widywał rzadko, zazwyczaj nie towarzyszył babci.

Słyszał głosy na korytarzu, chwilę później kobiety przeszły do kuchni, drzwi były uchylone, widział tylko cienie.

– Kupiłam prezenty świąteczne – mówiła Britt – ten mały jest dla ciebie, a ten większy dla Simona.

Serce chłopca zabiło mocniej. Już niedługo święta, ale wydawało mu się, że czas mija bardzo powoli. Wigilię spędzali wszyscy razem, dziadek zazwyczaj siedział cicho w fotelu, nie uczestniczył w rozmowie, ale jadł z dużym apetytem.

– Ach, jak pięknie pachniesz – powiedziała Britt.

– Chanel numer pięć – pochwaliła się Bonnie – od Erny.

– No tak, dobrze, że ktoś cię docenia. Zasługujesz na to.

Nagle Simon usłyszał kroki, drzwi powoli otworzyły się trochę. Światło z kuchni padło na podłogę.

– Śpisz? – szepnęła Britt.

Simon podniósł się w łóżku. Teraz był całkowicie zajęty myślą, że przyniosła mu prezent świąteczny. I zaznaczyła, że jest duży.

– Czy dostanę przytulasa?

Nie odpowiedział, ale usiadł na łóżku. Britt zbliżyła się na palcach, pochyliła się nad łóżkiem i przytuliła go.

– Bądź grzeczny dla mamy – upominała go łagodnie. – Nie marudź, kiedy idziesz do przedszkola, bo jeśli nie pójdziesz, mama nie będzie mogła pracować, a wtedy nie będzie pieniędzy. A bez pieniędzy nie będzie świąt.

Skinął głową.

– Połóż się i śpij – poprosiła. Wróciła do Bonnie. Postawiła na blacie garnek, było w nim gotowe danie. Obok stała butelka dobrego czerwonego wina. Bonnie zakreśliły się w oczach łzy. Britt myślała o wszystkim, znaczyła dla niej tak wiele. Sama była bardzo zajęta mężem i trójką dzieci oraz pracą w lotniczym pogotowiu ratunkowym.

Przeszły do salonu. Britt zerknęła na rośliny na podłodze ustawione w okręgu oraz zabawki w kształcie dzikich zwierząt. Bonnie podgrzała jedzenie i nakryła do stołu.

– Jesteś coraz chudsza – zauważyła Britt, kiedy zaczęły jeść.

– Zawsze byłam chuda.

– Nie tak jak teraz, wyglądasz jak przecinek.

Przez chwilę jadły w milczeniu. Britt cały czas uzupełniała kieliszek Bonnie. Sama wypła tylko jeden, bo musiała wrócić samochodem.

– Opowiedz mi o ostatniej akcji ratunkowej – poprosiła Bonnie. – Czy było strasznie?

– Zawsze jest straszne. Ostatnio zabraliśmy poszkodowanych w pożarze w Ringstad. Mężczyzna, około pięćdziesięciu lat, w potwornym stanie. Oparzenia trzeciego stopnia na dużej powierzchni ciała po eksplozji w garażu. Był przytomny, kiedy wniesiono go na pokład helikoptera. Miał nawet dość siły na żarty. Siedziałam obok niego w drodze na oddział oparzeniowy w Haukeland. „Lekarze to jakoś ogarną”, uśmiechnął się odważnie. Musiałam udawać, że nie mam pojęcia o niczym, i brać udział w żartach. Wiedziałam, że nie przeżyje z tak poważnymi oparzeniami.

– Co? – wykrzyknęła przerażona Bonnie. – Czy on nie żyje?

– Przeżył tylko kilka godzin. Zostawił żonę i czwórkę dzieci oraz trójkę wnuków. Coś jest z mężczyznami – dodała – lekceważą bezpieczeństwo. Widać to także w sylwestra, co roku tracą palce.

Nalała Bonnie wina.

– Teraz opowiedz mi, jak ty się masz. Ile masz wolnego na święta?

– Czternaście dni. – Bonnie była bardzo zadowolona. – To dla mnie raj. A ty? – zapytała. – Będziesz pracować?

– Tak, nie przeszkadza mi to. Jens wszystko ogarnie w domu.

– Jesteś taka silna.

– To prawda, ale ty też. I wiem, że nienawidzisz, kiedy to mówię, ale myślę, że powinnaś znaleźć sobie kogoś. Simon potrzebuje ojca, wszyscy chłopcy tego potrzebują.

– Czyli myślisz, że powinnam iść wieczorem na miasto? – spytała Bonnie. – A kto wtedy zajmie się Simonem, kiedy ja będę flirtować?

Britt się uśmiechnęła.

– Nie bądź niemądra, mamy przecież internet. Wszyscy teraz znajdują w ten sposób partnera i nie ma w tym żadnego wstydu.

– Przecież nic takiego nie powiedziałam – usprawiedliwiała się Bonnie. – Ale mam złe doświadczenia. Wiesz o tym doskonale.

– Nie wszyscy są jak Olav – odparła Britt. – Może czas przyjąć to do wiadomości. Przepraszam, że to mówię, ale są uczciwi mężczyźni, sama znalazłam jednego.

– Wiem, jesteś szczęściarą. Nie przeżyłaś tego samego co ja.

Wstała i posprzątała ze stołu, poszła do kuchni i zaparzyła kawę. Później usiadły na kanapie i rozmawiały do północy. Wreszcie odprowadziła Britt na zewnątrz, gdzie czerwone volvo stało pokryte lekką warstwą śniegu.

– Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować – powiedziała Britt i przytuliła ją. – Mogę zająć się Simonem, kiedy będziesz wychodzić na randki.

– Masz przecież własną trójkę. Lepiej, jeśli poproszę mamę.

– Pamiętaj, co mówiłam. Mam męża. I kiedy go o to proszę, zajmuje się dziećmi, bo robi wszystko, co mówię.

Bonnie zakradła się do sypialni i zgasiła światło. Simon spał głęboko, rozkopał się. Ostrożnie przykryła go kołdrą, a potem myślała o nadchodzącym dniu. Po winie czuła się senna. Już niedługo Boże Narodzenie. Musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby te dni były jak najpiękniejsze, bo Simon tak bardzo się na nie cieszył, że prawie nie mógł usiedzieć w miejscu. Miała też nadzieję, że nie spadnie zbyt dużo śniegu, bo musiałyby odśnieżać, to było takie trudne. Już tak bardzo bolały ją plecy po całym tym sprzątaniu. Poszła do swojego łóżka, obróciła się twarzą do ściany i zasnęła, a zmartwienia uciekały jak piasek w klepsydrze.

*

Simon się obudził i szarpnął jej kołdrę. Zaskoczyło ją to, zawsze wstawiała pierwsza, ale wino ją oszołomiło, była zmęczona. Synek wtulił nos w jej kark i poczuł rozkoszny zapach perfum z poprzedniego wieczoru. Był bardzo podekscytowany, bo odbył szybką wycieczkę do kuchni, a tam leżały obok siebie na blacie dwa prezenty. A także duży garnek, którego nigdy wcześniej nie widział. Bonnie odrzuciła kołdrę i postawiła stopy na podłodze, ruszyła do małej łazienki, żeby się ubrać. Simon stał w drzwiach i czekał, a kiedy była gotowa, oboje wyszli

do kuchni. Bonnie zobaczyła paczki, których zapomniała schować. Popatrzyła na Simona surowym spojrzeniem.

– Nie dłubałeś w nich, prawda? – zapytała groźnie.

– Może trochę – odpowiedział Simon skruszony. – Są bardzo twarde.

Bonnie roześmiała się rozbrojona. Delikatnie podniosła małą paczkę, było w niej pudełko. Potem wspięła się na krzesło i schowała prezenty na górnej półce szafki kuchennej, gdzie Simon nie mógł się wspiąć.

– Co jest w garnku? – zapytał, wskazując palcem.

– Jedzenie, które przyniosła Britt. Jeszcze dużo zostało, dostaniesz na kolację, jest pyszne.

Potem zrobiła mu owsiankę, jak zwykle. Był dziwnie spokojny, w ogóle nie marudził przy wyjściu do przedszkola. Przypomnił sobie przestrożę Britt, że bez pieniędzy nie byłoby świąt Bożego Narodzenia. Posypał owsiankę cukrem. Jego jasne loki urosły za kark, powinien iść do fryzjera, ale Bonnie szkoda było tych pięknych kędziorków. Babcia Henny zdążyła już skomentować, że wygląda jak dziewczynka.

– Co dzisiaj będziesz robić z Martą? – zapytała pełnym zapału tonem, bo chciała podtrzymać ten nastrój, lepszy niż zazwyczaj.

– Marta wyjechała na Canarię – rzucił z buzią pełną owsianki. – Kąpią się.

– Chyba masz na myśli Gran Canarię – poprawiła go Bonnie. – Pewnie jest tam pięknie.

– Możemy tam kiedyś pojechać?

– Może. Kiedy będzie nas stać. Ale samolot bardzo dużo kosztuje.

Poczuła ukłucie w sercu na myśl o tym wszystkim, czego nie była w stanie mu dać.

Ubrali się i wyszli na śnieg, w nocy sporo padało, na widok zasp na podjeździe poczuła niepokój. Przypięła Simona na tylnym siedzeniu i odgarnęła miotłą śnieg z dachu, po czym wsiadła i ruszyła. Tak jak się obawiała, koła kręciły się w miejscu. Trzy razy z rzędu dodała gazu, ale samochód tylko się głębiej zakopał. Przygnębiona oparła czoło o kierownicę i jęknęła.

– Mogę popchnąć – zaproponował Simon z tylnego siedzenia, odpinając pas.

– Nie, tak się nie uda, musimy wymyślić coś innego.

Wysiadła, żeby zobaczyć, co się da zrobić, nie wyglądało to dobrze. Może mogłaby podłożyć coś pod koła, ale co? Przydałyby się jakieś deski, ale nie miała do nich dostępu. Patrzyła przygnębiona na drogę, a zegar tykał. W końcu wpadła na pomysł i zniknęła w domu. W przedpokoju miała dwa stare dywany, teraz je zwinęła i znowu wyszła na śnieg. Simon patrzył na to wszystko z tylnego siedzenia. Nie podobała mu się rozpacz matki, bał się. Bonnie rozwinęła dywany i jak najgłębiej wsunęła je pod koła, po czym usiadła z powrotem za kierownicą. Złapała oddech i uruchomiła samochód. Natychmiast poczuła, że ma przyczepność, najwyraźniej jednak za małą. Dwukrotnie próbowała ruszyć, ale dywany odjechały. Znowu wysiadła. Wzięła łopatę, którą trzymała przy schodach, pochyliła się i wpychała dywany pod koła tak głęboko, jak się dało. Wykorzystała całą swoją siłę, klnąc pod nosem. Odrzuciła łopatę na śnieg i spróbowała jeszcze raz. Udało się za trzecim podejściem, co powitała wiwatem ulgi.

Pojechała do Jørgena, który miał sto jeden lat.

Mieszkał w mieszkanku o powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych, był niskim mężczyzną w całkiem dobrej formie. Jego policzki były niezwykle gładkie, miał gęste, delikatne włosy i zawsze był schludnie ubrany w koszulę i spodnie. Każdego ranka wstawał o piątej i robił sobie śniadanie, a każdego popołudnia sam przygotowywał gorący posiłek. Co wieczór kładł się spać o ósmej, po wiadomościach, i z tego, co Bonnie słyszała, zawsze dobrze spał. Jørgen miał siedemdziesięcioletnią córkę, którą umieścił w zakładzie. Miała demencję i wymagała całodobowej opieki. W każdy piątek ją odwiedzał, jeździł taksówką w obie strony, od czasu do czasu przywoził kwiaty, ale zupełnie je ignorowała. Jørgen miał ośmioro rodzeństwa, wszyscy dawno już nie żyli. Ponieważ mieszkanie było tak małe i łatwe w utrzymaniu, Bonnie miała tu mnóstwo czasu na pogawędki, a on chętnie opowiadał o wszystkim, czego doświadczył w swoim długim życiu. Do dziewięćdziesiątki jeździł starą ładą 1500 S i nigdy, przenigdy nie chorował. Kiedy miał szesnaście lat, wyruszył w morze na statku Latający Holender. Na ścianie nad kredensem miał obraz przedstawiający tę jednostkę, było to bardzo amatorskie dzieło, ale detale chyba się zgadzały. „Niezła łajba”, powtarzał zawsze, kiedy docierał do tej części swojej historii. Następnie opowiadał

o wężu morskim, którego, jak twierdził, widział kilka razy we fiordzie, miał czerwone oczy i płetwy jak rekin. A na koniec przechodził do historii wilka.

– Biedna służąca miała nieślubną córkę, mieszkali w małej chatce w lesie z dala od ludzi. Regularnie schodziła do najbliższych gospodarstw, w długich spódnicach na szczupłych nogach i boso. Z reguły dostawała jakąś pracę, tak że udawało im się wyżyć na jagodach, śledziach i chlebie.

Jørgen zrobił sobie przerwę w opowieści, zbliżywszy się do momentu kulminacyjnego. Bonnie udawała, że czeka z niepokojem, chociaż słyszała tę historię już wiele razy. Patrzył na nią. Chciał się upewnić, że słucha.

Mówił dalej – że pewnego letniego dnia, kiedy było bardzo gorąco, służąca napełniła balię wodą i postawiła ją na skarpie. Potem włożyła dziewczynkę do środka, żeby się ochłodziła. Sama wróciła do domu, aby przygotować jedzenie. Kiedy tak stała w kuchni, usłyszała straszne wrzaski dziewczynki i wyszła z domku zobaczyć, co się dzieje. Wtedy z przerażeniem ujrzała, że z lasu zakradł się do balii wielki wilk, porwał dziecko i teraz je zjadał.

– Mój Boże! – krzyknęła Bonnie. – To najgorsze, co w życiu słyszałam!

– Tak – zgodził się Jørgen. – Matka postradała zmysły i po tym incydencie już nigdy nie była sobą – podsumował. Splótł kciuki na kolanach, bardzo zadowolony z tej historii, którą niestrudzenie opowiadał każdemu, kto tylko chciał słuchać. Bonnie wzdrygnęła się na swój pogodny sposób. Słowa Jørgena stworzyły w jej głowie okropne obrazy i chociaż wątpiła w prawdziwość zdarzenia, był ona niczym przebłysk innego czasu. Podziękowała mu za dreszczyk emocji.

– Tak pięknie opowiadasz, jakbym to wszystko sama widziała.

Wstała i podeszła do blatu kuchennego, gdzie przygotował dla niej skromną listę zakupów, po czym pojechała do pobliskiego sklepu. Kupiła mleko, chleb i ser, wsiadła z powrotem do samochodu i zatrzymała się przy skrzynce pocztowej, zabrała stamtąd gazetę i wniosła wszystko do środka, mleko włożyła do lodówki.

Kiedy wróciła do samochodu i skończyła pracę na ten dzień, zadzwoniła do Britt. Chciała podziękować za miły wieczór i zapewnić, że wszystko u niej w porządku. Opowiedziała o incydencie z samochodem i o tym, że musi wrócić do domu i odśnieżyć podjazd. Pojechała po Simona do przedszkola, ubrała go, zamieniła kilka słów z Kają i wrócili do domu do Blåkollen. Zaparkowała przy

drodze, obawiała się wjechać na podwórko, zwinęła dywany i zniosła je do przedpokoju.

– Przynajmniej się wywietrzyły – powiedziała Simonowi. – Idź do swojej dżungli, a ja przyjdę, jak tylko skończę.

Odśnieżanie zawsze było udręką. Na szczęście był to bardzo krótki odcinek, więc nigdy nie przyszło jej do głowy kupić odśnieżarki. Nie było jej zresztą na to stać, taki wydatek nie wchodził w rachubę. Potem oparła łopatę o ścianę i poszła do Simona. Usiedli na kanapie i czytali o dzikich stworach. Kiedy Simon miał już iść do łóżka, zadzwonił dzwonek do drzwi. Bonnie trochę się zaniepokoiła, tak rzadko ktoś do nich przychodził, a jeśli był to sprzedawca, musiała go odprawić. Położyła książkę na stole i poszła otworzyć. Ku swemu wielkiemu zdumieniu zobaczyła, że to Britt stoi na najwyższym stopniu. Niosła coś ciężkiego. Bonnie gapiła się na nią zdziwiona.

– Co ty, u diabła, przyniosłaś?

– Rozmawiałam z Jensem – wyjaśniła – i on zasugerował, żebyśmy kupili ci cztery automatyczne łańcuchy na koła. Nie ma za co. Teraz już się nie zakopiesz.

*

Spacery z Shibą stawały się coraz krótsze, bo za każdym razem, gdy Eddie szedł do skrzynki na listy, bał się, że wpadnie na Ansgara. Zawsze spotykał się z złośliwymi komentarzami i był boleśnie świadomy, że wszyscy sąsiedzi go obgadują. Powolny, gruby chłopiec, który mieszkał z matką. Shiba tuż za zakrętem kucała, by zrobić swoje. Nie zawracał sobie głowy sprzątnięciem po niej, nigdy tego nie robił, pewnie o tym też plotkowali. Teraz szedł i snuł plany. Wciąż myślał o swoim zmarłym ojcu, tak, codziennie myślał o śmierci, uważał ją za wielką tajemnicę. Że wszystkie jego myśli znikną, że jego ciało stanie się zimne i białe i że będzie leżał w ziemi. I że wszystko, co żyje pod ziemią, w końcu go pożre. Ale jasnowidze, pomyślał, komunikują się przecież ze zmarłymi. Wpadł na pomysł, że skontaktuje się z takim jasnowidzem, widział ich w telewizji. Słyszał też, że niektórzy zmarli ukazywali się swoim bliskim w postaci głosu, szarego światła lub ruchu w pokoju. Ale nie miał

żadnych wieści od ojca i był tym rozczarowany. Jakby nic dla niego nie znaczył, bo ani razu nie zadał sobie trudu, żeby się pokazać.

– Jak tam? – zapytała Mass. Martwiła się o psa.

– Źle – odparł Eddie krótko. Stał w korytarzu w kurtce. Ciężkie buty przemokły od śniegu. Mass powiedziała, że powinien je zaimpregnować. – Muszę pożyczyć samochód – rzekł stanowczo.

Mass spojrzała na syna z przerażeniem. Prawie nigdy o to nie prosił. Nie lubił prowadzić, ledwo zdał egzamin na prawo jazdy, przy czwartej próbie, po pięćdziesięciu godzinach jazdy. A teraz chciał wyjechać, w czasie gołoledzi. Wielkie nieba. Z wahaniem podała mu kluczyki i spojrzała na niego surowo.

– Jedź ostrożnie i spokojnie – ostrzegła – dokąd się wybierasz? Chcesz po prostu się przejechać?

– Jadę do kościoła – Eddie był zdecydowany – w Haugane. Bardzo mi się tam podoba.

Mass nie do końca rozumiała, co mu to miało dać, ale syn był dla niej zawsze zagadką, której nie umiała rozwiązać.

– Wróć wkrótce. Jedź na niskim biegu.

Trzasnął znów drzwiami, potem szarpał się chwilę z bramą garażową, była ciężka, a szyny skrzypiały. Mass złożyła jak zwykle lusterka, aby mieć więcej miejsca, ponieważ wjazd był wąski. Eddie wrzucił wsteczny bieg i cofnął. Zjeżdżając w dół do drogi, spojrzął na oba lusterka, nie pamiętał, jak je rozłożyć, minęło tak dużo czasu, odkąd ostatnio prowadził. Ale pomyślał, że jest chyba do tego przycisk, może na desce rozdzielczej. Po kilku próbach i błędach znalazł go. Włączył lewy migacz i skręcił na drogę. Mass założyła opony z kolcami, dzięki temu poczuł się bezpiecznie. Nie przekraczał jednak pięćdziesiątki, miał pełną kontrolę nad autem. Jazda zajęła mu dwadzieścia minut. Rozmyślał o tym, jak miło by było, gdyby jego ojciec został pochowany w Haugane. Wtedy odwiedzałyby go co tydzień z kwiatami i zniczami. Zaparkował przed bramą, posiedział chwilę, patrząc przez przednią szybę. Kościół był dość mały, piękny, pomalowany na białe, ze skromną iglicą. Naprzeciwko, po drugiej stronie dziedzińca, znajdowała się mała kaplica z łukowatymi oknami, a za kościołem plebania z dwoma dużymi budynkami z przodu i sporą stodołą. Mieszkał tam pastor Oscar Berg, którego

czasami spotykał w sklepie i który zawsze miał dla niego kilka miłych słów. Pamiętał nawet Shibę i zawsze kazał pozdrowić matkę.

Zostawił kluczyki w stacyjce. Zaparkował obok toyoty, wydało mu się, że samochód wygląda znajomo. Na murze zobaczył zielony metalowy szyld. Commonwealth War Graves. Potem wszedł przez ciężką bramę z kutego żelaza i skierował się prosto do grobów dziesięciu żołnierzy, obok kaplicy. Byli lotnikami. Często przystawał przy tych mogiłach, bo było coś dramatycznego w ich losie. Studiował białe kamienie, wszystkie ozdobione lecącym orłem wpisanym w okrąg z koroną, w otoku koła tekst, którego nie rozumiał.

Per ardua ad astra. Piloci byli Brytyjczykami i wszyscy zginęli dziewiątego kwietnia. Najstarszy z nich miał trzydzieści lat, najmłodszy zaledwie dwadzieścia jeden, tyle co on teraz. Samolot został zestrzelony przez Niemców. Eddie rozmyślał nad żołnierzami, którzy przybyli ratować biedny kraj na północy. Chodził od grobu do grobu, stał chwilę przed każdym, jakby chciał ich uhonorować. Zobaczą was kiedyś, pomyślał w duchu. Potem przeczytał wyryte w kamieniu uroczyste słowa.

Czego teraz nie rozumiemy, będziemy wiedzieć później.

Wspomnienia żyją dłużej niż sny.

On daje we śnie tym, których miłuje.

Słońce jego zaszło, nim się dzień skończył.

Bóg dał i Bóg wziął.

Potem odwrócił się do pomników plecami i poszedł do kościoła. Obecny zbudowano w 1851 roku, ale wcześniej, od średniowiecza, stał tam kościół pod wezwaniem Świętego Hallvarda i Świętej Małgorzaty. Eddie nauczył się tego w szkole, gdzie radził sobie nawet dobrze, po prostu dlatego, że miał dobrą pamięć. Teraz podszedł do wielkiego drzewa, które stało obok kranu. Rosło tam od dawna, a teraz miało umrzeć, suchy, gruby pień stał się pusty, zwrócony wysokim otworem ku niebu. Kusilo go, by wejść do środka, akurat się zmieścił. Podniósł głowę i spojrzał w górę, ciężkie chmury zapowiadały kolejne opady śniegu. Gdy tak stał, pogrążony w myślach, usłyszał skrzypiące kroki na śniegu, w otworze pojawiła się ciemno odziana postać.

– Bawisz się w chowanego, Eddie? – usłyszał. – Widziałem, jak tam wchodzisz.
– Ansgar patrzył na niego z drwiącym uśmiechem. Eddie się wyłonił, jego policzki były czerwone ze wstydu. Nie wiedział, co powiedzieć, a sąsiad najwyraźniej czekał na wyjaśnienie. – Masz kogoś na tym cmentarzu? – zapytał z zaciekawionym.

Nie miał. Ojciec leżał przecież w Kopenhadze, a dziadkowie ze strony matki byli pochowani w kościele Geirastadir, co roku w wigilię Bożego Narodzenia jeździł tam z matką i zapalał znicze oraz kładł na grobie wieniec z gałązek świerkowych z kulkami i szyszkami. Wiosną matka sadziła bratki, podlewała i pielowała, pilnowała porządku.

– Mam tu starego kumpla – mruknął Eddie.

Ansgar skinął głową, usatysfakcjonowany odpowiedzią.

– To rozumiem, dobrze jest mieć przyjaciół.

Eddie minął go i odszedł, zmierzając na wydeptane ścieżki między grobami.

– Jak się ma Shiba? – zawołał za nim Ansgar.

– Dzięki, dobrze – skłamał Eddie. Długimi krokami poszedł drogą za kościół. Kiedy po kilku minutach odważył się wyjrzeć na parking, toyoty już nie było. – Niech go cholera weźmie. Wtrąca się. Kapuściany łeb. Uduszę tego gnoja.

Stare pomniki były najpiękniejsze, wysokie i misternie zdobione, studiował daty urodzenia i daty śmierci, obliczając w głowie, ile mieli lat. Na niektórych wyrzeźbiono klęczące anioły lub małe ptaszki. Na jednym wyryto tylko imiona: „Martin i Helene”, bez dat. Kamień stał pusty i czarny jak iglica na tle nieba. Waldemar Enger, leżący trochę dalej, miał piękny tekst. „Pokój Twojej duszy”. Ja też chcę coś takiego, pomyślał Eddie, idąc dalej. Znalazł chłopca, który miał zaledwie trzy miesiące, co za smutna historia, pomyślał wtedy, ale musieli mieć potem więcej dzieci, przynajmniej taką miał nadzieję. Nad grobem proboszcza Charlesa Østbye ciężko przechylał się bujny krzak jałowca.

Znów wyszedł na parking. Stał dłuższą chwilę i przyglądał się wysokim, potężnym brzozom otaczającym kościół i kaplicę. W sumie czternaście sztuk. Teraz świeciły nagimi gałęziami, ale wiosną zachwycą zielenią. Potem spojrzał w dół na aleję, która prowadziła do kościoła, z ośmioma dużymi klonami po obu stronach. Kilka minut siedział w samochodzie. Też tutaj będę leżeć, pomyślał, znów fantazjował o tym, co zostanie wyryte na jego kamieniu.

„Zapamiętamy Cię na zawsze”.

Tak, to było najlepsze, co mógł wymyślić. Ale kto miałby zamówić taki pomnik? Kiedy umrze matka, będzie zupełnie sam na świecie, nie znał żywej duszy. Co prawda miał ciotkę w Bergen, ale nigdy jej nie widział. Myśl o tym, co go czeka, przyprawiała go o dreszcze.

*

Lipiec 2005

Bonnie i Simon Haydenowie zostali pochowani w kościele Haugane piętnastego lipca, dziesięć dni po zbrodni. Sejer i Skarre podjechali cywilnym samochodem i szukali miejsca do parkowania, przybyło dużo ludzi. Wielu z nich musiało zjechać z drogi i zaparkować niemalże w rowach. Skarre zastąpił mundur ciemnym garniturem, a loki, z których tak słynął, zostały całkowicie ścięte. Sejer spojrział na niego z boku, nie mógł się przyzwyczaić do tego nowego wyglądu. Siedzieli przez chwilę w samochodzie i patrzyli na równy strumień ludzi wlewający się do kościoła. Nagle zauważyli zbliżający się powoli biały minibus. Na początku nie mogli zrozumieć, kto przyjeżdża minibusem na pogrzeb. W końcu Sejer zorientował się, że to klienci Bonnie. Najwyraźniej gmina udostępniła im busa. Drzwi się otworzyły, jako pierwsza wyszła Ragnhild Strøm. Kierowca wysunął dla niej schody z dwoma stopniami. Podawał wychodzącym kolejno dłoń. Na samym końcu pojawił się Ingemar Kroken. Został odebrany z domu opieki w Hallingstad, miał ze sobą pielęgniarkę. Siwowłosy orszak powoli ruszył przez plac w kierunku schodów kościoła. Kiedy zniknęli w środku, Sejer i Skarre też weszli i zajęli miejsce w tylnej ławce, staruszkowie zaś usiedli daleko z przodu, razem z Ragnhild. W pierwszej ławce znajdowali się Henny Hayden razem z ojcem Bonnie, Henrikiem.

– Myślisz, że tu jest? – szepnął Skarre. – Nasz sprawca...

– Nie, to mało prawdopodobne. Ale cała ta sprawa jest niewiarygodna, więc kto wie.

Ludzie byli ubrani elegancko, wszyscy na czarno. Przed ołtarzem stały obok siebie dwie trumny, duża i mała, na małej leżał postrzępiony brązowy miś. Sejer

pomyślał o tych dwóch ciałach. Simona ubrano pewnie w najlepszą piżamkę, a Bonnie miała prawdopodobnie na sobie piękną suknię. Pastor Oscar Berg, który przez wiele lat był kapłanem marynarzy w Antwerpii, a do parafii Haugane przybył z żoną i czwórką dzieci, cieszył się dużą sympatią miejscowej społeczności. Choć pozornie miał przed sobą zadanie niemożliwe do wykonania, nie wahał się ani sekundy. Coś jest takiego w kapłanach, pomyślał Sejer, na wszystko znajdują słowa. A jeśli nie mogą znaleźć własnych, sięgają po Pismo. Ale w Oscarze Bergu było jeszcze coś, coś autentycznego i szczerego, co robiło wrażenie. W przeciwieństwie do innych pastorów, którzy często byli powolni, ciężcy i chaotyczni, miał własną energię i moc wyczuwalną w głosie. Był po prostu pełen życia i nie bał się tego okazywać. Potrafił obudzić wiernych. Nabożeństwo trwało godzinę, zabiły kościelne dzwony. Sześciu postawnych mężczyzn niosło trumnę Bonnie, czterech – malutkiego Simona. Haydenowie poszli pierwsi, ale Henrik wyglądał na zagubionego, nie wspierał żony, tylko krótkimi krokami podążał za dwiema trumnami. Jakby to, co się stało, go nie dotyczyło. Orientował się jednak, że chodzi o śmierć, znał ten zapach białych lilii.

Brzozy otaczające cmentarz rozkwitały najpiękniej, jak potrafiły. Dwójkę zmarłych pochowano obok siebie. Na zakończenie odśpiewano hymn. Sejer zauważył, że Henny rozgląda się po zebranych, chciała zobaczyć, kto przyszedł. Zapomniała o hymnie i pastorze, jej wzrok przyciągnął mężczyznę na końcu procesji. Wyrwała się z kręgu przed grobami i szybkim krokiem podeszła do niego. Wyglądał na blisko sześćdziesiątkę, ubrany był w skórzaną kurtkę i dżinsy, na nogach miał brudne trampki z szarymi sznurowadłami. Kiedy zobaczył Henny, wyraźnie poczuł się nieswojo.

Pochyliła się do przodu, stanęli twarzą w twarz. Ale tego, co powiedziała, żaden z nich nie był w stanie usłyszeć.

– Ile oni mają lat? – zastanawiał się Skarre. – Henny i Henrik.

– Ona ma siedemdziesiąt, a on siedemdziesiąt pięć – wyliczył Sejer – nie są starzy według dzisiejszych standardów. Ty jesteś po prostu gówniarzem. Ale trzeba przyznać, że dosyć sprytnym gówniarzem.

Włożył pastylkę Fisherman's Friend do ust, a potem spróbował podrapać się po łokciu przez grubą marynarkę. Miał łagodny atak łuszczycy.

Kiedy wrócił do pracy, dziwnie się czuł w ciemnym garniturze. Nie zadał sobie jednak trudu, by pojechać z powrotem do domu, żeby się przebrać. Przez chwilę siedział bezczynnie. Miał sporą listę rzeczy do zrobienia, w końcu postanowił pojechać do Instytutu Medycyny Sądowej i porozmawiać ze Snorrasonem.

Gabinet lekarza miał okno wychodzące na salę sekcyjną. Umarli mieli uczyć żywych. Sejer wpatrywał się w olśniewająco białe kafelki. Sala była jasno oświetlona, było w niej dużo polerowanej stali. Węże i kratki, którymi spływały ostatnie resztki życia. Zimne i sterylne miejsce pracy, Snorrason spędził w nim większość swojego życia zawodowego. Z jakiegoś powodu wybrał ten pokój, w którym był sam na sam ze zmarłymi. Na ścianie w biurze miał dużą, powiększoną fotografię, czarno-białą i nieco rozmytą, zrobioną w Brentwood w USA. Przedstawiała martwą kobietę. Głowa odchylona, twarz opuchnięta i zniekształcona z dużymi, ciemnymi przebarwieniami, rysy zamazane. Oczy były spuchnięte i zamknięte, usta otwarte. Jasne pasma włosów były zaczesane do tyłu. Nie dało się określić, czy była kiedyś piękną. Ale Sejer wiedział, że tak, to przecież Marilyn Monroe. Zdjęcie zrobiono po jej śmierci, w 1962 roku.

– Jaki jesteś dziś elegancki – zauważył Snorrason. – Armani?

– Tego by jeszcze brakowało – odparł Sejer. – Dressmann.

Snorrason wiedział, po co przyszedł Sejer, najlepiej myślało mu się na głos. Na ekranie wyświetliły się zdjęcia Bonnie i choć inspektor już dawno je widział, pochylał się do przodu. Na lewym ramieniu zobaczył tatuaż, małą jaszczurkę. Wyglądało to tak, jakby czołgała się w kierunku obojczyka. Tatuaż musiał mieć ładne kilka lat, nie był już czarny, tylko niebieskawozielony.

– W pewnym sensie tatuaż można porównać do samookaleczenia – stwierdził Snorrason.

– Jak to?

– Jest to przecież bolesne. To potrzeba zaznaczenia swojej osobowości. I pozostaje na zawsze. Jak wtedy, gdy młode dziewczyny tną się, a potem zostają im blizny.

Sejer przyglądał się malutkiej jaszczurce i trzem pieprzykom na piersi Bonnie.

– Nóż z pewnością nie był tępy – powiedział Snorrason – widać, że krawędzie są równe i ostre. – Szukał jej twarzy, ale głowę odwrócono w bok. – Pilnie rozmawiałem z biurem. Musiałem się upewnić, że rodzice nie będą mogli jej zobaczyć, niektórzy tak na to nalegają. Myślą, że wytrzymają wszystko. Uważają, że są to winni zmarłej.

Przełączył na zdjęcie Simona. Obaj długo siedzieli w milczeniu.

– Znalazłeś coś? – spytał lekarz, patrząc na inspektora.

– No cóż... – Sejer zamyślił się chwilę. – Kontaktowało się z nami wiele osób, większość zgłasza samochody, które widzieli w Geirastadir i Haugane, zajmujemy się nimi. Dzwoniący mężczyźni potrafią podać markę samochodu, często też model, kobiety nie dostrzegają takich szczegółów, tylko kolor. Mogą też zobaczyć coś, co mężczyźni przeoczą. Sam wiesz. Ktoś musiał go widzieć w drodze piątego lipca, to był bardzo pogodny dzień. Ludzie siedzieli w ogrodach i na tarasach.

– Myślisz, że jest z tej okolicy?

– Raczej tak, skoro znał drogę do przyczepy. Przejrzeliśmy wcześniejsze wyroki skazujące, ale nie znaleźliśmy nic, co mogłoby nam wskazać sprawcę. Niemniej jednak uważamy, że musiał jakoś wyróżniać się już wcześniej w życiu, tylko po prostu nie wiemy jak.

– Ile masz osób do przesłuchania w pierwszej kolejności?

– Na ten moment siedemnaście. Wszyscy ci, którzy byli w jej otoczeniu w taki czy inny sposób. Potem rozszerzymy poszukiwania.

– A czym się pocieszasz, gdy nie możesz zasnąć w nocy?

– Naszym odsetkiem wyjaśnionych spraw. Jest nie do pobicia.

Wieczorem zasznurował adidas i wybiegł na chodnik za blokiem. Frank biegł obok z wywieszonym językiem, miał lekką nadwagę, a Sejer robił wszystko, żeby schudł. Mimo to niekiedy ulegał pokusie, by dać mu coś dobrego, kawałek kiełbasy lub kotleta, który został z obiadu. Jeśli napotkali na swojej drodze sukę, Frank szarpał się gwałtownie na smyczy, a Sejer próbował wytłumaczyć grubemu psu, że nie ma szans, ani u długonogich chartów, ani u małych, białych pudelków. Biegał lekko, z luźnymi ramionami. Zawsze był w dobrej formie i miał nadzieję, że dzięki

ćwiczeniom odwlecze objawy starości. Czasami trenował sporty siłowe i nikt nigdy nie pokonał go w mocowaniu na rękę, nawet dużo młodszy. Był nieustępliwy, wytrzymały i silny, nigdy się nie stresował, ale słynął z wielkiej powagi i głębokiej melancholii. Od czasu do czasu, gdy wiatr się uspokajał i pogoda była ładna, jechał na lotnisko w Jarlsbergu, wsiadał do cessny, wznosił się na wysokość trzech tysięcy stóp i skakał z francuskim spadochronem na plecach.

Po pięciu kilometrach zawrócił. Biegając, myślał o Henny Hayden i mężczyźnie, z którym rozmawiała przy grobie. Zrozumiał, że to coś znaczyło. Zawsze chodziło o takie drobiazgi. Powiązania między ludźmi i wszystko, do czego mogą one doprowadzić. Na schodach prowadzących na trzynaste piętro Frank zaczął okazywać zmęczenie, więc Sejer wziął go na rękę.

*

Grudzień 2004

Bonnie otworzyła oczy. Dziś nie miała prac ani trzepać ciężkich dywanów. Margot potrzebowała nowych butów, wybierały się więc do miasta na zakupy. Potem chciały iść do kawiarni i załatwić sprawę w banku, a kolejną klientką była Nelly. Nelly potrzebowała transportu do szpitala, na badania. Simon chrząknął sennie, kiedy go obudziła.

– Już prawie święta – szepnęła – a dziś po południu jedziemy kupić prezenty.

Zachęcony tym chłopczyk wstał z łóżka, a kiedy zasiedli do śniadania, z zapalem dyskutowali, co kupić babci i dziadkowi. Wciągnął szybko owsiankę, rzucił kilka oszłamiających propozycji, ale Bonnie dała jasno do zrozumienia, że prezent nie może być drogi.

– Przyjadę po ciebie, jak tylko skończę u Nelly – obiecała.

Na zewnątrz zaczęło wiać i padał gęsty śnieg, była ostra zima. Bonnie jechała powoli i ostrożnie, łańcuchy od Britt miała w bagażniku, czuła się więc bezpiecznie. Kiedy dotarli do przedszkola, Kaja przywitała ich i zaprowadziła Simona do sali. Bonnie ruszyła do Margot, do domku z białej cegły. Przed wejściem był mały trawnik, który jej wnuk kosił latem. Margot była

niepełnosprawną staruszką o gęstych stalowoszarych włosach, Bonnie poszła za nią do kuchni. Na stole stał kosz bananów i Bonnie przyjęła jednego. Margot nosiła na szyi alarm bezpieczeństwa i od czasu do czasu, gdy Bonnie była w pobliżu, naciskała przycisk, żeby sprawdzić, czy działa. Wkrótce potem z centrali zadzwonił telefon i Bonnie musiała wyjaśnić, że to test.

– Jakie chcesz buty? – zapytała, jedząc banana.

– Dwie pary – powiedziała Margot. – Jedne na eleganckie wyjście i drugie na co dzień. Pomyślałam, że mogłybyśmy pojechać do Magnussen, mają tam najlepszy wybór. Muszę nosić buty ze sznurowadłami, inaczej nie dam rady ich założyć. Idę na wesele – wyjaśniła wesoło – mojego wnuka. Mają już dziecko, więc najwyższy czas. Dziewczynkę.

– Więc jesteś prababcią? – Bonnie była pod wrażeniem. – Widziałaś ją?

– Nie, mam tylko zdjęcie. Ale obiecali, że mnie odwiedzą. Będzie miała na imię Vilde, co o tym sądzisz?

– Ślicznie.

Margot włożyła ładną sukienkę, bo jechała do miasta. Bonnie jednak ze zdziwieniem zauważyła, że jej włosy wyglądają na tłuste. Starzy ludzie zwykle mieli suche włosy.

– Kiedy wrócimy, mogę umyć ci włosy, jeśli chcesz.

Margot pokręciła głową.

– O nie, to nie jest konieczne, umyłam je wczoraj.

Bonnie nie wydawało się to możliwe. Pogładziła włosy Margot, coś przywarło jej do dłoni.

– Jakiego szamponu używasz?

– Welli – odparła Margot z zadowoleniem.

Bonnie poszła do łazienki, na brzegu wanny stała butelka odżywki Wella. Nie było widać szamponu.

– Umyłaś włosy odżywką – wyjaśniła – łatwo je pomylić. Naprawimy to.

Margot uśmiechnęła się nieśmiało i podniosła płaszcz.

– Możemy kupić szampon, kiedy dotrzemy do miasta – zasugerowała Bonnie.

Pomogła Margot usiąść na przednim siedzeniu i zapięła pas. Zostawiła samochód na parkingu centrum handlowego i zapłaciła, po czym zaprowadziła

staruszkę do windy i dalej do sklepu. Nie było łatwo wcisnąć jej stopy w ładne buty, ale młoda ekspedientka poświęciła im mnóstwo czasu. W przykłęku pomagała założyć kolejne pary. Potem Margot musiała wstać i przejść kilka kroków, sprawdzić, czy jej wygodnie, i zdać raport: Zbyt wąskie. Za duże. Za wysokie podbicie, zbyt sztywne. W końcu znalazła dwie zadowolające pary, jedną białą i drugą brązową, poszły więc z nimi do kasy. Później obrały kurs na bank, gdzie Margot bywała rzadko. Miała ze sobą kilka nieuregulowanych rachunków, wolała płacić w staromodny sposób, mimo że Bonnie zwróciła jej uwagę na wysokie prowizje. Następnie wypłaciła pieniądze, a w drodze powrotnej kupiły butelkę szamponu.

Potem pojechała do Nelly, która siedziała gotowa na krześle. W ręku trzymała list ze szpitala, Bonnie go przeczytała i znalazła tam dokładne wyjaśnienie, dokąd mają się zgłosić. Najpierw głównym wejściem, potem do windy B. Na piąte piętro. Podążać za niebieską linią na ścianie aż do recepcji.

– Stresujesz się? – spytała Bonnie.

– Nie, w ogóle, to tylko trochę promieni rentgena. A jeśli coś znajdą, to tak już musi być. Mam osiemdziesiąt sześć lat.

Podczas badania staruszki Bonnie siedziała w poczekalni z magazynem dla kobiet. Takie czasopisma bardzo ją deprimowały. Zdjęcia pokazywały olśniewający świat, w którym nigdy nie będzie mogła uczestniczyć, dlatego po chwili odrzuciła magazyn i pogrążyła się w rozmyśleniach. Może szalik dla mamy i rękawiczki dla taty. To samo dała im już wcześniej, ale cóż, najwyżej będą mieli zapasowe, może dobrze czasem coś zmienić. Mama i tak się ucieszy. Okazanie entuzjazmu było ważne, ze względu na Simona. Odetchnęła z ulgą, kiedy Nelly w końcu wyszła z gabinetu. Bonnie poprawiła jej krzywo zapięte guziki płaszcza. Włożyła do portfela paragon z automatu parkingowego, aby otrzymać zwrot, a po powrocie do Nelly usiadły przy kuchennym stole na krótką pogawędkę. Bonnie przytuliła staruszkę na pożegnanie, a potem pojechała prosto do przedszkola, żeby odebrać Simona.

– Możemy kupić kapcie – zasugerował. – Takie z futerkiem.

– Możemy – zdecydowała Bonnie – ale dopasowanie ich może być trochę trudne, a jeśli nie będą dobrze leżały, trzeba je wymienić.

– Potem chcę ciasto czekoladowe – oznajmił – i czerwoną oranżadę.

– Będzie ciasto czekoladowe i czerwona oranżada – obiecała Bonnie, wrzucając bieg w starym oplu. Padał śnieg, widoczność była słaba. Simon paplał ciągle z tylnego siedzenia, ale słuchała tylko jednym uchem, ponieważ musiała uważać na drogę. Po dwudziestu minutach jazdy, kiedy mijali duży market spożywczy, Bonnie zauważyła idącą drogą starszą panią. Miała na sobie brązową kurtkę i kapelusz, a w rękę trzymała torbę na zakupy, widać było, że szamocze się w silnym wietrze i na śliskiej drodze. Boże, pomyślała Bonnie. Że też taka staruszka musiała pokonywać tę trasę bez pomocy. Mimowolnie zwolniła. Gdy kobieta zauważyła zbliżający się samochód, zatrzymała się i odwróciła głowę. Ku swojemu zdziwieniu Bonnie rozpoznała Gjertrud. Nacisnęła na hamulec, skręciła w bok i wysiadła z samochodu. Kiedy Gjertrud rozpoznała Bonnie, jej twarz się rozjaśniła, musiała jednak trzymać kapelusz, który próbował odlecieć na drugą stronę ulicy.

– Ależ Gjertrud! – wykrzyknęła Bonnie. – Co tu robisz w taką pogodę? Przecież przyjdę i zrobię ci zakupy.

Gjertrud trzymała torbę oburącz.

– Skończyła mi się karma dla kota – wyjaśniła. – Siedzi w domu, w kuchni, i miauczy.

– Nie mogłaś poprosić Edith?

– Nie było jej w domu.

– Wsiadaj – zdecydowała Bonnie – odwiozę cię.

Gjertrud podziękowała radośnie, obeszła ostrożnie samochód, a Bonnie przytrzymała otwarte drzwi. Staruszka zauważyła Simona na tylnym siedzeniu i powiedziała mu, wsiadając, że jest szczęściarzem, mając Bonnie za mamę.

– Jest najlepsza.

– Gjertrud – zagaiła Bonnie podczas jazdy – skoro już siedzimy w samochodzie, potrzebujesz czegoś jeszcze, zanim wrócimy do domu?

– No, to nie jest takie ważne.

– Czyli jest coś?

– Nie mogę ci wszystkim zawracać głowy, pewnie masz coś do załatwienia. No i musisz się zająć dzieckiem, i w ogóle.

Wydawała się zawstydzona. Siedziała z przygnębioną miną i ścisnęła torebkę na kolanach. Bonnie nie poddawała się, drażyła, aż wreszcie Gjertrud poprosiła cicho:

– Skończyła mi się okowita.

– To jedziemy do monopolu, ja wejdę i kupię butelkę. Bez niej dzień nie jest już taki sam – powiedziała ze śmiechem, aż Gjertrud też musiała się roześmiać, a Simon pochylił się między siedzeniami tak daleko, jak pozwalał mu pas. Gjertrud otworzyła torbę i drżącymi palcami znalazła portfel. Wyłowiła zmięty banknot. Simon podziękował uprzejmie, tak jak nauczyła go matka.

W sklepie oczywiście ustawiła się kolejka, zbliżały się święta. I kiedy tak stała w tej kolejce, zdecydowała się kupić dla siebie butelkę niedrogiemu czerwonego wina. Kiedy dotarli do domu Gjertrud, ta postanowiła zapłacić za obie butelki i przejazd, upierała się, dopóki Bonnie się nie zgodziła.

– Już prawie Boże Narodzenie – zauważyła staruszka. – Niech cię Bóg błogosławi.

Potem pożegnała się i poszła do głodnego kota.

*

Na ścianie nad łóżkiem Eddiego wisiało zdjęcie ojca z dzieckiem na kolanach. Zostało zrobione, gdy chłopiec miał trzy lata, tuż przed tym, jak ojciec ich porzucił. Mass odmówiła trzymania go w salonie, ale Eddie oglądał to zdjęcie co wieczór przed snem. Teraz, o poranku, siadł na łóżku i wziął ramkę w dłonie. Fotografie zrobiono latem, obaj byli lekko ubrani, ojciec miał na sobie białe szorty, silnymi ramionami trzymał syna. Czoło ojca przykrywała gęsta grzywka, uśmiechał się szeroko i radośnie, podczas gdy sam Eddie był poważny.

Długo wpatrywał się w zdjęcie. Chociaż widział je już niezliczoną ilość razy, za każdym razem było dla niego równie nowe. Ojciec wyglądał na szczęśliwego, dlaczego ich zostawił? Odwiesił ramkę i wyszedł do salonu. Wkrótce potem dołączyła do niego matka, w samej koszuli nocnej, mógł zobaczyć jej ciało przez cienką tkaninę. Spojrzała na termometr za oknem sypialni i zadrżała.

– Jedenaście na minusie – zameldowała – musimy napalić. Ubierz się, pójdziesz po drewno na opał.

Eddie przyjrzał się jej ciału, była ciężka, tak jak on, zobaczył duże piersi zwisające pod koszulą nocną.

– Wypuść Shibę, żeby się wysikała.

Otworzyła drzwi do łazienki i zniknęła w środku. Słyszał, jak odkręca kran. Shiba leżała w swoim kącie, Eddie pociągnął ją za ogon. Potem złapał za obrozę i postawił psa na nogi, pchnął i wyprowadził na korytarz. Gdy otworzył drzwi, uderzyło go zimno, wsunął stopy w grube buty i wrzucił na grzbiet kurtkę. Dziś nie trzeba było odgarniać śniegu i bardzo się z tego cieszył, ale ceną, jaką musiał zapłacić, było dotkliwe zimno. Shiba poszła prosto za róg domu i załatwiła swoje sprawy, po czym szybko chciała wrócić do środka, a Eddie sięgnął do szafki kuchennej po talerzyk. Wyjął z lodówki ser, kiełbasę i dżem i postawił je na stole wraz z chlebem i masłem. Potem usiadł i czekał. Oczy mu się zamykały, w nocy nie spał dobrze.

– Śnił mi się tata – powiedział, kiedy matka pojawiła się w kuchni. To nie była prawda, ale chciał usłyszeć o swoim ojcu, musiał wymyślić sposób na rozpoczęcie rozmowy.

– Ale ty go nie pamiętasz – zdziwiła się Mass – miałeś raptem trzy lata.

– Wiem – rzucił, żując chleb. – Ale czasami wydaje mi się, że i tak coś pamiętam.

– Na przykład co? – Mass wydawała się sceptyczna.

– Białe szorty – odparł bez wahania.

– Przecież widziałeś je na zdjęciu.

Nie odpowiedział na to.

– Na co zmarł? – zapytał.

– Mówiłam ci – tłumaczyła cierpliwie Mass – to był rak. Na to my, ludzie, zwykle umieramy. Prędzej czy później.

– Ale nie ty, prawda? – rzucił szybko zmartwiony.

– Nie – powiedziała ze śmiechem – nie mam takich planów. Pewnie dożyję setki. Ale trochę bolą mnie plecy – przyznała.

– Dlaczego?

– Zdarza się to wszystkim kobietom w moim wieku. Męczymy się przez całe życie, a od ciebie nie mam zbytnej pomocy.

– Przecież odgarniam śnieg. – Eddie zdawał się urażony. Mass musiała przyznać mu rację.

– No tak – przyznała z uśmiechem. – Co bym bez ciebie zrobiła?

Eddie się ucieszył. Potrzebowali się nawzajem, to poprawiło mu humor. Zaproponował, że opróżni zmywarkę. Mass siedziała przy stole, w zamyśleniu wpatrywała się w śpiącego psa.

– Martwię się o Shibę – powiedziała. – Nie jest przecież aż taka stara, ale tak ciężko się rusza. Ma coś z nogami. Wiesz, co to może być?

– Dysplazja stawu biodrowego – zasugerował Eddie. Włożył tabletkę do zmywarki i zatrzaskał drzwiczki.

– O nie! Umówię jej wizytę u weterynarza, chcesz iść z nami?

Eddie życzliwie skinął głową. Zmywarka zaczęła szumieć. Potem wyszedł w śnieg po gazetę, miał szczęście, nie spotkał dziś Ansgara. Wróciwszy, podał gazetę matce, która czekała na kanapie. Sam usiadł przed komputerem. Wyszukał Kopenhagę, to miasto, do którego jego ojciec wyjechał z inną, a potem tam zmarł. W mieście mieszkało jeden przecinek dwa miliona ludzi, był to największy obszar miejski w kraju, z osiemnastoma gminami – przeczytał Eddie. Kopenhaga znajdowała się na wschodnim wybrzeżu Zelandii, a najważniejszymi punktami miasta były budynek parlamentu, pałac królewski, siedziba Sądu Najwyższego i władz centralnych. Dwadzieścia procent ludności Danii żyło w Kopenhadze. Siedział i wpatrywał się w mapę, myśląc, że jego ojciec mieszkał na jednej z tych ulic. Zwrócił się do matki.

– Gdzie dokładnie w Kopenhadze mieszkał tata?

Mass opuściła gazetę z westchnieniem.

– Mój Boże, nie wiem, minęło tak dużo czasu, odkąd zniknął. Nawet mnie to nie obchodzi. Ja muszę ci wystarczyć.

– Jesteś pewna, że nie wiesz? – dociekał Eddie.

Pokręciła głową.

– Sądzisz, że bym cię okłamała?

Nie, nie sądził tak. Dalej czytał o Kopenhadze, mieście, w którym nigdy nie był. Dania to mały kraj, pomyślał, znajdę go.

Lipiec 2005

Kto, co, gdzie? – myślał Sejer. Czym? Dlaczego, jak i kiedy? Znali odpowiedzi na niektóre pytania. Bonnie i Simon Haydenowie zostali zabici ostrym nożem w przyczepie kempingowej na polu gospodarstwa Skarven, prawdopodobnie piątego lipca. Sejer wyszedł na korytarz i znalazł Skarrego, miał w ręku listę klientów Bonnie. Wszyscy wiedzieli, że przyjdą, Ragnhild Strøm ich przygotowała.

Przez cały ranek chodzili od drzwi do drzwi i jak najdelikatniej omawiali to, co się stało. Wszyscy byli ekstremalnie zaniepokojeni, kilku z nich miało duże trudności ze snem. Bardzo ich gryzło całe to okropieństwo. I jeszcze jej mały synek, nie, nie można się z tym pogodzić. Sejer pytał, czy zauważyli coś u Bonnie. Czy w czasie przed morderstwem była inna, czy wspominała coś o tym, że była śledzona lub nękana, czy wydawało się, że czegoś się boi. Wszyscy dokładnie się zastanowili, wszyscy odpowiedzieli, że nie. Wspominali nawet, że wydawała się szczęśliwsza, jakby wydarzyło się coś radosnego. Zapytał, czy im się zwierzała, niektórzy uśmiechali się pod nosem, zwłaszcza kobiety. Tak, czasem się tak zdarzało, być może czuła, że to bezpieczne, ponieważ byli tacy starzy i wkrótce i tak mieli odejść.

– Co opowiadała? – spytał Skarre.

Ze smutkiem kręcili głowami i mówili, że opowiadała o mężczyźnie, który opuścił ją, gdy chłopiec był mały.

– Mówiłam jej, żeby znalazła nowego – stwierdziła Gjertrud – ale ona tylko się roześmiała.

Marie siedziała, płacząc, z rękami na kolanach. Miała chusteczkę w rękawie, a jej głos był cienki i zachrypły, ciągle musiała odchrząkiwać, żeby wydobyć z siebie słowa.

– On pójdzie do więzienia – jąkała się z rozpaczą – a potem znów wyjdzie na wolność, za kilka lat.

– Prawdopodobnie – musiał przyznać Sejer – taki jest nasz system. Uważa pani, że to źle?

Skinęła głową.

– Nie możemy przecież pozwolić, żeby taki człowiek chodził na wolności. Nie wiem, jak sobie poradzę bez Bonnie.

– Przyznają pani nową pomoc, tak szybko, jak się da – przypomniał Skarre. – Ale oczywiście wiem, że to marna pociecha.

– Bonnie jest tylko jedna, tak powiedziała Ragnhild. – Marie wyjęła chusteczkę z rękawa i podniosła ją do oczu. – Teraz nie mam już na świecie nic, co by mnie cieszyło – dodała. – Mam syna, który pracuje w Kuwejcie, i nigdy go nie widuję.

– Czy wiesz, co to jest łza? – zapytał Skarre, kiedy wsiedli do samochodu.

– Co takiego? To słona woda, prawda?

– Tak, woda i sól. I białka, tłuszcze i cukry, kwas cytrynowy, enzymy i przeciwciężła. Łzy zabijają bakterie i nawilżają rogówkę. I są też sposobem na pozbycie się produktów przemiany materii z organizmu. Innymi słowy: dobrym pomysłem może być płacz od czasu do czasu.

– To łzy czynią nas ludźmi – zauważył Sejer.

– Nie tylko my płaczemy – stwierdził Skarre. – Niektóre duże zwierzęta również płaczą ze smutku.

Następnie udali się do gospodarstwa Skarven.

Jürgen, Tomasz, Stanisław i Wojciech siedzieli u siebie i grali w karty. Rozdawał Wojciech, rzeźnik z Krakowa. Zadzwoił do swojej żony Danuty i opowiedział jej o zbrodni. Siedziała w małym mieszkaniu w Krakowie i czekała na niego, wiedziała, że nie wróci aż do listopada. Tam za dnia znów będzie wymachiwał tasakiem, a nocą wejdzie pod jej kołdrę. Zgodzili się na taki układ, oboje, bo zapewniało im to znaczny dochód. Siedem lat z rzędu wracał do domu z dużymi sumami, marzyli o własnym domu. Pracował tak ciężko, jak tylko mógł. Ścinał kapustę, pory i sałatę i zbierał truskawki. W lipcu przyszły maliny, potem jabłka i śliwki, żółte i czerwone. Konserwowali maszyny i inny sprzęt, tego lata pomalowali budynek stodoły i uszczelnili okna w starym domku dla robotników.

Każdy z mężczyzn zrobił wachlarz z kart i trzymał je blisko piersi. Tomasz, najmłodszy z mężczyzn, spojrział na Stanisława.

– Widziałem, jak szedłeś za nimi – powiedział. – Przez pole, zaraz po tym, jak przynieśli kołdry.

Stanisław wyłożył karty na stół.

– I co z tego? Pomyślałem, że może potrzebują pomocy. Nie wyglądała na silną.

– Powinieneś być powiedzieć policji – upierał się Tomasz – muszą wiedzieć wszystko. Kto gdzie był i kiedy.

– Rozmawiałeś z nimi? – zapytał Wojciech. On również wyłożył swoje karty na stół, patrząc na kolegę.

– Mówiłem przecież, zapytałem, czy potrzebują pomocy.

– No tak, niczego sobie nie odmawiasz, a to była niezła laska. Żeby tylko twoja żona wiedziała, że latasz za norwesкими dziewczynami. Założę się, że policja jeszcze wróci, będą pytać i drążyć. Kurwa, że też nie przyjrzałem się dokładniej temu samochodowi. Gdybym spisał numer, mogliby go sprawdzić.

– To przecież nie ma nic wspólnego ze sprawą – przekonywał Jürgen – po prostu ktoś pomylił drogę.

– Tego nie wiemy. Stał tam na drodze, jakby kierowca się nad czymś zastanawiał. Policja jest zawsze zainteresowana samochodami, muszą sprawdzić, kto to był.

– Czerwony samochód, mój Boże – powiedział Jürgen – nie ma co kombinować. Chcesz po prostu zgrywać ważnego.

Przerwał im Randen, który stanął w otwartych drzwiach. Zaprosił ich na kolację, powiedział, że Solveig i dziewczyny czekają. Mężczyźni odłożyli karty i poszli za nim przez podwórze. Randen szedł ze spuszczoną głową i rękami założonymi na plecy, jak miał w zwyczaju. Nigdy nie pogodził się z tym, co stało się w jego gospodarstwie, jakoś musiał zaznaczyć stan żałoby.

– Powinniśmy byli pójść na pogrzeb – powiedziała Solveig. – Żałuję, że tego nie zrobiliśmy. Może ktoś pomyśli, że to dziwne, że nas tam nie było.

Usiedli przy długim stole, mała Emilie położyła dłoń na przedramieniu Jürgena, gdzie miał imponujący tatuaż – ziejącego ogniem smoka.

– Czy to bolało? – dopytywała.

– Wcale – rzekł Jürgen zdecydowanie, nakładając sobie jajecznicę.

– Ja też chcę taki – powiedziała.

– To wykluczone – odparł surowo – jesteś dziewczyną. Wystarczy, że przekłułaś sobie uszy.

Kot znów przyszedł do kuchni zebrać, a Stanisław wziął go na kolana. Po tym, co wydarzyło się w przyczepie, zatęsknił za domem, chciał oderwać od tego myśli. Było to jednak dla nich wszystkich sensacyjne wydarzenie, siedzieli cały wieczór, rozmawiając o tym, co się stało.

Po godzinie podziękowali za jedzenie i wrócili do siebie, każdy miał swoje łóżko z cienką letnią kołdrą. Z reguły gadali przed zaśnięciem. Jeden po drugim głosy cichły i na długo przed północą zapadła cisza.

Pierwszy raz, kiedy Sejer i Skarre przyszli porozmawiać z Henny Hayden, dzień po morderstwie, szczerze pragnęli, aby im pomogła. Mieli nadzieję, że coś w życiu Bonnie miało znaczenie dla sprawy. Tego dnia nie była jednak w stanie mówić. Siedziała na krześle przy oknie i wyglądała na zewnątrz, odpowiadając monosylabami na wszystko, o co pytali. Trzymała parapet oburącz i opierała czoło o szybę, słyszeli tylko jej ciężki oddech. Ale to ona była zmarłej najbliższa. Dlatego wrócili, z nową nadzieją. Jej mąż, Henrik, też lubił siadać przy oknie, odwrócił głowę, gdy weszli, ale nie miał zamiaru wstawać, siedział spokojnie. Podeszli więc i kolejno podali mu rękę.

– Przyjechał do domu na trochę – wyjaśniła Henny. – Przez większość czasu przebywa w Hallingstad.

Sejer zauważył żółtą kartkę przyklejoną do telewizora. Taką samą przyklejono na lampie podłogowej obok kanapy. Podeszedł bliżej, by ją przeczytać. Na lampie było napisane „lampa”, a na telewizorze „tv”.

– Ma alzheimera – tłumaczyła Henny – nie pamięta nic z nowych wydarzeń, wiele zapomniał. Wraca do domu tak często, na ile ja daję radę. Kuchnia też jest pełna takich karteczek, kuchenka, lodówka, zamrażarka, wszystko podpisane.

– Jak reaguje na to, co się stało? – zapytał ostrożnie Skarre.

– Muszę mu to powtarzać każdego ranka. Pamięta tylko jeden dzień naraz. A czasem nawet mniej, to niewiarygodne. Muszę się nim opiekować jak dzieckiem.

– Co wtedy mówi?

– Nie wie już, kim była Bonnie. – Henny Hayden zapaliła papierosa.

– Na pogrzebie musiałam mu wytłumaczyć, po co tu przyjechaliśmy, ale wydawał się zdezorientowany. Chorzy na alzheimera żyją w strachu, codziennie wszystko jest dla nich nowe, ludzie są obcy.

Spojrzała na nich ponad stołem.

– Moja starość nie będzie taka, jak myślałam, a mam przecież dopiero siedemdziesiąt lat. Co, jeśli będę musiała przeżyć kolejne dwadzieścia lat z całym tym okropieństwem?

– Proszę opowiedzieć nam o Bonnie – poprosił Sejer. – Zaczniemy od dzieciństwa. Jakim była dzieckiem?

Henny zdołała się uśmiechnąć, ale jednocześnie zamknęła oczy, jakby nagle ją coś zabolalo.

– Najlepszym na świecie. Ale tak mówią wszyscy rodzice. W szkole była miła i grzeczna, miała wielu przyjaciół. Czasami dom był pełny. Dziewczęta w klasie rywalizowały o bycie jej przyjaciółką, wybierała je ostrożnie.

– O czym marzyła, gdy była mała, czy może pani nam trochę o tym opowiedzieć?

– Och, było tak wiele rzeczy. Przez długi czas marzyła o zawodzie lekarki. Najbardziej chciała pracować w geriatric. Chciała pomóc wszystkim potrzebującym.

Zaciągnęła się jeszcze raz papierosem i strząsnęła popiół.

– Troszczyła się o wszystkich, a jak urosła, często pracowała jako opiekunka do dzieci, także u swoich nauczycieli. Zyskała reputację osoby przyzwoitej i życzliwej, a ludzie jej ufali. No i zarabiała tak pieniądze.

– Na co je wydawała? – spytał Skarre.

– Oszczędzała – wyjaśniła Henny – zawsze była taka rozsądna. I nigdy nie wyklócała się o rzeczy w sklepie, jak to robi wiele dzieci. Dostawała też od nas kieszonkowe, miała tu w domu pewne obowiązki. Potrafiła odkurzać i zamiatać, często myślałam, że pewnego dnia stanie się prawdziwą gospodynią, jak się kiedyś mówiło.

Uśmiechnęła się na to wyrażenie.

– A chłopcy – dodała – szaleli za nią. Ale ona sama nie okazywała im szczególnego zainteresowania, uważała ich za dziecięcych. Nie była też narwana,

przynajmniej tak nam się wydawało.

– Potem przyszedł okres dojrzewania – powiedział Skarre – czy pojawiły się jakieś trudności?

– Tak, dojrzewanie przyszło, i to wcześniej. Stała się chyba trochę cichsza. Siedziała więcej w swoim pokoju, ale nie była trudna czy kłótniwa. Miała się w końcu kiedyś usamodzielnic, tak musi być. Moim zdaniem przeszliśmy ten okres gładko w porównaniu z innymi, z którymi rozmawialiśmy, jest wiele dziewcząt w tym wieku tupiących i trzaskających drzwiami. Byliśmy z niej bardzo dumni. Często myślałam o naszej starości, wiedziałam, że kiedyś się nami zaopiekuje. Teraz nie mamy nikogo, ani Henrik, ani ja. – Zgasła papierosa. – Jeśli nie znajdziecie tego, kto to zrobił, nigdy wam nie wybaczę. Chcę wiedzieć dlaczego. Po prostu musicie go znaleźć. Znaleźć i zamknąć!

– Na pewno tak się stanie – odrzekł Sejer. – Ale niekiedy wymaga to czasu. Musimy dowiedzieć się jak najwięcej o życiu Bonnie. I jej bliskich. Dlatego ważne jest, aby wyznała nam pani wszystko, co wie.

– Teraz, w wieku dorosłym, najbliższa jej była Britt. Były do siebie bardzo przywiązane.

– Więc to od Britt mogę najwięcej dowiedzieć się o życiu Bonnie?

– Tak sądzę. Rozstanie z Olavem Nøklanem, czyli ojcem Simona, kompletnie ją załamało. Odszedł dwa lata temu, kiedy Simon miał trzy lata. A Bonnie nie chciała szukać innego, chciała chronić syna przed, jak to mówiła, kłamliwymi mężczyznami. Wolą, żeby mieszkali tylko we dwójkę, wtedy miała nad wszystkim kontrolę.

Skarre zanotował nazwisko.

– Gdzie go znajdziemy?

– Jest na platformie na Morzu Północnym, na Gullfaks B. Dwa tygodnie w pracy i cztery tygodnie w domu.

– Był na pogrzebie?

– Nie. – Zacisnęła bezbarwne usta.

– Nie przyjechał na pogrzeb własnego syna? – zdziwił się Skarre.

– Nie przyjechał. Ale po rozstaniu Bonnie w ogóle nie chciała go widzieć, była bardzo zgorzkniała. I nie chciała, żeby miał jakikolwiek kontakt z Simonem,

straciła do niego kompletnie zaufanie.

– Przecież ojciec ma prawo do kontaktu.

– Nigdy nie próbował zmienić sytuacji, był zadowolony. Tchórz, jednym słowem. Rzecz w tym, że zakochał się w opiekunce Simona, czy to nie okropne? Miała ledwie siedemnaście lat. Za każdym razem, gdy szli do kina czy coś, on jechał po Kathrine, a kiedy wracali, odwoził ją do domu. Byli razem w samochodzie.

– Jak Bonnie odkryła ich romans? – zapytał Sejer.

– Sam jej powiedział, dobrowolnie. Teraz on i Kathrine są małżeństwem i mają córkę. Ylvę. Nigdy jej nie widziałam.

– Zmieniając nieco temat – odezwał się Skarre. – Jak wyglądały ich relacje, kiedy mieszkali razem?

– Wydaje mi się, że układały się nieźle. Nigdy nie widziałem Bonnie tak szczęśliwej. Henrik i ja byliśmy dumnymi dziadkami. To znaczy zanim zachorował, jeszcze był kompletnie świadomy.

Spojrzała na męża siedzącego przy oknie.

– Musimy zapytać o coś jeszcze – rzucił ostrożnie Sejer. – Byliśmy na pogrzebie. Podeszła pani do mężczyzny, który stał na samym końcu. Kim on jest? I co mu pani powiedziała?

– Niewiele – prychnęła lekceważąco. – Nie mogłam powstrzymać się od komentarza na temat jego stroju. Wszyscy inni mieli ciemne garnitury i białe koszule, a on wyglądał jak jakiś szmaciarz.

– Zna go pani?

– Nie, wcale. Ale patrzyłam, kto przyszedł i jak wszyscy byli ubrani. Nie jest przecież tak, że znałam wszystkich, których znała Bonnie, może on kiedyś do niej startował, było ich tak wielu. To zupełnie nie ma znaczenia.

– Potrzebujemy jeszcze adresu ojca Simona – powiedział Skarre. – Ma go pani?

– Ma wielki dom w Nordhellinga. Ale nie pamiętam numeru.

– A Britt?

– Mieszka z mężem w mieszkaniu przy Oscarsgate. Nazywa się Britt Marie Bergan i ma troje dzieci. Musicie z nią jak najszybciej porozmawiać.

Wstali, szykując się do wyjścia, ale dali jej jasno do zrozumienia, że będą musieli jeszcze wrócić. Podeszli też do mężczyzny przy oknie, by się pożegnać.

– Nie odprowadzę panów, nie dam rady – powiedziała Henny. – Jestem taka zmęczona.

– Zwróciłeś na coś uwagę? – spytał Skarre po wyjściu.

– Raczej nie – stwierdził Sejer. – Wygląda na to, że interesowało się nią wielu mężczyzn. Może któryś z nich mocno naciskał i został odrzucony. Niektórzy sobie z tym nie radzą. I jeszcze jedno... Czy podszedłbyś do mężczyzny na pogrzebie, żeby skomentować jego strój?

– Nie, raczej nie. Ona mu coś powiedziała. I nie mam pojęcia, jak się dowiedzieć, co to było.

*

Grudzień 2004

Wieczorem Bonnie zaproponowała, że pojedą samochodem do wypożyczalni wideo, by znaleźć fajny film i obejrzeć go razem na kanapie. Simon uradował się, od razu wybiegł do przedpokoju się ubrać. Zamknęli drzwi i poszli do samochodu, nie napadało już więcej śniegu, mieli przed sobą dwadzieścia minut jazdy. Włożyła kluczyk do stacyjki i chciała go przekręcić. Ani drgnął jednak, tkwił w miejscu, spróbowała jeszcze trzy lub cztery razy, nic się nie zmieniło. Oparła się na siedzeniu, patrząc tępo przez przednią szybę. To musiała być jakaś drobnostka, łatwa do rozwiązania. Spróbowała więc jeszcze raz, ale klucz ani drgnął.

Nie, pomyślała zrozpaczona, nie mam na to czasu!

– Musimy już jechać – powiedział Simon z tylnego siedzenia.

– Tak – potwierdziła Bonnie – ale nie mogę uruchomić samochodu.

Simonowi zrzędła mina, zobaczyła to w lusterku. Jego jasne loki były ukryte pod czerwoną czapką z dzianiny, wyglądał jak mały elf.

– Może weźmiemy taksówkę? – zapytał z nadzieją, ale Bonnie stwierdziła, że to o wiele za drogo. Znowu spróbowała przekręcić kluczyk, ale dalej tkwił w stacyjce.

– Cholera! – krzyknęła, nie mogła się już powstrzymać. W przypiływie wściekłości spróbowała jeszcze raz z całej siły, ale zdała sobie sprawę, że klucz może się złamać, a wtedy wszystko by przepadło. Simon był przerażony. Przyszła mu do głowy straszna myśl, że jeśli samochód się zepsuł, to mama nie pójdzie do pracy, a jeśli nie pójdzie do pracy, to nie będzie pieniędzy, a jeśli nie będzie pieniędzy, to nie będzie świąt. Tak właśnie powiedziała Britt.

– Musimy wrócić do środka – zdecydowała Bonnie znużona. Zamknęła oczy i westchnęła. Wyjęła kluczyk ze stacyjki i wyszła na śnieg. Simon dreptał za nią na swoich krótkich nóżkach. Potem musiała otworzyć drzwi i wejść z powrotem do środka, do ciepła.

– Na pewno znajdziemy coś w telewizji – obiecała – sprawdzę wszystkie kanały.

Wczołgał się na kanapę, a ona wybrała dla niego program. Sama skierowała się do kuchni i usiadła przy stole. Ukryła głowę w dłoniach. Nie widziała żadnego rozwiązania, serce waliło jak młotem. Jej wzrok błędził po kuchni, dostrzegła butelkę czerwonego wina stojącą w kącie na blacie. Wstała i otworzyła ją, znalazła w szafce największy kieliszek i napełniła go po brzegi. Czasem myślała, że wszystkie te trudne zdarzenia to karma. Że nie ma sensu się starać, kiedy sumienie nie jest czyste. Wypiła wino. Zacisnęła zęby. Stała się obojętna. Cóż, mogą po prostu iść do diabła, Erna, Ingemar i pozostali, będą musieli radzić sobie sami. Wypiła wino dużymi łykami, a kiedy kieliszek był już pusty, zadzwoniła do Britt. Opowiedziała o cholernym samochodzie i wszystkich problemach.

– Mój Boże – powiedziała Britt – nie masz chwili spokoju.

Zamilkła po drugiej stronie, a Bonnie przycisnęła komórkę do ucha. Samo usłyszenie głosu Britt było pocieszeniem.

– Idę dziś wcześniej spać – zdecydowała. – Rano muszę zadzwonić do Ragnhild i wyjaśnić, że nie przyjdę. Jestem tak zmęczona, nie mam siły nic teraz załatwiać.

Potem napełniła kieliszek i podeszła do Simona, który oglądał lwy w Afryce. Odpoczywały pod akacją, właśnie zabiły antylopę i miały zakrwawione pyski. Uważał to za całkiem ekscytujące, ale jego umysł był zajęty matką, zrozumiał, że coś złego stało się z samochodem. Myślał o tym, co powiedziała na głos. Cholerny samochód. Zdarzało mu się marzyć, że ktoś pojawi się w ich życiu, być może z morza, w dużym helikopterze, jak jego ojciec, Olav. Ale nie mógł o tym mówić, bo wtedy matka kręciła głową i nie chciała już rozmawiać.

Potem Bonnie przełączyła na wiadomości. Simon usiadł przy stole z afrykańskimi zwierzętami, podniósł sępa i dziobał nim lwa.

– Nadjeżdża samochód – poinformował. Bonnie spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Dwa samochody – poprawił się, przyciskając nos do szyby. Bonnie podeszła, żeby spojrzeć przez okno, ale było ciemno i widziała tylko reflektory, samochody były na drodze, otwierały się drzwi. Dwa auta przed bramą, co to może być? Simon spojrzał na matkę. Udzielił mu się jej niepokój. Często widział jej strach, robiła się wtedy blada. Wyszli razem do przedpokoju, aby otworzyć, na najwyższym stopniu stała Britt, a za nią jej mąż Jens. Oboje się uśmiechali. Bonnie ponownie spojrzała na dwa samochody przy drodze. Jednego w ogóle nie знаła, za nim zaś stało czerwone volvo Jensa.

– Ten ford należy do mojego teścia – powiedziała Britt – ale tylko stoi w garażu, bo przestał jeździć po zawale serca. Możesz go pożyczyć na czas naprawy twojego. To prawdopodobnie tylko stacyjka, nie kosztuje dużo. Odholujemy twój samochód do warsztatu, to drobna naprawa, Jens mówi, że można to zrobić w mgnieniu oka.

Bonnie zaczęła płakać. Rozczuliła ją reakcja przyjaciółki, jej sprawność rozwiązywania problemów.

– No hej – roześmiała się Britt – teraz nie wolno ci już płakać. Wszystko się ułoży, wystarczy użyć wyobraźni. Gdzie się wybieraliście?

– Jechaliśmy do wypożyczalni wideo – wyjaśniła Bonnie, patrząc na Simona.

– No, to teraz pojedziecie fordem.

Musiała się roześmiać.

– Wypiłam pół butelki czerwonego wina – przyznała – więc nigdzie nie pojedziemy.

Britt spojrzała na Jensa.

– To pojedziemy tam volvo – zdecydowała. – Co chcesz zobaczyć, Simon?

– *Króla Lwa* – rzucił radośnie, wieczór został uratowany, a matka znów była szczęśliwa. Wiedziała, że minie dużo czasu, zanim wrócą. Najpierw odholują opla do warsztatu, stamtąd pojedą do wypożyczalni wideo i z powrotem. Będą musieli iść późno do łóżka. Ale teraz to nie miało znaczenia, ponieważ poczuła wielką ulgę. Stała przez chwilę, patrząc na nich, przepełniona bezgraniczną

wdzięcznością. Nieczęsto spotykała Jensa. Ale kiedy to się zdarzało, zawsze patrzył na nią jakoś szczególnie, jakby oczy mu się rozświeciły. Znała to spojrzenie, widziała je u wielu mężczyzn, ale to był mąż jej najlepszej przyjaciółki. Starła się omijać go wzrokiem.

*

Kiedy wrócili do domu od weterynarza Munthe, a Eddie wyciągnął Shibę z samochodu, usiedli w kuchni. Mass bawiła się pudełkiem tabletek, które dostała od weterynarza, metacam, przeciwbólowe tabletki do żucia dla psów. Smakowały dobrze, Shiba je zaakceptowała, po czym znowu opadła na posłanie.

– Osiem lat to dość dużo jak na psa – powiedział Eddie. – Na ludzkie lata ma właściwie pięćdziesiąt sześć lat.

– Tak – Mass spojrzała na niego – ma tyle samo lat co ja.

Eddie o tym nie pomyślał. Podążył wzrokiem za matką, która wstała z krzesła i podeszła do blatu kuchennego, wydawała się zagubiona.

– Tak czy inaczej – ciągnął Eddie – nie jest szczeniakiem. I ma nadwagę, tak jak ja. – To ostatnie powiedział z uśmiechem, którego matka nie widziała. – Pójdę i przyniosę ci gazetę – pocieszał – żebyś mogła się trochę zrelaksować.

Włożył stopy w buty i wyszedł na śnieg. Dziś też nie spotkał Ansgara, zawsze trochę się tego obawiał, gdy wybierał się do skrzynki pocztowej. Czasami myślał, że jeśli tamten znów będzie się z niego nabijać, to złamie mu nos. Ansgar był w zasadzie mizerotą, nawet on był większy i silniejszy. Wyciągnął listy i wrócił do domu, Mass siedziała na swoim krześle i czekała, wzięła do ręki gazetę. Eddie wyjął z lodówki cherry coke, następnie usiadł przy komputerze. Po chwili zastanowienia zaczął szukać. Gdzieś w milionowej Kopenhadze ojciec przeżył ostatnie lata życia i został pochowany na jednym z miejskich cmentarzy. Powinno mu się udać ustalić, na którym. Zaczął szukać cmentarzy w Kopenhadze, jednak kiedy na ekranie pojawiła się długa lista, zakręciło mu się w głowie. Nie miał pojęcia, że jest ich tak wiele. Od czego miałby zacząć? Jego wzrok przebiegł po wszystkich nazwach, przeczytał je sobie po cichu, obok każdej widniał dokładny adres.

Cmentarz Assistens przy Kapellveien. Holmen przy Østre Farimagsgade. Solbjerg, Roskildevej. Cmentarz Zachodni przy alei Vestre Kirkegård. Zbawiciela przy Amagerbrogade. I tak dalej.

Mozolnie przeliterował je wszystkie. Matka nie wiedziała, gdzie leży ojciec, wiedziała to tylko jego nowa rodzina, oni też mieszkali w wielkim mieście Kopenhaga, wśród miliona dwustu tysięcy mieszkańców. Mimo to uważał, że na pewno da się ojca odszukać. To znaczy grób, oczywiście, nie dało się już znaleźć niczego innego. Coś tam jednak matka wiedziała, miał imię i nazwisko, datę urodzenia i datę przeprowadzki do Kopenhagi.

– Co robisz? – zapytała Mass. – Czego szukasz?

– Niczego specjalnego – rzucił krótko Eddie.

Był pewien, że matce nie spodoba się to, co on robi, dlatego nie chciał jej nic mówić. Opuściła gazetę. Kiedy Eddie coś sobie postanowił, dążył do tego z uporem. Nagle dotarło do niej, że może szukać dziewczyny, wielu ludzi teraz poznawało się w internecie. Co prawda zawsze powtarzał, że nikogo nie chce, ale mógł zmienić zdanie. I chociaż różnił się od innych, i nie był najszcuplejszy, uważała, że jest naprawdę atrakcyjny, ze swoim silnym ciałem i dużymi brązowymi lokami.

– Naprawdę masz przede mną sekrety? – Zaśmiała się.

– Tak – odpowiedział Eddie.

Nie chciała więcej pytać, nawet jeśli mieszkał w tym samym domu, miał prawo do prywatności. Po chwili wyłączył komputer, a Mass zniknęła w pralni, żeby wyjąć ubrania z suszarki. Chwycił gazetę i zaczął dzisiejszą krzyżówkę. Mozolnie przedzierał się przez nią, hasło po hasło. „Biblijny owoc” na sześć liter, „jabłko”. „Gwiazda centralna”, „słońce”. „Płomień”. „Ukochana”. Wyrażenie „śmiercionośna obrona” było bardziej skomplikowane, składało się z dziewięciu liter. Miał „l” i „u”, rozwiązaniem były więc „leukocyty”, które nauka nazywała naturalnymi komórkami zabójczymi. „Oczyszczalnia”. Może to też było coś w ciele, dziewięć liter, miał jedną, „ś”. Czyli „śledziona”. „Ideologia” na osiem liter, czwarta to „i”. Na przykład „polityka”. „Religia” miała za mało liter. Po dalszych pracach uzyskał „m” i „f”. Rozwiązaniem był „manifest”. Jego myśli wróciły do cmentarzy, które musiał znaleźć. Nie mógł zapomnieć o grobie ojca, miał go zawsze gdzieś w podświadomości. A kobiecie, która odebrała im ojca,

nigdy nie wybaczy, nigdy w świecie. Co za bezczelność. Odłożył gazetę i poszedł do kuchni, pochylił się nad Shibą i szepnął jej do ucha.

– Niedługo pojedziemy do weterynarza i tam cię zabijemy.

– Nie dokuczaj Shobie – powiedziała surowo matka – jest chora i potrzebuje spokoju.

– Wiem.

Stała z jakąś szmatą przerzuconą przez ramię, teraz podniosła ją, by mu pokazać. To była jego czarna bluza z napisem, w gorącej suszarce skurczyła się do rozmiarów dziecięcych.

– Chcę nową – zdecydował stanowczo. – Jedziemy do Dressmanna.

– Ach! – Roześmiała się serdecznie. – Chcesz znowu zobaczyć tę dziewczynę z Etiopii.

*

Lipiec 2005

Po czternastu dniach na platformie Olav Nøklan został odebrany helikopterem i przewieziony na ląd. Kathrine przyjechała po niego samochodem, na tylnym siedzeniu znajdowała się ich mała córeczka, Ylva. Przytulił obie mocno, szczęśliwy, że je widzi. Mimo to podczas jazdy panowała między nimi cisza. Olav dobrze wiedział, co go czeka. Już następnego dnia do drzwi zapuka policja, a myśl o wszystkim, o co będą pytać, ścisnęła mu serce.

– Co im powiesz? – zapytała Kathrine zza kierownicy.

– Absolutnie wszystko – odparł Olav. – Odpowiem na wszystkie pytania tak dokładnie i szczerze, jak tylko potrafię.

– Myślisz, że powinnam być przy tym? Też znałam Bonnie.

– Nie wiem – stwierdził krótko. – Może chcą ze mną porozmawiać na osobności.

Ylva siedziała w foteliku, gaworząc, a on starał się zachować spokój. Dręczyły go wyrzuty sumienia i to z wielu powodów, miał zamiar to przyznać, jeśli tylko spytają. Powinien się wstydzić. Powinien leżeć krzyżem w ramach pokuty.

*

– Dlaczego zostawił pan Bonnie? – zapytał Sejer. – Czy były między wami konflikty?

– Nie, to nie tak – zaprzeczył Olav – dobrze nam się układało. Zwłaszcza po narodzinach Simona. Po prostu zakochałem się bez pamięci w Kathrine. Nic nie mogłem na to poradzić, jestem tylko człowiekiem.

– Kathrine miała siedemnaście lat?

– Tak. To brzmi jak *grooming*, wiem, ale ona jest bardzo dojrzała. Dlatego właśnie zatrudniliśmy ją jako opiekunkę. A potem stało się to, co się stało. To był dość trudny czas i szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co mam robić. Kathrine i ja prowadziliśmy niekończące się rozmowy i wiele razy jej powtarzałem, że na pewno znajdzie kogoś innego, była przecież taka młoda. Mieliśmy to jakoś uciąć, próbowaliśmy kilka razy. Ale to po prostu nie wyszło. Nie mogliśmy zakończyć związku, nie byłem w stanie trzeźwo myśleć. Wolałem więc wyznać wszystko szczerze Bonnie.

– Jak zareagowała? – spytał Skarre.

– Och – westchnął – to było straszne. Wiedziałem też, że będzie miała problemy finansowe. Pomoce domowe nie zarabiają dużo.

– Mógł pan przecież pomóc jej finansowo? Na platformie chyba nieźle pan zarabia?

– No tak, płacę alimenty na Simona – przyznał. – Nie miała problemu, by je przyjąć. Inaczej nie miałyby ani grosza. Była tak zgorzkniała, jak tylko człowiek może być, a ja nie chciałem naciskać. Mówiłem jej, żeby dzwoniła, gdyby tylko czegoś potrzebowała, chciałem jakoś wynagrodzić wszystko, co się stało.

– To trochę trudne do zrozumienia, że odmówiła – zauważył Sejer.

– Nie znał pan Bonnie.

Sejer rozejrzał się po salonie, którego wystrój świadczył zarówno o dobrym guście, jak i rozsądnej oszczędności. Dom, w którym Bonnie mieszkała po rozstaniu, był zupełnie inny. Stary, mały, nie znaleźli w nim nic, co dałoby im jakąś informację o mieszkańcach. Sejer stał w drzwiach sypialni i patrzył na dwa łóżka bez kołder, które zostały w przyczepie.

– Ile czasu spędzał pan z Simonem?

Olav spuścił głowę. Widać było, że jest smutny i czuje się winny.

– Prawie wcale się z nim nie spotykałem – przyznał. – Bonnie mnie do niego nie dopuszczała. Myślę, że chciała mnie ukarać.

– Nie prosił pan o więcej kontaktów?

– Nie. Jestem po prostu tchórzem, to chyba wszystko, co można powiedzieć. I urodziła się Ylva. Ale oczywiście wysyłałem mu prezenty na Boże Narodzenie i urodziny. Cały czas myślałem, że może ona z biegiem lat złagodnieje, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby tak się stało, była całkowicie nieprzejednana.

– Czy byliście sobie bliscy? – zapytał Skarre. – Zwierzała się panu? Opowiadała o przeżyciach z dzieciństwa lub okresu dojrzewania?

– Zasadniczo nie. Może powinniśmy byli tak robić. Sam muszę przyznać, że dużo latałem za dziewczynami, miałem dziką młodość. I ze zrozumiałych powodów nie miałem ochoty o tym opowiadać. A Bonnie była dość tajemnicza, nie wypytywałem jej o przeszłość, bo po co?

– Ale to był mimo wszystko dobry związek?

– Tak, pod każdym względem.

– Nigdy tak naprawdę nie pogodziła się z rozstaniem, czy to znaczy, że była bardzo zaborcza, kiedy mieszkaliście razem?

– Tak.

Pojawiła się w pokoju Kathrine z Ylvą na ramieniu, zadali jej kilka pytań, które potwierdziły wersję mężczyzny.

Potem podeszli do drzwi, żeby się pożegnać, a Sejer odwrócił się po raz ostatni.

– Czy był pan na pogrzebie?

– Nie.

Sejer stał chwilę i myślał.

– Wydaje mi się to dość dziwne, nie pojawić się na pogrzebie syna. Czy może nam pan to wyjaśnić?

– Tak – potwierdził rozpaczliwie – oczywiście, jest mi wstyd. Rzecz w tym, że obawiałem się Henny Hayden. Była zła, nie, była wściekła z powodu tego, co zrobiłem Bonnie i Simonowi. Dlatego zdecydowałam się zostać w domu. Po prostu bałem się, że zrobi scenę, nie należy do cichych osób. Nie chciałem czegoś takiego

na pogrzebie Simona. Dlatego czekałem do późnej nocy. Wtedy pojechałem do kościoła Haugane z czerwonymi różami.

*

Zaparkowali obok czerwonego volvo i weszli do domu Britt Marie, która była najbliższą przyjaciółką Bonnie. Wysłała męża z dziećmi do pokoju telewizyjnego w piwnicy. Pies, Sugar Man, spał przed kominkiem z głową opartą na łapach.

– Przez lata bardzo pomagałam Bonnie – zaczęła Britt. – Teraz nic więcej nie mogę zrobić. Gdybym tylko miała jakieś informacje, które pomogłyby wam go znaleźć... Ale nie mam ich. Nic kompletnie.

– Wie pani o jakichś zadawnionych konfliktach? – spytał Sejer.

– Nie, nawet sobie tego nie wyobrażam, ona była chodzącą dobrocią.

– Więc nie wie pani nic o jej wrogach?

– Nie wiem, skąd miałaby jakichś mieć. Nie, absolutnie.

– Czy mówiła coś, co mogłoby wskazywać, że ktoś ją nęka?

– Mężczyźni – odpowiedziała Britt z uśmiechem. – Zakładam, że widzieli panowie jej zdjęcia.

– Ale nigdy nie mówiła o kimś konkretnym?

– Nie, w żadnym wypadku. Nie po Olavie.

Na jednej ze ścian wisiało zdjęcie Bonnie i Britt, przytulonych, zrobione w deszczu, obie miały na sobie czerwone kurtki przeciwdeszczowe z naciągniętymi kapturami.

– To Jens zrobił to zdjęcie – wyjaśniła – jest dość nowe.

– Więc pani mąż też znał Bonnie?

– Tak, ale niezbyt dobrze.

– Jak bliskie sobie byliście? Czy opowiadała pani wszystko?

– O nie, absolutnie. Nikt nie opowiada o sobie wszystkiego, w końcu jesteśmy dorośli. A dorośli ludzie mają sekrety, ja też.

Nagle zaczęła płakać. Pies podszedł, by ją pocieszyć.

– Z tego, co pani mówi – zauważył Skarre – Bonnie mogła mieć sekret, o którym pani nie wiedziała?

– Tak, chyba właśnie to chcę powiedzieć – przyznała, ocierając łzy.

– Coś z najdawniejszej przeszłości?

– No tak, coś tam wiem o jej dorastaniu. Miała anoreksję, i to dość poważną. Skarre zanotował tę informację.

– Więc to pani powiedziała, ale bez szczegółów?

– Właśnie tak. Była wtedy nastolatką, jak to zwykle bywa.

– Anoreksja często ma określone przyczyny, co pani o nich wie?

– Trochę wiem. To samo, co wszyscy. Gwałt, wykorzystywanie seksualne, takie okropne rzeczy.

– Czy ma pani powody sądzić, że coś takiego wydarzyło się w życiu Bonnie?

– Nie wiem. Nie mógł to być Henrik, znałam go dość dobrze, uwielbiał ją.

– Może ktoś inny?

– To oczywiście możliwe – stwierdziła Britt. – Każdy ma jakiegoś złego wujka.

*

Grudzień 2004

Kiedy w końcu nadeszły Święta Bożego Narodzenia, Simon chodził w kółko, klaszcząc w dłonie. Cieszył się wszystkim, blaskiem, prezentami i zapachami z kuchni. Wiele ozdób choinkowych w przedszkolu wykonał z pomocą Kai, były koszyczki i długie łańcuchy z błyszczącego papieru i serca z czerwonego filcu. Babcia i dziadek siedzieli na kanapie, a mama miała na sobie sukienkę, jej policzki były ciepłe po długim czasie spędzonym nad garnkami. To Simon rozdawał prezenty. Na głowie miał czerwoną czapkę, swoje podarki zachował na koniec, jeden po drugim kładł prezenty na kolanach obdarowanych i czekał z niepokojem. Dziadek Henrik nie bardzo wiedział, co robić, ale Bonnie pomogła mu z zakręconą wstążką i z pudełka wyłoniły się brązowe skórzane rękawiczki. Włożył je i uniósł dłonie do twarzy, wachając z przyjemnością.

W końcu Simon siedział na podłodze ze wszystkimi swoimi prezentami, w sumie było ich pięć, zmagał się z papierem, wysuwając język. Bonnie ładnie poskładała papier, część można było wykorzystać później. Wieczorem odwiozła rodziców do domu, stacyjka została wymieniona i wszystko było w porządku, przynajmniej na jakiś czas. Samochód już dawno powinien zostać wyremontowany, ale nie było jej na to stać. To były błogosławione dni i miało ich nadejść więcej. Siedzieli tak długo, jak chcieli, spali tak długo, jak chcieli, a każdego wieczoru raczyli się ciastami.

*

Styczeń 2005

Dni wolne biegły nieubłagane, w styczniu Bonnie musiała wrócić do pracy, a Simon do przedszkola. Rano był powolny i niechętny, uderzał pięściami w stół i krzyczał, że nie chce. Zaciskając zęby, z bólem serca Bonnie na wpół niosła, na wpół ciągnęła go do samochodu.

Pewnego ranka w połowie stycznia obudził ją płacz. Wstała z łóżka i weszła do jego pokoju, gdzie zapaliła światło, a potem głaskała go po włosach i pytała, czy może śnił mu się koszmar. Wtedy zauważyła coś dziwnego na jego twarzy, kilka ogromnych pęcherzy, w panice zadarła mu piżamę, żeby przyjrzeć się jego skórze. Całe jego ciało było pokryte tymi bąblami, poczuła straszny niepokój, nigdy nie widziała takiej wysypki ani nie mogła zrozumieć, co to jest. Wyciągnęła go z łóżka i przebrała, a potem zadzwoniła do biura, żeby wyjaśnić, że musi jechać do przychodni, ale obiecała, że wróci tak szybko, jak to możliwe.

– Dostanę zastrzyk? – zapytał Simon z tylnego siedzenia, gdy byli w samochodzie.

– Nie wiem – odrzekła Bonnie – może po prostu dostaniesz lekarstwo. Jakieś tabletki. Lub maść. Musimy zobaczyć, co powie lekarz.

– Będę musiał później iść do przedszkola?

– Nie. Zostaniesz w domu, aż przejdzie ci wysypka. Zadzwonię do babci, żeby się tobą zaopiekowała, kiedy ja będę w pracy.

Kiedy weszli do przychodni, z ulgą zauważyła, że nie było tam zbyt wielu ludzi. Mieli przed sobą tylko dwóch pacjentów, cały czas pocieszała Simona, który siedział obok niej przerażony. Kiedy czekała, jej umysł pracował na najwyższych obrotach, pomyślała, że może to jakaś alergia. Chociaż Simon nigdy nie miał nic takiego, ona też nie. Kiedy weszli, musiała go rozebrać, a lekarz przejechał palcem po wysypce.

– Pojawiła się w nocy?

– Tak.

– Czy miał ją już wcześniej?

– Nie.

– Dostanę zastrzyk? – zapytał niespokojnie Simon.

– Nie – powiedział uspokajająco lekarz – tutaj nie potrzeba zastrzyków, kochanie. To całkowicie nieszkodliwe i łatwe do wyleczenia.

– Ale co to takiego? – spytała Bonnie.

– Pokrzywka – wyjaśnił lekarz – dam mu prednizolon i szybciotko zniknie.

Pogłaskał Simona po lokach i wypisał receptę.

– Czy pani zdaniem coś chłopca stresuje? – spytał.

Bonnie poczuła się strasznie.

– Tak, to możliwe. Jesteśmy sami, Simon i ja, jest bardzo nieszczęśliwy w przedszkolu. Ale nie mamy wyboru.

Dostała receptę i podziękowała, zabrała ze sobą Simona i weszła głównym wejściem do szpitala, gdzie była apteka. Wykupiła lekarstwo i pojechała do matki, która przywitała ich na schodach. Simon został tam bez protestów, a Bonnie mogła w końcu pojechać do Erny.

– Wreszcie, czekam już od półtorej godziny – powiedziała staruszka z dezaprobatą.

– Punktualność jest cnotą. Teraz prawie nic nie zdążysz zrobić.

Bonnie próbowała uspokoić oddech.

– Ale Ragnhild poinformowała przecież, że muszę iść z Simonem do lekarza?

– Tak, dostałam wiadomość. Ale tak szczerze mówiąc, samotne matki z małymi dziećmi w ogóle nie powinny pracować. To przez to te nieobecności.

Bonnie poszła jak zwykle do sypialni i przyniosła koszyk ze skarpetkami, które następnie nałożyła na wszystkie nogi krzeseł i stołów, Erna jak zwykle usiadła w swoim fotelu i podążała za nią wzrokiem jak jastrząb. Pracując, cały czas myślała o Simonie. Oczywiście, był zestresowany, tak jak powiedział lekarz. Powinna coś z tym zrobić, ale nie wiedziała co. Fakt, że nie miał prawie żadnego kontaktu z ojcem, oczywiście nie wpływał na niego dobrze, pozbawiła go rodzica. Często tego żałowała, ale była taka dumna. Teraz Olav miał córkę, był szczęśliwy ze swoją Kathrine i za każdym razem, gdy o tym myślała, prawie gotowało się jej w głowie z wściekłości. Posprzątała i dokładnie odkurzyła, poszła do sypialni, pościeliła łóżko i jak zwykle spojrzała na zdjęcie Erny jako młodej dziewczyny. Trudno było uwierzyć, że ta dziewczyna, która wyglądała tak promiennie, była tą samą twardą kobietą w salonie. Co robi z nami życie? – pomyślała. Kiedy w końcu skończyła i pożegnała się, Erna poszła za nią, by zamknąć drzwi.

– Następnym razem oczekuję, że będziesz punktualna – powiedziała na pożegnanie.

Podczas świąt Bożego Narodzenia Ingemar w końcu dostał miejsce w Hallingstad i gdzieś w styczniu Bonnie pojechała go odwiedzić.

Siedział na krześle przy oknie, przez które nie było widać koni tylko parking z długimi rzędami samochodów. Na stole leżało pudełko cukierków, wciąż owinięte w folię, prawdopodobnie to rodzina chciała go czymś ucieszyć. Bonnie pomyślała, że czekolada to kpina z człowieka, który chce tylko sera i kiełbasy wieprzowej oraz tranu prosto z butelki.

– To ja, Bonnie – powiedziała, podchodząc do niego. – Jak leci?

Odwrócił głowę i spojrział na nią. Wydawał się ją rozpoznawać, ale nie towarzyszył temu uśmiech. Jego wzrok był utkwiony w samochodach za oknem, a krzaczaste siwe brwi zrosły się pośrodku.

– Nie musisz mówić tak głośno – zaznaczył – mam doskonały słuch.

Bonnie spojrzała na jego duże białe ucho, pomyślała, że wygląda jak piękna muszla. Gdyby przyłożyła swoje ucho do jego, usłyszałaby daleki szum jego długiego życia. Które właśnie się kończyło. Wspomnienie życia w starym domu z koźmi za oknem było wszystkim, co miał. Przed sobą – nic.

Potem zrobiła coś, na co nigdy wcześniej się nie zdecydowała. Pogłaskała go czule po policzku. A wtedy pojawił się na jego twarzy blady uśmiech.

Siedząc w samochodzie w drodze do domu, pomyślała, że nie chce być stara, nie chce tego rozkładu, tej bezradności. Nie chciała, żeby jej włosy posiwiwały, a loki zniknęły. Pomyślała o ojcu, był jak dziecko, jego życie też się skończyło, chociaż miał dopiero siedemdziesiąt pięć lat, tkwił w innym świecie. A przy tym cieszył się dobrym zdrowiem fizycznym i może będzie musiał żyć przez wiele lat z ciężką demencją. Kiedyś widziała w telewizji mózg osoby z chorobą Alzheimera, był dziurawy jak szwajcarski ser.

Tego wieczoru siedziała na kanapie z Simonem i przeglądała album ze zdjęciami. Musiała ciągle wskazywać i wyjaśniać, kto jest kim.

– To babcia i dziadek w dniu ślubu. Czy babcia nie była piękna?

Simon zgodził się bez wahania. Nie miał takiego zdjęcia matki i ojca, ponieważ nigdy nie byli małżeństwem.

– Patrz, to ja – powiedziała, śmiejąc się – jako małe dziecko, niezły ze mnie pucuś. A tu mam dziesięć lat, jesteśmy na plaży. Pamiętam ten kostium kąpielowy tak dobrze, miałam go bardzo długo.

– A to ja i tata – zauważył Simon, patrząc na nią. – I mam siostrę.

– Przyrodnią siostrę – poprawiła Bonnie – to niezupełnie to samo.

Pomogła mu umyć zęby i położyła go do łóżka, zgasila lampę. Czowała się absolutnie wykończona, wyszła do salonu i opadła na fotel, próbując znaleźć coś w telewizji. Gdzie właściwie zmierzała? Jak miało jej się ułożyć? Czasami, tak jak teraz, czowała, że coś się zbliża, coś, czego nie potrafiła wyrazić słowami.

*

Co roku w Wigilię Eddie pierwszy kładł się wieczorem do łóżka. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Mass wkroczyła do akcji. Napęlniła cukierkami starą czerwoną skarpetę, a potem przyczepiła ją do drzwi do pokoju syna. Leżąc bezsennie w łóżku, słyszał uderzenia młotka, a wczesnym rankiem następnego dnia wysypał wszystkie słodczyce na stół i pochłonął wszystko w mig. Ale teraz nadszedł styczeń. Mass posprzątała po Bożym Narodzeniu, wszystkie igły choinkowe zostały

usunięte. Eddie siedział przez długi czas z krzyżówką, od czasu do czasu gryząc rozpadający się ołówek. „Spisek, zmowa”. „Intryga”, „fabuła”. Kiedy skończył, opadł na krzesło i się zamyślił. Potem usiadł przed komputerem. Mass przejęła gazetę, ale wodziła wzrokiem za synem. Po chwili odwrócił się i spojrzał na nią.

– Kiedy urodził się tata? – zapytał.

– Kochanie, tyle razy ci to mówiłam.

– To powiesz mi jeszcze raz – odparł. – Muszę znać dokładną datę.

– Szóstego listopada w czterdziestym piątym – odparła, marszcząc brwi.

Coś w zachowaniu syna ją niepokoiło, determinacja, którą widziała już kilka razy wcześniej, to coś znaczyło.

– Znasz jego numer identyfikacyjny?

– Nie.

– A gdzie się urodził? – kontynuował przesłuchanie Eddie.

– W Bergen.

– A kiedy odszedł od nas?

Mass westchnęła sfrustrowana.

– Eddie, kochanie – zaczęła zmartwiona. – Do czego zmierzasz z tym wszystkim?

– Kiedy się przeprowadził? – burknął Eddie.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym. Dwudziestego siódmego maja.

Odwrócił się i spojrzał na matkę ze zdziwieniem.

– Jezu. Pamiętasz dokładną datę?

– My, kobiety, pamiętamy takie rzeczy – wyjaśniła znużonym głosem. – Mężczyźni nie dbają o szczegóły.

– A kiedy umarł?

– W dziewięćdziesiątym drugim. Nie pytaj mnie o datę, bo jej nie znam. I nie wiem, gdzie jest pochowany, i nie wiem, czy miał dzieci ze swoją nową żoną. Nie chcę wiedzieć. Był tchórzem.

– Dlaczego ciągle tak go nazywasz? – zapytał Eddie.

Mass musiała chwilę pomyśleć, w końcu odpowiedziała, wyraźnie niechętnie:

– No cóż. Kiedy byłeś mały, nie było z tobą łatwo.

Eddie spojrział na matkę z uwagą.

– Dlaczego? Co się działo?

– Byłeś ciągle na „nie”. Nie chciałeś iść do przedszkola, nie chciałeś być z innymi dziećmi. Cały czas się nas trzymałeś, miałeś coś, co nazywa się lękiem separacyjnym. Więc nawet gdybyśmy mieli miejsce w przedszkolu, nie moglibyśmy z niego skorzystać. Tak, mówię, jak było. Anders był kompletnie rozczarowany, nie sądził, że coś z ciebie wyrośnie. Nazywał cię mazgajem. Ojciec nie powinien tak mówić o swoim dziecku, to jest po prostu nie do przyjęcia.

– Ale skoro nie mieliście ze sobą kontaktu, skąd wiesz, że nie żyje?

– Jego żona wysłała mi list.

– Jego żona? – powtórzył Eddie zdziwiony. – Wysłała list?

– Tak.

– Ale nie napisała, gdzie go pochowano?

– Nie. I nie chciałam wiedzieć, nie zamierzałam tam jechać.

– Ale skoro dostałaś list – powiedział podekscytowany Eddie – to znasz jej imię, prawda? Możesz sobie przypomnieć?

– Niewiele pamiętam z tego listu – przyznała.

– Nic kompletnie?

– Mój Boże, Eddie, zadręczysz mnie!

– Pamiętasz jej imię – naciskał – pamiętasz nawet datę jego przeprowadzki do Kopenhagi. To znaczy, że masz dobrą pamięć, tak jak ja.

Zamknęła oczy na dłuższą chwilę.

– Widzę, że się nie poddasz. Ma na imię Inga.

– Inga i co dalej?

– Inga Margrethe.

– I?

– Nie pamiętam.

– Ale na odwrocie koperty jest to napisane, prawda? Masz ten list?

– Oczywiście, że nie, po co miałabym go zachować?

Eddie pomyślał o tym, co powiedziała jego matka, że był trudny jako dziecko. I nawet jeśli nigdy wcześniej nie wyraziła tego wprost, przeczuwał, że tak było.

Odwrócił się z powrotem do ekranu i otworzył nowy dokument. Po chwili zastanowienia zaczął pisać.

Do redakcji *Torego na tropie*.

Nazywam się Eddie Malthe i piszę do Was, ponieważ potrzebuję pomocy w znalezieniu grobu mojego ojca w Kopenhadze. Zostawił moją matkę i mnie dwudziestego siódmego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, potem ożenił się ponownie i przeniósł do Danii. Mój ojciec nazywał się Anders Kristoffer Malthe i urodził się szóstego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w Bergen. Jego nowa żona ma na imię Inga, niestety nie znam nazwiska, ale osiedlili się w Kopenhadze. Wiem, że zmarł w dziewięćdziesiątym drugim, ale nie znam dokładnej daty. Zawsze oglądam Wasz program i wiem, że znajdujecie ludzi na całym świecie. Wiele by to dla mnie znaczyło, gdybym mógł pojechać do Kopenhagi i złożyć kwiaty na jego grobie. Wszystko, co mam, to stare zdjęcie wiszące nad moim łóżkiem. Mam nadzieję, że pomożecie mi go znaleźć.

Z poważaniem

Eddie Malthe

Tego samego dnia pojechał z listem na pocztę.

Wydrukował go na lepszym papierze, pomyślał, że w ten sposób będzie bardziej osobisty. Pewnie dostawali dużo poczty, nie chciał utonąć w tłumie. Na dole kartki zapisał swój adres i numer telefonu, a dla pewności przykleił dwa znaczki. Potem poświęcił się oczekiwaniom na odpowiedź. Siedział przy kuchennym oknie i wypatrywał czerwonej furgonetki pocztowej, a gdy się pojawiała, wybiegał w śnieg. Ansgar często wychodził w tym samym czasie, a kot za nim. Pewnie też siedział przy oknie i czekał, ale Eddie rzucał się do skrzynki pocztowej i jak najszybciej zniknął z powrotem w domu. Czasami zabierał ze sobą Shibę. Jej nogi stawały się coraz słabsze, za każdym razem, gdy wspominał o tym matce, głęboko się martwiła. W niektóre dni kładła gazetę przed drzwiami wyjściowymi, żeby pies mógł się tam załatwić. Ale Shiba miała też dobre dni, wtedy Mass pocieszała się, że może to samo przejdzie. Nie mogła znieść myśli o tym, co musiało się wydarzyć. Przez cały czas Eddie czekał na list od *Torego na tropie*. Całe ciało

bolało go z napięcia, większość czasu spędzał w swoim pokoju, patrząc na zdjęcie. Jego ojciec naprawdę był przystojnym facetem, pomyślał, z szerokimi ramionami i gęstymi blond włosami. Eddie postanowił sobie, że znajdzie grób ojca, choćby miał spędzić na tym dzień i noc przez wiele miesięcy.

*

Sierpień 2005

Sejer i Skarre wrócili do Haydenów, bo pojawiły się nowe pytania. Po wejściu zauważyli, że krzesło przy oknie jest puste.

– Mąż w Hallingstad?

– Nie. Jest w łóżku – wyjaśniła Henny – nie zawsze go budzę. W zasadzie wszystko jedno, gdzie on jest. Siedzi przecież tylko z rękami na kolanach i prawie nigdy się nie odzywa, a jeśli już, to szeptem.

– Jak się pani trzyma? – zapytał zmartwiony Sejer.

– Żyję z godziny na godzinę – odparła ze znużeniem. – Czasami wchodzę do starego pokoju dziecinnego i kładę się w jej łóżku. I wtedy nie widzę żadnego powodu, aby wstać. Znaleźliście coś? Jesteście tutaj, czy macie jakieś nowe informacje?

Sejer musiał przyznać, że nie.

– Macie tylko odcisk stopy – westchnęła z rozpaczą – to was daleko nie zaprowadzi.

– Musimy z panią o czymś porozmawiać – powiedział Skarre. – Są pewne rzeczy w życiu Bonnie, które musimy dokładniej zbadać.

– No tak... – Odwróciła wzrok.

– Bonnie była zdolną uczennicą – zaczął Skarre – i marzyła o medycynie. Tymczasem sprzątała u starszych osób, to jednak zastanawiające. Pani zdaniem, dlaczego tak się stało?

– To po prostu jedno z wielu niespełnionych marzeń – odparła. – Wszyscy takie mamy. Bardzo lubiła tę pracę w gminnej opiece domowej, szła do niej z całym sercem i duszą.

– Czy żałowała, że nie zrealizowała marzenia o medycynie?

– Nie wydaje mi się. Przynajmniej nic o tym nie mówiła. Nie miała łatwego życia, zwłaszcza po odejściu Olava. Nigdy mu nie wybaczę. Na szczęście miał dość rozsądku, by trzymać się z daleka w dniu pogrzebu. Gdyby się tam pojawił, powiedziałabym, co o nim myślę. Dorosły mężczyzna z synem zakochuje się w nastolatce i zostawia wszystko, nie można przemilczeć czegoś takiego.

– Muszę panią o coś zapytać – powiedział Skarre. – I bardzo proszę widzieć w nas sojuszników. Czy mają państwo jakieś rodzinne sekrety, o których powinniśmy wiedzieć?

– Chyba wszystkie rodziny takie mają – stwierdziła Henny. – Powinniście okazać wyrozumiałość. Już dość przeżyliśmy i jesteśmy w szoku.

– Ale morderstwo to jest sprawa prywatna – odrzekł Skarre. – Ma pani obowiązek odpowiedzieć na nasze pytania. Tylko członkowie rodziny oskarżonego są zwolnieni z tego obowiązku. A w tym przypadku tak nie jest, prawda? Musi pani zostawić nam ocenę, co jest ważne dla sprawy.

Milczała przez chwilę. Jej oczy skierowały się na okno i puste krzesło. Widzieli, że walczy ze sobą. W kółko wyobrażała sobie to wszystko, tę dwójkę w przyczepie i podniesiony nóż. Słyszała ich krzyki w głowie i miała je słyszeć już zawsze. Czasami Sejerowi było przykro z powodu pytań, jakie musiał zadawać, ale był też przyzwyczajony do tego, że krewni są chętni do pomocy.

– Musimy o wszystkim porozmawiać – dodał.

– Jestem strasznie zmęczona – odparła – muszę odpocząć.

– Rozumiemy to, nie zostaniemy tu długo. Dowiedzieliśmy się, że Bonnie jako nastolatka zachorowała na anoreksję. I ten temat musimy poruszyć. Może pani uznać, że to nie ma nic wspólnego ze sprawą, ale i tak o to pytamy. Proszę nam o tym opowiedzieć.

Wyprostowała się, jakby w obronie. Jakby chciała powiedzieć, że jeśli chodzi o diagnozę córki, jest bez wątplenia niewinna, tak jak i jej mąż.

– Bonnie zaczęła tracić na wadze w wieku siedemnastu lat – wyjaśniła. – Ważyła sześćdziesiąt siedem kilo, czyli nieszczerólnie dużo, była przecież dość wysoka. A potem zupełnie wymknęło się to spod kontroli i zaczęła chudnąć jak szalona. Siedziała i grzebała w jedzeniu, zapadła się w siebie, jakby całkowicie zniknęła. Po roku ważyła niespełna czterdzieści kilogramów, chodziliśmy po pomoc do wielu

lekarzy. Ona sama była po prostu obojętna, straciła dużo włosów, w niektórych miejscach na ciele miała otarcia. Kości przebijały się przez skórę, to był okropny widok. Kilkakrotnie była hospitalizowana, lekarze obawiali się niewydolności narządów, więc sprawa była bardzo poważna. Baliśmy się, że ją stracimy. Nie spaliśmy zupełnie, ani Henrik, ani ja.

– Jak z tego wyszła? – spytał Skarre.

– W końcu znaleźliśmy lekarza, do którego bardzo się przywiązała. To wyglądało, jakby trzeba było złamać jakiś kod, żeby do niej dotrzeć, i jemu się udało. Jakby znalazł wejście, że tak to ujmę. I powoli zaczęła zdrowieć. Nigdy w życiu nie poczułam takiej ulgi jak wtedy, gdy znowu zaczęła jeść. Na początku jadła tylko zupę i owsiankę, nie mogła znieść zucia. Potem wreszcie wszystko wróciło do normy. I nigdy więcej nie miała takich problemów.

– Zakładam, że dużo zastanawialiście się nad tym, co spowodowało tę chorobę – mówił dalej Skarre. – Do jakich doszliście wniosków?

Wyglądała, jakby miała ochotę się rozpłakać.

– To nie była nasza wina – chlipała – chociaż czasami mieliśmy wrażenie, że lekarze dokładnie tak myśleli, byli podejrzliwi wobec nas i tego, jak ją traktowaliśmy.

– A jak była traktowana?

– No, byliśmy dość surowi. Zwłaszcza Henrik, był bardzo nadopiekuńczy. Stał przy oknie i czekał na nią za każdym razem, gdy znikła za bramą. Czasami baliśmy się, że przy głównej drodze może czekać ktoś z motocyklem. I że może nie miała kasku. Tak myślą rodzice.

– Wiem – uśmiechnął się Sejer – sam mam córkę.

– Za każdym razem, gdy wychodziła, kazaliśmy jej być z powrotem najpóźniej o dziewiątej – dodała Henny. – I z reguły wracała punktualnie, była posłuszną dziewczyną. Potem zaczęła się niekiedy spóźniać. Henrik stał wtedy w oknie i czekał, a kiedy w końcu docierała do domu, zasypywał ją pytaniami. „Dlaczego nie wróciłaś o wyznaczonej godzinie? Z kim byłaś? Gdzie byliście i co robiliście, i czy spotkasz go ponownie? Czy piłaś, brałaś coś innego, czy możemy ci zaufać?” Bonnie robiło się wtedy bardzo przykro. Mówiła, że była z przyjaciółkami i zapomniała, która godzina. Przepraszała tysiąc razy i szła do łóżka, żeby mieć to

już za sobą. Niektóre dziewczyny, u których rozwija się anoreksja, robią to, by zyskać kontrolę nad życiem – dodała.

– Pani zdaniem Bonnie straciła kontrolę nad swoim życiem? – zapytał Sejer.

– Żadna nastolatka nie ma takiej kontroli – powiedziała Henny – są takie niedojrzałe. A Bonnie była dziewczyną, która nigdy nie odmawiała.

– Czy można coś jeszcze z niej wyciągnąć? – spytał Skarre. – Czy ona coś ukrywa?

– Może. Ale zaczyna mówić, musimy dać jej czas. Stopniowo wszystko się okaże. Może czegoś się wstydzi. Wstyd jest potężną blokadą.

Zjechali na parking i dotarli do recepcji. Czekala tam na nich jakaś dziewczyna. Wyglądała na osiemnaście, najwyżej dwadzieścia lat, włosy miała rozjaśnione słońcem.

– Byłam na wakacjach w Hiszpanii – powiedziała – a teraz właśnie wróciłam do domu. Wyjechałam o siódmej rano szóstego lipca. I wtedy była ta sprawa na farmie Skarven. Gazety są tego pełne, przeczytałam wszystko. I wtedy mi się coś przypomniało.

– Widziała pani coś? – zapytał Sejer. – Zapraszam do mnie, porozmawiamy.

Podążyła za nim do windy, wjechali na szóste piętro, a kiedy weszli do biura, Frank wstał spod stołu. Powitała go z podekscytowaniem, podziwiając jego pomarszczoną głowę i czarne oczy.

– Piątego lipca byłam na parkingu w Geirastadir – wyjaśniła – umówiłam się na spacer z koleżanką, bo była ładna pogoda. Miałyśmy dojść do Sagi.

– I co dalej?

– Siedziałam w samochodzie i czekałam, bo przyjaciółka zadzwoniła i powiedziała, że się trochę spóźni.

– O której byłyście umówione?

– O pierwszej.

– I co pani robiła, czekając?

– Siedziałam w samochodzie i słuchałam P4. Miałam włączony silnik, potrzebowałam klimatyzacji. Parking był prawie całkowicie zapełniony, ale po chwili przyjechał jeszcze jeden samochód. Wyglądał jak stare czerwone kombi, nie

znam marek samochodów, ale na pewno nie był mały. Trochę się namęczył, żeby znaleźć miejsce. Ale w końcu gdzieś się wcisnął.

– To był mężczyzna?

– Tak.

Dwa czerwone samochody, pomyślał Sejer, jeden na farmie Skarven, a drugi w Geirastadir.

– Potem wysiadł z samochodu – kontynuowała – i przypuszczałam, że pójdzie w kierunku Sagi, albo do Svarttjern, ale on zniknął na polach. Poszedł w stronę gospodarstwa Skarven.

– Widziała pani, jak wyglądał?

– Nie przyglądałam się zbyt dokładnie, ale zdecydowanie nie był jakimś chucherkiem, że tak to ujmę. Był wysoki i dość gruby. Miał czarne ubranie.

– Musiała pani zauważyć coś więcej, dlatego tu pani przyszła. Prawda?

Uśmiechnęła się.

– Tak, pamięta pan, piątego lipca był upał, wszyscy zdychali z gorąca. Ale ten człowiek miał na sobie kurtkę i rękawiczki.

*

Luty 2005

Eddie nie otrzymał odpowiedzi od *Torego na tropie*. Czuł, że go całkowicie zignorowali. Nie był wcale ważny, ani on, ani jego ojciec, teraz musiał radzić sobie sam.

Pewnego dnia matka poprosiła go, aby zajął się trochę Shibą. Miał przyciąć jej pazury i posmarować opuszki maścią dziegciową. Usiadł na kuchennej podłodze z psem między nogami, zwierzę nie miało siły protestować, a Eddie intensywnie myślał o swoim pochowanym ojcu. Kiedy skończył i pies znów poszedł spać, usiadł przy komputerze, bo pomyślał, że jeśli tylko się nie podda, na pewno znajdzie odpowiedź. Ewidencja ludności, pomyślał, tam muszę spróbować. Ojciec był tam przecież na pewno zarejestrowany, mają tam dużo informacji z datami. Szybko się jednak przekonał, że takie dane są poufne, a kiedy złożył wniosek do

Centralnego Rejestru Ludności w Danii, otrzymał taką samą odpowiedź. Przez chwilę siedział i rozmyślał. Być może ojciec był zapisany w księgach parafialnych, tam ludzie od wieków odnajdywali swoich krewnych. Nie wiedział jednak, jak się za to zabrać. Znalazł natomiast spis powszechny i tu wreszcie nabrał nieco optymizmu. Okazało się, że można wypełnić kilka kryteriów wyszukiwania, imię, nazwisko, płeć, stan cywilny, zawód, datę urodzenia, miejsce urodzenia i miejsce zamieszkania. Pisał z sercem w gardle i w końcu nacisnął „szukaj”, ale ku swemu wielkiemu rozczarowaniu uzyskał zero trafień. Nie rozumiał tego. Przecież ojciec żył na świecie, był zameldowany i pracował, wielu ludzi prowadziło badania genealogiczne na wielką skalę. Robię coś źle, zastanawiał się, ale co? Wstał i wyjął z lodówki cherry coke, myśląc, że może uda mu się zadzwonić do urzędu stanu cywilnego i tam uzyskać pomoc. Muszę zostać wysłuchany, stwierdził, to ważne. Pełen odwagi znalazł numer w internetowej książce telefonicznej, podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i wpisał sześć cyfr. Znow spotkało go rozczarowanie.

– Zmarł w dziewięćdziesiątym drugim? Informacje są więc poufne, przez sześćdziesiąt lat od śmierci.

Eddie miał już zrezygnować ze swojego ważnego projektu. Ale tkwiła w nim jakaś zawziętość, wypełniała całe jego ciało, rozpaliała mu głowę. Odwrócił się i przyjrzał matce, która krzątała się po salonie ze ścierką do kurzu. Może, może, pomyślał, jednak nie wyrzuciła tego listu od Ingi z Kopenhagi.

Kiedy później zasiedli do obiadu, poczęstował się czterema klopsikami i dużą porcją domowej grochowej potrawy.

– Muszę z tobą porozmawiać o czymś ważnym – powiedział, patrząc na nią przez stół.

– Nie syp tyle soli, Eddie – rzuciła – to ci nie służy.

– O czymś ważnym – powtórzył Eddie. – O Indze.

Matka spuściła wzrok. Zobaczył lekkie zaciśnięcie ust, które tak dobrze znał.

– Tak? A co z Ingą?

– Muszę znać jej nazwisko.

– Mówiłam już przecież, że zapomniałam. – Westchnęła z przygnębieniem. – Nie rozumiem, czego od niej chcesz, zabrała ci ojca.

– Ale wie, gdzie jest pochowany. Na pewno sobie przypomnisz, postaraj się. Czasami zastanawiam się, czy nie ukrywasz czegoś przede mną celowo.

Mass odsunęła od siebie talerz, nie spuszczając z Eddiego surowego spojrzenia. Obawiała się jednak teraz, że jest na straconej pozycji.

– Może mam dobre powody – powiedziała – muszę się tobą opiekować. Nie bez powodu mieszkasz nadal ze mną. Potrzebujesz ochrony.

Zastanowił się dłuższą chwilę. Nagle ogarnęła go wściekłość na te wszystkie przeciwności losu. Wybuchnął. Uderzył pięścią w stół, aż naczynia zabrzęczały.

– Nazwisko! – wrzasnął. – Już!

Mass spojrzała na niego zaskoczona, ten napad złości ją przestraszył. W końcu dotarło do niej, że nie ma prawa przeszkadzać mu w jego staraniach.

– Nilsen – powiedziała cicho. – Inga Margrethe Nilsen.

Eddie zgarbił się trochę. Jego policzki się zarumieniły, pochylił się ponownie do przodu i poprosił o adres.

– Wyrzuciłam kopertę – odparła – przysięgam. Cały list został podarty na strzępy, trafił do pieca. Już go przecież straciłam.

Ale Eddie teraz nie mógł się poddać. Inga Margrethe Nilsen z Kopenhagi, z pewnością ją da radę znaleźć. W gwałtownym pośpiechu przełknął resztę jedzenia i podszedł do telefonu, gdzie poprosił o biuro numerów międzynarodowych.

Potem przedstawił swoje zapytanie z bijącym sercem.

– Jak zapisuje się Nilsen? – zapytała operatorka.

Eddie nie zrozumiał pytania. Nilsen to proste nazwisko, nie trzeba go chyba literować.

– W Danii często piszą Nilsen z „ie” zamiast „i” – wyjaśniła. Eddie o tym nie pomyślał.

– Tak, proszę poszukać tego – poprosił z zapalem – prawdopodobnie ma pani rację.

Raptem kilka sekund zajęło jej stwierdzenie, że w ogóle nie może znaleźć żadnej Ingi Margrethe Nielsen w Kopenhadze. Eddie przycisnął słuchawkę do ucha tak mocno, że aż zaboląło. Nie sposób było przewidzieć, ile jeszcze napotka trudności.

– Mogła się przeprowadzić – zasugerowała uprzejmie operatorka – mogę przeszukać całą Danię. To mały kraj.

– Tak – poprosił Eddie – muszę ją znaleźć, to bardzo ważne.

Czekając, bębnił palcami po biurku, czas ciągnął się w nieskończoność. Gdzie mogła się podziać Inga?

W całej Danii znalazła pięć trafień. W Silkeborgu, Holstebro, Koldingu, Århus i Odense. Eddie zapisał numery, teraz wystarczyło tylko spróbować, jedna z tych pięciu kobiet musiała być żoną jego ojca, był absolutnie pewien. Zanim wybrał pierwszy numer, przygotował sobie kilka kwestii, chciał się grzecznie przedstawić i wyjaśnić swoją sprawę. Pod pierwszym numerem, w Silkeborgu, nikt nie odbierał. Wsłuchiwał się w buczenie telefonu przez całą wieczność, ale w końcu musiał zrezygnować i wybrać następny, w Holstebro, gdzie telefon odebrał mały chłopiec. Eddie miał problemy ze zrozumieniem języka duńskiego, sam mówił najwyraźniej, jak potrafił, i poprosił o osobę dorosłą. Usłyszał wołanie: „Mamo!”, i zbliżające się kroki.

W końcu telefon odebrała kobieta, a Eddie wyrecytował przygotowaną wcześniej kwestię. Zapytał, czy mieszkała w Kopenhadze i czy była żoną Andersa Kristoffera Malthego z Norwegii.

– Nie – odparła – to pomyłka.

Odłożył słuchawkę bez pożegnania, od razu zadzwonił pod trzeci numer, w Kolding, ale otrzymał tę samą odpowiedź. Kiedy wykręcał numer Ingi Nielsen w Århus, jego wzrok skupił się na widoku za oknem, białe światło i nagie drzewa przyprawiały go o mdłości. Ale kiedy wymienił imię ojca, po drugiej stronie zapadła cisza. Śmiertelna cisza.

– Tak – potwierdziła – zgadza się. Ale zmarł w dziewięćdziesiątym drugim roku.

– Wiem – odparł Eddie bez tchu. – Jestem jego synem. Nazywam się Eddie Malthe.

Znowu zapadła śmiertelna cisza, a Eddie czekał.

– Opowiadał o tobie. Czy jest coś, co chcesz wiedzieć?

Eddie przez chwilę miał ochotę podziękować Bogu, chociaż był niewierzący. Z triumfem odwrócił się do matki, która siedziała na kanapie. Wyglądała na bardzo zmartwioną.

– Tak – rzekł Eddie z zapałem. – Potrzebuję dokładnej daty jego śmierci. Chcę też wiedzieć, gdzie jest pochowany.

Stał w oczekiwaniu, z kartką i długopisem w dłoni.

– Pierwszego października dziewięćdziesiątego drugiego. Został pochowany na Cmentarzu Zbawiciela w Kopenhadze. W dzielnicy Amagerbro.

Eddie skinął głową. Rozpoznał nazwę z długiej listy, którą znalazł w internecie. Na koniec zamienił jeszcze kilka słów z Ingą Margrethe i gorycz, jaką do niej czuł, zniknęła. Była taka miła. Ojciec często o nim wspominał, ale tak się złożyło, że Thomasine była trudna po zerwaniu.

– Tata jest pochowany na cmentarzu w Amagerbro – powiedział i odwrócił się w stronę matki. – A ja mam brata. Ma na imię Mads i chodzi do szkoły w Nowym Jorku.

Eddie ponownie zabrał się do poszukiwań. Od razu znalazł Kościół Zbawiciela, ale ku swemu zdziwieniu zorientował się, że kościół ma inny adres niż cmentarz. Znajdował się przy Sankt Annæ Gade w Christianshavn. Od razu zadzwonił na informację i poprosił o numer, bo teraz miał dokładny adres, dowiedział się jednak, że numerów jest kilka, o który mu chodziło?

– Kto zajmuje się grobami? – zapytał.

– Zakładam, że zarządca cmentarza – odparła. – Tu jest napisane, że nazywa się Povel Koch.

Eddie odłożył słuchawkę i wybrał numer 004532546883, po czterech sygnałach zarządca cmentarza odebrał.

– Muszę znaleźć grób – powiedział Eddie – na Cmentarzu Zbawiciela. Ale nie wiem, gdzie on jest, i nie ma sensu szukać go na chybił trafił.

– Jeśli ma pan datę urodzenia oraz datę śmierci, to mogę pomóc – odrzekł Povel Koch. – Mamy elektroniczną mapę.

Eddie prawie się roześmiał z radości. Miał brata o imieniu Mads w Nowym Jorku, a zaraz znajdzie grób ojca. Ale potem dotarła do niego bolesna rzeczywistość. Ojciec go porzucił dla innego syna i pozostawił po sobie tylko zdjęcie na ścianie sypialni. Prawie żadnych wspomnień i absolutnie żadnej miłości. Ale Mass była trudna. Na pewno miał dużo do przemyślenia. W końcu wyłączył

komputer i usiadł na kanapie, musiał uporządkować wszystkie myśli kłębiące się w głowie.

Matka nie miała nic do powiedzenia. Wstała i poszła do łazienki, napełniła do końca wannę, rozebrała się i zanurzyła w ciepłej wodzie. Przez cały czas tak naprawdę wiedziała, że nie ucieknie od przeszłości, a teraz stało się to, czego się bała. Eddie znalazł człowieka, który ich zawiódł. Wzięła gąbkę i chciała umyć całe ciało. Odkryła duży siniak na wewnętrznej stronie uda. Pomyślała, że to dziwne, nie pamiętała żadnego urazu, dotknęła mocno siniaka, ale nie był bolesny. Kiedy tak siedziała, wpatrując się w nagie ciało, odkryła jeszcze jeden siniak, nieco niżej, w pobliżu podstawy kolan, tak ciemny, że prawie czarny. Ale szybko o tym zapomniała i myśli o synu wysunęły się na pierwszy plan.

*

Sierpień 2005

Stali przed przedszkolem Simona w Blåkollen.

Duży zielony o tej porze roku plac zabaw był dobrze wyposażony, dzieci miały do dyspozycji drabinkę, huśtawkę i piaskownicę, a także starą łódź z małą kabiną. Na dziobie ktoś wymalował czarnymi literami nazwę Kapitan Szablozęby. Simon się tutaj bawił, pomyślał Sejer, wyraźnie widział małego chłopca na szczycie drabinki albo na pokładzie starej łodzi, może jako pirata. Weszli do środka. Pojawiła się dyrektorka, pokazała miejsce Simona pod ślimakiem.

– Co powiedzieliście dzieciom? – zapytał Sejer.

Dyrektorka siedziała za biurkiem.

– Muszę przyznać, że długo zastanawialiśmy się, co zrobić. Najpierw zwołaliśmy zebranie rodziców, na którym każdy miał coś do powiedzenia, nie mogli dojść do zgody. Niektórzy uważali, że dzieci należy oszczędzić, inni wierzyli, że prawda będzie najlepsza. Dzieci mają przecież bujną wyobraźnię.

– A pani? – spytał Skarre.

– Chciałam opowiedzieć, jak było. Oczywiście nie o makabrycznych szczegółach, ale o tym, że osoba, która się tego dopuściła, użyła noża i że od niego

Simon zginął. Aby uzyskać pomoc, zadzwoniłam do psycholożki dziecięcej z poradni w szkole Haugane. Ta poparła moje zdanie, więc tak w końcu zrobiliśmy.

– Ale nie wszyscy się zgodzili?

– Właśnie.

– I jak to się odbyło? – dopytywał Sejer.

– Zabraliśmy ich wszystkich do cichego pokoju, gdzie mamy materace i poduszki i nie wolno tam krzyczeć. Ale tego dnia nikt nie krzyczał. W tym pokoju nigdy nie było tak cicho.

– Jak zareagowały?

– Ciszą. Maluchy włożyły kciuki do buzi.

– Były w ogóle jakieś pytania?

– Tak. Zastanawiały się, dlaczego i kto to zrobił, zresztą wszyscy się nad tym zastanawiamy. Wyjaśniliśmy, że sprawca prawdopodobnie był o coś zły, ale oczywiście policja go znajdzie i wsadzi do więzienia. I że zostanie tam na długo, może na zawsze.

Uśmiechnęła się na tę myśl.

Ściany gabinetu zdobiły rysunki i figurki. Sam Sejer miał w pracy małą figurkę z masy solnej, przedstawiającą policjanta w niebieskim mundurze, która z biegiem lat wyschła i popękała. Nigdy nie odważył się jej dotknąć, bał się, że się rozpadnie.

– Czy było coś innego w zachowaniu Bonnie w ostatnim czasie przed morderstwem, czy opowiadała o jakichś szczególnych wydarzeniach?

– Nic takiego nie było. Każdego ranka mieliśmy tu rozdzierające serce pożegnanie, kiedy Bonnie musiała odejść. Simon był niespokojnym chłopcem, był zrozpaczony, kiedy znikwała za drzwiami.

– Miał bardzo słaby kontakt z ojcem – powiedział Skarre – wie pani dlaczego?

– Bonnie nigdy nie mówiła o takich rzeczach. Gdy zapytaliśmy ją ostrożnie, zbyła nas półsłówkami. Ale dzieci muszą mieć ojca, tak uważam.

Sejer i Skarre skinęli głowami. Nie dowiedzieli się niczego w przedszkolu i tego się zresztą spodziewali, ale wizyta była na liście, konieczna do nakreślenia obrazu życia ofiar przed śmiercią. Właściwie to chcieli już iść, ale Kaja ich powstrzymała.

– Zauważyłam jedną małą rzecz – zaczęła – i nie wiem, czy to ma znaczenie. Ale kilka dni przed tym, jak to się stało, widziałam samochód przed naszą bramą,

zatrzymał się tuż przy podjeździe. Wyglądało, jakby na kogoś czekał. Nikt z niego nie wysiadł, po prostu tam stał. To było dokładnie wtedy, gdy Bonnie wychodziła od nas z Simonem. Z jakiegoś powodu stałam w oknie i patrzyłam na to auto, my tu w przedszkolu jesteśmy bardzo czujni. Istnieje wiele historii o ojcach bez praw, którzy porywają własne dzieci, musimy na to uważać.

– Jak Bonnie odjechała, co zrobił drugi samochód? – spytał Sejer.

– Zawrócił i pojechał za nią.

– Widziała pani go tylko ten jeden raz?

– Nie. Następnego dnia znowu się pojawił, dlatego chciałam o tym wspomnieć. Podejrzewałam, że szuka kogoś, jakiegoś domu czy człowieka w okolicy.

– Wspomniała pani o tym Bonnie?

– Nie – przyznała ze smutkiem. – Może powinnam była to zrobić. Ale Bonnie miała już tyle zmartwień, nie chciałam jej dokładać. Nie chciałam też histeryzować, ale panowie powinni wiedzieć wszystko.

– Czy pamięta pani daty?

– Nie.

– Czyli na kilka dni przed morderstwami dwukrotnie widziała pani ten samochód. I za każdym razem zawrócił i pojechał za Bonnie?

– Tak.

– Zna się pani na samochodach? – spytał Skarre.

– Nie, wcale. Jedyne, co wiem na pewno, to, że był czerwony.

Ogłoszenie o czerwonym samochodzie miało pojawić się w prasie. Mieli nadzieję, że ktoś dostrzegł go w okolicy. Sejer wiedział oczywiście, że otrzymają teraz mnóstwo zgłoszeń, i właśnie tego chciał. Po powrocie do komisariatu usiedli i studiowali powiększony odcisk śladu buta. Przednia część podeszwy pozostawiła szereg okrągłych punktów, jakby miała wypustki. Pięta miała takie same punkty, but musiał mieć spory rozmiar, prawdopodobnie czterdzieści sześć. Ogromny, wściekły szaleniec, człowiek skrzywdzony, człowiek pełen chęci zemsty lub urojeń, człowiek, który być może słyszał głosy, człowiek w histerycznym upojeniu. Człowiek pełen demonów i wrogów, człowiek, który być może nawet nie potrafił

wytłumaczyć sobie ani innym, dlaczego zrobił to, co zrobił. Kierowca czerwonego samochodu zostawił swój ślad na wytartym linoleum i uciekł przez las.

*

Marzec 2005

W marcu Bonnie zawsze była nieszczęśliwa.

Często się nad tym zastanawiała, marzec był jak ziemia niczyja, ani to zima, ani wiosna, ani lato. Pogoda była kapryśna, a światło szare, brudny śnieg odsłaniał śmieci z poprzedniego roku. Jednego dnia była zamieć i zimno, następnego słońce świeciło mocno i zewsząd kapłała woda. Trudno było ubrać Simona rano, musiał zabierać ze sobą zarówno ciepły kombinezon, jak i ten przeciwdeszczowy, zawsze nieprzemakalne buty oraz czapkę i rękawiczki. Kilka zmian ubrań w jego małej torbie i mnóstwo na dużym kołku pod ślimakiem.

Pewnego marcowego poranka stanęła przed drzwiami Erny i zadzwoniła. Chociaż Erna zawsze była wcześniej na nogach i otwierała drzwi jeszcze przed jej przyjazdem, zadzwoniła trzy razy, żeby ogłosić swoje przybycie, chciała powiedzieć: to ja, Bonnie. Tego dnia drzwi były zamknięte. Uderzyło ją, że Erna nie siedziała w oknie ani nie śledziła jej wzrokiem jak zwykle. Przez chwilę stała na schodach, oszołomiona i bardzo zaniepokojona. Mogła upaść i złamać biodro, albo jeszcze gorzej. A może zabrało ją jedno z dzieci i zapomnieli powiadomić Ragnhild w biurze? Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Może leżała tam gdzieś i wołała? Ale w starym domu nie było słyhać żadnego dźwięku. A może zasnęła i nie słyszy dzwonka, może śpi bardzo mocno. Znowu zadzwoniła trzy razy krótko, stała i czekała. Potem zrobiła tak, jak się umówiły, takie same ustalenia miała z prawie wszystkimi klientami. Erna miała zapasowy klucz, więc Bonnie poszła na tyły domu, gdzie znalazła go w stałym schowku pod donicą.

Weszła do środka. Stała tam chwilę, nasłuchując. Erny nie było w salonie, nie było jej też w kuchni, ale paliło się tam światło. Jej serce zaczęło łomotać, nawoływała gospodynię. Najpierw cicho i ostrożnie, potem głośniej. Najbardziej bała się sypialni, ale kiedy tam weszła, stało się jasne, że Erna już wstała. A może

w ogóle nie spała tu tej nocy, czy to możliwe? Z pewnością nie zeszła po stromych schodach do piwnicy? Taka wątła staruszka, spadła ze schodów i uderzyła w betonową podłogę? Nie, to mało możliwe, Bonnie zwróciła się teraz ku jedynej opcji, jaka jej pozostała, w stronę łazienki. Drzwi były uchylone. Najpierw dostrzegła białe kafelki, te, które Erna kazała jej kiedyś wyszorować szczoteczką do zębów, żeby doczyścić szare, przebarwione fugi. Erna leżała na podłodze obok wanny. Ubrana w starą żółtą koszulę z koronką, od pasa w dół chude ciało było nagie. Fluorescencyjne światło na suficie migotało, Bonnie zakreśliło się w głowie, czy to była lampa, czy ona sama, czy miała zemdleć? Stopy Erny były duże i spuchnięte. Po wewnętrznej stronie ud dostrzegła sieć niebieskich żył. Leżała na brzuchu z rozłożonymi ramionami, a na jej skroni widać było brzydką dużą ranę. Niewielka ilość krwi wysączyła się na białe kafelki.

Bonnie oparła się o framugę. Wanna była wypełniona wodą, staruszka musiała poślizgnąć się i uderzyć o jej krawędź.

Uklęka i sprawdziła puls, ale nie znalazła go pod cienką skórą. Następnie poszła do salonu, wzięła z sofy szydełkowany koc, wróciła i położyła go na martwym ciele. Nigdy nie widziała Erny nagiej, tak żalostnej i bezradnej. Czarownica. Stara wrona, zgorzkniała starucha. Jej moc zniknęła. Ja też umrę, pomyślała Bonnie, ktoś wejdzie do pokoju i mnie znajdzie, kiedy będzie po wszystkim. Niech Bóg sprawi, abym nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji.

Wieczorem musiała wyjaśnić Simonowi, dlaczego przyjechała po niego zaledwie chwilę po tym, jak go zostawiła. Chciała, żeby poznał prawdę o życiu i śmierci. Ale była bardzo ostrożna.

– Wiesz, że pochowają ją pod ziemią, prawda?

Tak, Simon dobrze o tym wiedział, rozmawiali o tym w przedszkolu, Kaja próbowała wytłumaczyć, że to koniec życia. Że nie spali, nie śnili, nic nie widzieli, nie oddychali i że już nigdy się nie obudzą. Że śmierć to inny świat i że nikt z żyjących nie wie o nim nic poza fantazjami.

– Trumna jest bardzo ładna – wyjaśniła Bonnie – w środku są jedwab i aksamit, jest dekorowana i upiększana na ostatnią podróż.

– I dokąd ludzie idą po śmierci? – chciał wiedzieć Simon.

– Do wieczności – odpowiedziała Bonnie.

– Ale gdzie to jest w takim razie?

– Tego nie wiemy. Ale myślę, że jest tam bardzo ładnie. Wyobrażam sobie, że to ogród pełen kwiatów. I tam spotykają wszystkich innych, którzy nie żyją.

– Ale jak odnajdują drogę?

– Och, to samo się jakoś układa. Ale my, póki żyjemy, nie wiemy, gdzie to jest. To miła niespodzianka dla nas wszystkich, nie sądzisz?

Simon się uspokoił. Ale kiedy wieczorem zasnął, ona wciąż siedziała i myślała o własnej śmierci. Tej, o której nic nie wiedziała.

*

– Czemu tak sterczysz przy telefonie bez słowa? – spytała Mass.

– *For english press five* – usłyszał Eddie, cały czas bawiąc się zdjęciem, które przysłała mu Inga Nielsen. Była to kolorowa fotografia, przedstawiała ojca obejmującego ich oboje, Ingę i ich syna, Madsa. Zdjęcie zostało zrobione w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, czyli zaledwie rok przed śmiercią ojca. Wyraźnie widział, że Inga Nielsen była ładna, dużo młodsza od Mass, miała falujące blond włosy i letnią sukienkę w kropki. Łatwo było zrozumieć, że zostali kochankami. Że ojciec, wysoki i przystojny, wybrał ją i całe to piękno. Matka niechętnie spojrzała na fotografię, kiedy jej ją podał. Jego brat Mads był tu jeszcze szkrabem, ojciec natomiast wydawał się znacznie starszy niż na zdjęciu, które wisiało nad jego łóżkiem.

Nie, nie miał karty Eurobonus, cierpliwie naciskał kolejne przyciski, żeby zarezerwować lot do Kopenhagi i z powrotem. Rozmowa jest nagrywana, usłyszał, tak, chuj mnie to obchodzi. A potem, gdy czekał już całą wieczność, w końcu usłyszał głos konsultanta. Narysował mnóstwo bazgrołów w notesie, gdy tak czekał, nie miały one żadnego znaczenia, wyrażały jego podniecenie i obawę. To była chyba najważniejsza decyzja, jaką podjął w całym swoim życiu.

– Latałem już wcześniej – powiedział niepewnie Eddie, kiedy jego matka wyraziła swoje zaniepokojenie.

– Ale ze mną – zauważyła Mass – jak zamierzasz znaleźć drogę?

- Zapytam – odparł krótko – na lotnisku wszyscy mają mundury.
- Mam na myśli cmentarz. Kopenhaga to duże miasto.
- Wezmę taksówkę – upierał się – to wcale nie jest trudne. Przestań marudzić!

Mass chciało się płakać. Syn, tak bardzo przez nią kochany, miał samotnie udać się w świat, szukać ojca, który go opuścił. I który od tamtej pory skupił swoją miłość na innym synu.

Samolot odlatywał o siódmej dziesięć rano, matka odwiozła go na pociąg, stała na peronie i patrzyła za nim ze złymi przeczuciami i niepokojem w sercu. Eddie. Drogi Eddie. Na plecach miał worek z reklamą wafelków, zapakował tam kilka rzeczy, teraz rozmyślał, siedząc w pociągu na lotnisko w Oslo. Wcale go nie martwiło, że matka była przeciwna jego podróży.

Po przyjeździe podszedł do stanowiska odprawy ze swoim numerem rezerwacji, nie odważył się odprawić przy automacie, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Następnie odebrał kartę pokładową i udał się do kontroli bezpieczeństwa, gdzie musiał zdjąć ciężkie buty i ponownie przejść przez bramki. W końcu znalazł swoje stanowisko i tam cierpliwie czekał. Tato, pomyślał, już za kilka godzin będę u ciebie. Wreszcie wszedł na pokład samolotu i znalazł swoje miejsce przy oknie, opadł na ciasne siedzenie. Jakiś chuderlak siedział tam przed nim, musiał wyregulować pas. Starał się uważać, gdy stewardesa zapoznawała z procedurami bezpieczeństwa, utkwiał w niej wzrok i zapamiętał maskę tlenową, kamizelkę ratunkową i gwizdek oraz cztery wyjścia awaryjne. Te drzwi, przez które być może będzie musiał się przedrzeć, jeśli się rozbiją. Przeskoczyć przez siedzenia i pozostałych pasażerów. Podczas gdy samolot eksploduje w morzu płomieni. Matka dostałaby po nim najwyżej spalone kości. W końcu się uspokoił. Pilot też chciał wrócić do domu, być może czekały na niego dzieci. Musiał więc ratować ich wszystkich za wszelką cenę.

Kiedy samolot wylądował na lotnisku Kastrup, Eddie nie wiedział, dokąd iść, ale podążył za strumieniem ludzi do hali odbioru bagaży. Nie musiał tam na nic czekać, miał plecak ze sobą, więc ruszył do wyjścia na miasto i znalazł taksówkę.

– Amagerbrogate trzydzieści trzy – powiedział Eddie, pochylając się między siedzeniami. – Cmentarz Zbawiciela.

Wyjął portfel z torby, znalazł kartę.

– Ma pan tam kogoś? – zapytał kierowca. – Jest pan z Norwegii.

– Ojca – wyjaśnił Eddie, odchylając się na oparcie. Kierowca jechał spokojnie przez zatłoczone ulice Kopenhagi. Z tyłu głowy miał gęstą koronę srebrnych włosów, a jego czaszka lśniła jak mały globus. Teraz Eddie był już blisko, zarządca cmentarza miał się z nim spotkać przy głównej bramie, a kiedy tam wreszcie dotarł, serdecznie się przywitani. Wkrótce zmoczył ich deszcz.

– Chodźmy – powiedział Povel Koch – znajdziemy grób. Ma naprawdę ładne miejsce, muszę to przyznać. Może się wydawać nieco zaniedbany, wspomniał mi pan przez telefon, że jego rodzina się przeprowadziła.

Zarządca cmentarza szedł ciężko i chwiejnie między pięknymi mogiłami. Był to nieskończenie wielki cmentarz i Eddie był zdumiony, że w ogóle da się tu znaleźć drogę, nawet z mapą. Serce zaczęło mu bić pod mokrą kurtką, szedł tak bardzo dumny z siebie. *Tore na tropie* może się schować. Stał tam sam w deszczu. Povel Koch zostawił go w spokoju, wgapionego w nazwisko: „Anders Kristoffer Malthe. Cześć Twej pamięci”.

Eddie od razu zauważył, że nagrobek ojca się wyróżnia. Podczas gdy inne były czarne lub szare, ten był biały jak kreda. Stał i świecił pośród tej całej ciemności, jakby go wołał. Pod łukowatą krawędzią kamieniarz wyrzeźbił wieniec. Kiedy Eddie, po niekończących się latach zmartwień, złości i tęsknoty, stanął przed grobem swojego ojca, targały nim emocje. Był wściekły, szczęśliwy i dumny, był zgorzkniały. Teraz, w marcu, na grobie nic nie rosło i Eddiemu nagle przyszło do głowy, że powinien był przynieść kwiaty. Jak mógł przyjechać tak daleko i nie pomyśleć o najważniejszym! Ze wstydem spuścił głowę, rozglądając się po innych grobach, na wielu z nich nie było kwiatów. Mimo to zaczął wędrować, ale uważał, aby nie iść za daleko, z obawy, że nie trafi z powrotem do mogiły ojca. Snując się tak chwilę po okolicy, znalazł pomnik z aniołem, przed nim leżał bukiet świeżych kwiatów, a obok znicz zgaszony przez deszcz. Na nagrobku wyczytał imię „Martin”, skończył dopiero cztery lata, pewnie dlatego miał takie ładne kwiaty, prawdopodobnie jego mama była na cmentarzu każdego dnia. Podniósł bukiet i przyjrzał się im, były niebiesko-białe. Podniósł też znicz.

– Jutro dostaniesz nowe – rzucił w kierunku grobu.

Wrócił do ojca i złożył kwiaty.

Długo stał w deszczu przed białym nagrobkiem, myślał o tylu rzeczach. Dobrze było wreszcie tu dotrzeć, ale powrócił też smutek, a gdy już miał odejść, położył dłoń na płycie. Deszcz spływał mu pod kołnierzem kurtki i przyprawiał go o dreszcze.

– Nie powinieneś być wyjeżdżać. Mama jest wściekła – szepnął.

Cały dzień włóczył się po Kopenhadze.

Zatrzymał się przy barze szybkiej obsługi i zjadł kurczaka, a chwilę później zasiadł w cukierni z colą i ciastkiem. Chodził po sklepach, szukając rzeczy z Nowego Jorku, myśląc o swoim bracie Madsie. Ciebie też pewnie znajdę, pomyślał, teraz jestem na dobrej drodze. Kiedy wrócił samolotem do domu, była już ósma wieczorem, czuł głęboką satysfakcję z wykonanej misji, nie dał się powstrzymać ani władzom, ani wątpliwościom matki. Dostał kawę i bułkę z wędliną, na zewnątrz było ciemno, matka miała go odebrać z dworca. Miał zamiar złożyć jej szczegółowy raport, ale oczywiście pominąć jeden fakt – że ukradł kwiaty czteroletniego Martina.

Mass mocno przytuliła go na powitanie, poczuła ulgę, że wrócił do domu cały i zdrowy, pomyślała, że teraz wreszcie się uspokoi i znów będzie sobą. Po zastanowieniu uznała jego podróż za słuszny i rozsądny pomysł. Podcięłam mu skrzydła, pomyślała, ale odrosły. Kupiła mu cynamonowe ślimaczki, Eddie zjadł je ze smakiem. Poza tym była w centrum handlowym po nową bluzę. Ta też była czarna, ale z innym nadrukiem. „Survival of the fittest” nad zdjęciem wściekłego rottweilera obnażającego zęby. Bardzo mu się spodobała. Opowiedział o deszczu w Kopenhadze i pomocnym zarządcy cementarza. O wspaniałej bramie z kutego żelaza, o pięknym białym kamieniu z wieńcem. O kurczaku, którego zjadł, o ciastku, o wszystkich ludziach w deszczu. Wieczorem w końcu powiesił na ścianie zdjęcie tej drugiej rodziny Malthe, dawno nie spał tak dobrze jak tamtej nocy.

Mass usiadła pod lampą, grzała jej głowę. Teraz już stale czuła ten ból w plecach. Poza tym znalazła jeszcze więcej siniaków, a jej prawy nadgarstek był

obolały, co to, u licha, było? Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Nie było już żadnych wątpliwości. Coś poważnego działo się w jej ciele.

*

Shiba nie była już tłusta jak nadziewana kiełbasa, zmieniła się w worek kości i bólu. Rak zajął całe ciało, nie było nadziei. Mass siedziała w kuchennym kąciku przez długi czas, głaszcząc ją po głowie i plecach i szepcząc czułe słowa. Wdychała jej zapach, chowała twarz w jej futrze, ścisnęła wielkie łapy. Eddie obserwował je z salonu. Wiedział, dokąd to zmierza, i widział, że matka odkłada to ile się da. Pewnego dnia podszedł do niej, oparł się o framugę i powiedział, że już wystarczy.

– Ona prawie nie może chodzić. Nie ma nic fajnego w załatwianiu się na gazetę.

Mass spojrzała na syna.

– Wiem, ale nie mogę tego zrobić. Stanie się tu tak pusto. Nikt nie będzie czekał na mnie rano.

– Ja będę – zapewnił Eddie.

– Ale stać tam i patrzeć, jak wbijają strzykawkę, nie mogę sobie tego nawet wyobrazić – powiedziała z rozpaczą. – Nie wiem, czy dam radę.

Eddie podjął ważną decyzję. Ożywiony podróżą do Kopenhagi czuł, że może zrobić wszystko, a ponadto chciał być przydatny. Podobało mu się, że matka go potrzebuje.

– Ja pojadę do weterynarza – zdecydował stanowczo – żebyś ty nie musiała. Wszystko załatwię. Możesz zadzwonić do doktora Munthe i powiedzieć, że się pojawię.

Mass zastanowiła się dłuższą chwilę.

– Myślisz, że jestem tchórzem? – zapytała.

– O nie – zapewnił Eddie – nigdy nie byłaś tchórzem. Możesz pożegnać się z Shibą tutaj, w kąciku kuchni. A potem wyniosę ją do samochodu.

– Tak – zgodziła się w końcu – dziękuję. Tak zrobimy.

Kiedy decyzja została ostatecznie podjęta, podeszła do telefonu i zadzwoniła do Munthego. Wyjaśniła, że przyjedzie Eddie, bo ona sama nie może tego znieść i chce tylko, żeby to się jak najszybciej skończyło.

– Teraz pójdę kupić wędzoną kiełbasę – powiedziała – niech zje na koniec coś dobrego.

– Kup mi też trochę – poprosił Eddie – jestem głodny.

Kiedy wreszcie nadeszła ustalona data, oboje wstali wcześniej. To nie był zwykły dzień. Mass nie mogła spojrzeć mu w oczy.

Shibę umówiono na wczesną wizytę, Mass nie chciała czekać zbyt długo. Przeląła trzy tysiące koron na konto Eddiego, to były pieniądze na eutanazję i kremację. Później sama miała pojechać do lecznicy po urnę, chciała postawić ją na kominku. Był kwadrans po siódmej, kiedy Eddie wniósł chorego psa do samochodu i ułożył wygodnie, potem Mass musiała się pożegnać. Eddie dał jej dość czasu, usiadł za kierownicą i czekał. Z jakiegoś powodu był podekscytowany tym, czego miał być świadkiem. Przejechał trzydzieści kilometrów do centrum miasta, czując się, jakby wykonywał ważną misję. Poza tym po śmierci Shiby nie będzie musiał już z nikim dzielić uwagi swojej matki.

Zaparkował i wysiadł z samochodu, otworzył drzwi i wyjął suczkę, stała na trzęsących się nogach i patrzyła na niego ze smutkiem.

– Chodź – rozkazał – nie możesz uciec.

Szurając łapami, przeszła przez parking aż do schodów. Potem Eddie musiał ją podnieść i zanieść do recepcji, postawił ją na podłodze i podszedł do biurka.

– Malthe – powiedział głośno i wyraźnie. – Eutanazja.

– Jak ma na imię pies?

– Shiba.

Rejestratorka skinęła głową.

– Zgadza się – powiedziała – weterynarz już czeka na was, zaraz zawoła.

Eddie usiadł na krześle. Obok niego siedziała młoda dziewczyna, na podłodze była klatka. Może to był kot. Albo królik.

– Ciągle coś – szepnął do psa – wszystkie zwierzęta kosztują.

Shiba zamknęła oczy. Zastanawiał się, czy może ma szósty zmysł, może wie, co się wydarzy. Tak to już było z psami, dużo rozumiały. My, ludzie, wiemy, że umrzemy, pomyślał, więc z pewnością psy też to przeczuwają.

Stał przed nim weterynarz.

– Dzień dobry, Eddie – powiedział – więc to ty przyjechałeś?

– Mama nie dała rady – wyjaśnił.

– Rozumiem to. Dobrze, że ma ciebie.

Eddie poczuł dumę wzbierającą w piersi. Wszedł za weterynarzem, ciągnąc Shibę na ostatnią drogę. Tam położyli ją na stole, który można było podnosić i opuszczać.

– Wiem, że to trudne – zapewnił weterynarz – ale są tu ważne względy zdrowotne, to najlepsze wyjście dla całej waszej trójki.

– Wiem – zapewnił Eddie – wiele razy mówiłem to mamie.

Położył dłoń na głowie psa, próbując zajrzeć jej w oczy.

– Potrzebujesz trochę czasu sam na sam z nią? – spytał lekarz.

– O nie – odparł szybko Eddie – proszę robić swoje.

Przyniósł kilka małych ampułek i strzykawkę. Potem położył rękę na szyi psa i wyjaśnił Eddiemu cały proces.

– Najpierw dostaje pierwszy zastrzyk, wbijam go w skórę szyi. Działa uspokajająco i przeciwlękowo. To opiat – dodał – kiedy zaaplikuję to Shibile, nie będzie się już niczym przejmować.

– To dobrze – powiedział z zapałem Eddie.

Weterynarz wbił igłę w skórę i wstrzyknął zawartość. Patrzył na Eddiego nad stołem.

– Teraz czekamy piętnaście minut. Zapadnie w lekki sen, ja wyjdę, byście mieli spokój.

Eddie pochylił się nad Shibą, myśląc o tym, co ma się wydarzyć. Podniósł jej łapę, była zupełnie wiotka. Pociągnął ją za ogon, jak zwykle, ale nie zareagowała. Podniósł jej powiekę i spojrzał w czarną źrenicę. Śliniła się. Potem usiadł i czekał na kata. Z recepcji usłyszał skomlenie szczeniaka, może rasy chihuahua, i telefon, który szaleńczo dzwonił, nikt go nie odbierał. Przychodzili ludzie, którzy potrzebowali rozmaitej pomocy, jakiś pies miał grzybicę lub egzemę, inny

podwójny zestaw zębów, jak Shiba, kiedy była szczeniakiem. Po powrocie do domu będzie musiał dokładnie zdać matce relację, na pewno wypyta o wszystkie szczegóły. Po chwili wrócił weterynarz. Wyciągnął kolejną strzykawkę.

– Tę wbiję w przednią nogę – wyjaśnił – środek podajemy dożylnie. Działa bardzo szybko, w ciągu minuty. Najpierw paraliżuje jej świadomość, a potem oddech. Nic nie zauważy. Już nic nie czuje.

Eddie pomyślał o matce. Że czeka z twarzą ukrytą w dłoniach, że może już wyczyściła kącik kuchenny, dwie miski i stary koc, może już poodkurzała psią sierść.

Mogliśmy wziąć owczarka niemieckiego, pomyślał, nie nadajesz się na psa stróżującego, machasz ogonem niezależnie od tego, kto przyjdzie. Tłum w poczekalni przestał hałasować, było niesamowicie cicho.

– Kiedy wrócisz do domu – przypomniał Munthe – koniecznie musisz powiedzieć matce, że wszystko poszło dobrze.

Eddie skinął głową.

– Weźmiecie teraz nowego szczeniaka?

– Mama się nie zgodzi. Prawdopodobnie zostaniemy tylko we dwoje, to w porządku. Może pan już zacząć – dodał.

Myślał o własnej śmierci. Przecież nie dostanie zastrzyku, nie będzie przy nim matki, żeby nad nim zapłakała. Nikt nie zapłacze. Nikt nie przyjdzie do jego grobu z kwiatami, a trumnę być może wyniesie z kościoła w Geirastadir sześciu młodych ochroniarzy z Securitas. Na wieko rzucają trzy szufle suchego piasku i pastor zaśpiewa w samotnym majestacie. Ten psalm, którego nienawidził bardziej niż czegokolwiek innego. Prowadź, łaskawe światło, przez wiszącą mgłę. Czyli po prostu pomóż mi przejść przez mgłę.

Kaniula była cienka jak igła do szycia. Shiba była całkowicie nieruchoma, ale Eddie widział, że oddycha. Potem weterynarz poszukał żyły w prawej łapie i powoli wstrzyknął zawartość. Chude ciało nawet nie zadrżało. Eddie wpatrywał się uważnie w umierające zwierzę.

Po wszystkim kupił sobie kanapkę z wędzonym łososiem i jajecznicą. Kiedy zjadł, wstał ponownie i podszedł do lady, gdzie zamówił jeszcze kawałek napoleonki

i kolejną colę. Z jakiegoś powodu czuł lekkość na sercu. Ale teraz musiał też przygotować się na powrót do domu, wymyślić, co powiedzieć. Zanim wsiadł do samochodu, wędrował po centrum handlowym, wpatrując się w ludzi i przedmioty. Cieszył się, że nikogo nie zna, cieszył się, że nie musi rozmawiać. O pogodzie i innych głupich rzeczach albo o tym, jak sobie radzi. Ludzie mówili do siebie same bzdury. Udał się wreszcie do domu. Kiedy skręcił na podjazd, zobaczył w kuchennym oknie bladą twarz matki. Podniósł rękę i pomachał, ale nie odpowiedziała.

Tej samej nocy, kiedy Eddie leżał bezsennie w łóżku pod zdjęciem rodziny w Kopenhadze, pomyślał o kocie Kennedym. Co, gdyby rozsypał linię trutki na szczury od skrzynki pocztowej Ansgara do własnego domu? Kot z pewnością by się skusił na delikatne różowe drobinki. A potem, następnego ranka, wystarczyłoby go podnieść, włożyć do torby i wyrzucić do śmieci. Eddie wiedział, że trutka na szczury zawiera strychninę. A spożycie strychniny wiązało się z okrutną śmiercią, krwotokiem wewnętrznym i konwulsjami. Zawsze, gdy takie fantazje wymykały się spod kontroli, czuł spokój. Jak po filizance ciepłego mleka z cukrem i miodem.

*

Kiedy Ernę pochowano, Bonnie dostała nowego klienta, teraz w napięciu czekała przed jego drzwiami. Otworzył je i wyciągnął rękę, miał przytłaczająco silny uścisk dłoni, Bonnie niemal jęknęła. Weszła do dużego przedpokoju i zdjęła płaszcz.

– Możesz mi mówić Alex – rzucił – nikt nie nazywa mnie Alexandrem.

– Mam nadzieję, że się przydam – odpowiedziała Bonnie – daj mi coś do pracy.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem, gdyż wyróżniał się spośród innych klientów. Miał najwyżej dwadzieścia kilka lat. Nosił czarny podkoszulek i pierwszą rzeczą, którą zauważyła, była jego umięśniona górna część ciała i ogromne ramiona. Musiał wiele lat trenować. Miał jasne włosy, kolczyk w jednym uchu i ładnie opaloną skórę, nietypową dla wczesnej wiosny. Wjechał na wózku inwalidzkim do salonu i od razu zobaczyła, że nie narzeka na biedę – pomieszczenie wypełnione było wspaniałymi meblami, na ścianie wisiał wielki

płaski telewizor. Ogromne głośniki w każdym rogu pokoju ginęły w zielonych roślinach.

– Grasz w szachy? – zapytał Alex.

Bonnie wyznała, że nie.

– Nauczę cię – powiedział stanowczo i podjechał do stołu. W szufladzie pod blatem stołu znalazł czarne i białe figury, po czym wyjaśnił Bonnie, jak mogą poruszać się po planszy.

– Jesteśmy w stanie wojny – wyjaśnił. – Ty masz armię i ja mam armię, i oboje polujemy na króla. Rzecz w tym, że trzeba ciągle myśleć do przodu. Jeśli przesuniesz skoczka w ten czy inny sposób, jakie pole ruchu stworzysz dla mojego króla. Rozumiesz?

Skinęła głową.

– Ale powinnam raczej wykorzystywać nasz czas na inne rzeczy – powiedziała ostrożnie. – Wiesz, są pewne zasady, których muszę przestrzegać, jeśli chodzi o to, czego potrzebujesz. Jakoś przecież uzasadniłeś podanie o pomoc do gminy.

– Pieprzyć zasady – rzucił krótko Alex – to ja decyduję. Twoje będą białe, ty zaczynasz.

Bonnie przesunęła pionek. Nie miała pojęcia, w co się wpackowała. Rozejrzała się po salonie, jej wzrok padł na fotografię, która przedstawiała Alexa i ładną dziewczynę z rudymi włosami. Na zdjęciu stał na własnych nogach, nie było widać wózka inwalidzkiego.

– Moja dziewczyna – wyjaśnił – przychodzi codziennie po pracy. Przy odrobinie wyobraźni jesteśmy w stanie zrobić wiele.

Uśmiechnął się do Bonnie, a ona odwzajemniła uśmiech. Zawsze była szczęśliwa, gdy ludzie w związkach mogą na sobie polegać, chociaż ją wszyscy zawiedli.

– Jak to się stało, że wylądowałaś na wózku? – dopytywała.

– Wypadek samochodowy – wyjaśnił. – Zderzyłem się czołowo z polską ciężarówką.

– Och – westchnęła Bonnie zaskoczona, kiedy Alex przesunął pierwszą czarną figurę. – Czyja to była wina?

– Moja.

– Jechałeś szybko?

– Sto czterdzieści.

Czekał, aż wykona następny ruch. Bonnie miała trudności z koncentracją.

– A co kierowcą ciężarówki? – zapytała. – Został ranny?

– Nie – odparł Alex. – Kierowcy ciężarówek siedzą bezpiecznie w swojej kabinie. A gdybym go skrzywdził lub zabił, nie wiem, jak udałoby mi się żyć z takim poczuciem winy. Nie złamał nawet palca. Odwiedził mnie w szpitalu. No, teraz gra toczy się dalej.

Przed wyjściem zdołała jednak przejechać odkurzaczem po podłogach łatwego w utrzymaniu, zaadaptowanego mieszkania. Wytoczył się na korytarz, żeby się pożegnać.

– Co będziesz robić wieczorem? – zapytała. – Czy Elisabeth przyjdzie?

– Tak. Jedziemy do Apollo trenować, jak co drugi dzień. Ty też powinnaś trenować, rozbudować mięśnie. Wiesz, dla zdrowia i w ogóle.

Bonnie pokręciła głową.

– Jasne, a ty przyjedziesz popilnować mi syna? – spytała. – Jesteśmy tylko we dwójkę.

– W takim razie myślę, że powinnaś sobie znaleźć męża – odparł. Widział przecież, jaka jest piękna, i pomyślał, że to powinna być prosta sprawa.

– W takim razie szkoda, że jesteś zajęty – odparła, otwierając drzwi. – Chyba nie mogę konkurować z Elisabeth.

Oboje się zaśmiali. Wiedziała już, że dni u Alexa będą przyjemne.

Tej nocy miała straszny sen.

Śniło jej się, że Olav przyjechał po Simona, że chciał go zabrać na platformę. Ojciec i syn siedzieli blisko siebie w helikopterze, a daleko pod nimi rozciągało się morze, szare i mokre. Ona sama stała na nabrzeżu i machała ze zmartwiałym sercem. A potem, gdy tak stała, helikopter nagle pogrążył się w morzu i Simon zniknął na zawsze w spienionych masach wody. Obudziła się z jękiem. Leżała przez chwilę z ręką na sercu, biło szybko. Po chwili weszła do Simona, stała dłużej przy jego łóżku, delikatnie pogłaskała go po policzku i wróciła do siebie. Często, kiedy kładła się wieczorem, odczuwała wielką ulgę, że nic się nie

stało. Nie było przecież to wcale pewne. Każdego dnia czytała w gazetach o wszystkich nieszczęściach, które spadały na ludzi, i cicho modliła się, aby Simon i ona zostali oszczędzeni.

*

Pewnego ranka Mass obudziła się z tak silnym bólem pleców, że zaczęła się poważnie martwić. Wyczołgała się z łóżka i usiadła na krześle w salonie, masując wciąż obolały nadgarstek. Natychmiast po otwarciu przychodni zadzwoniła i umówiła się na wizytę, to było pilne, bardzo ją bolało i potrzebowała środków przeciwbólowych. Wizytę umówiono już na kolejny ranek, nie powiedziała nic Eddiemu, nie chciała go martwić.

Po przyjeździe zgłosiła się do rejestracji, po czym usiadła z gazetą na kolanach. Ale nie mogła się skoncentrować, odłożyła ją. Po półgodzinie weszła do gabinetu, usiadła na wolnym krześle i czekała.

– Dzień dobry, Thomasine – powitał ją lekarz – dawno cię tu nie było. Jak się ma Eddie?

– Och – odpowiedziała – wiesz, jaki on jest. Uparty jak trzylatek i nadal na rencie. Ale przynajmniej dzięki niemu mam towarzystwo, inaczej siedziałabym całkiem sama.

Wyświetlił jej dokumentację medyczną na ekranie komputera, przeczytał notatkę z ostatniej konsultacji.

– W czym mogę ci dzisiaj pomóc?

– Bardzo bolą mnie plecy. I z jakiegoś tajemniczego powodu boli mnie też prawy nadgarstek.

Podniosła ramię i położyła na biurku, a on ostrożnie wziął je w dłonie i dokładnie się przyjrzał.

– Nie ma obrzęku – zauważył. – Upadłaś i się uderzyłaś?

– Absolutnie nie. Raczej pewnie stoję na nogach. Mam dopiero pięćdziesiąt sześć lat.

– Tak jest. – Skinął głową. – I nie dźwigałaś nic ciężkiego?

Mass się zaśmiała.

– Mam przecież Eddiego. Jest silny jak niedźwiedź.

Lekarz się uśmiechnął.

– Od jak dawna odczuwasz ból? – spytał.

– Od dawna. Zaczęło się bardzo słabo, a potem powoli się pogarszało.

– Rozumiem – powiedział z namysłem. Potem odwrócił się do komputera i wpisał informacje do dokumentacji. – Czy jest coś jeszcze?

Spojrzał na nią. Siedziała z torebką na kolanach i wyglądała, jakby chciała uciec.

– Tak – musiała przyznać – mam trochę siniaków. Jest ich coraz więcej i mam je od bardzo dawna.

– Gdzie?

– Na całych udach. Zauważam je, kiedy biorę prysznic. Nie mogę pojąć, skąd się biorą.

– Muszę je zobaczyć – stwierdził.

Mass wstała i opuściła spodnie. Wstydziła się trochę, ale знаła lekarza, była jego pacjentką od wielu lat, a teraz musiała wyjaśnić te dziwaczne dolegliwości. Doktor dotknął siniaków palcem, jednego po drugim.

– Czy są bolesne?

– Nie, nic nie czuję, czy to nie dziwne?

Z powrotem podciągnęła spodnie. Lekarz siedział zamyślony, chciała, żeby wreszcie coś powiedział, ale milczał. W końcu wyjął małą latarkę, przysunął krzesło bliżej i poświecił jej w oczy. Najpierw w jedno, potem drugie i znowu pierwsze. Mass nie mogła zrozumieć, czego on chce.

– Musimy zrobić parę badań – powiedział – poczekaj przed laboratorium. Pobierzemy ci krew. Skieruję cię też do szpitala na badania obrazowe. Napiszę skierowanie, otrzymasz list z terminem badania.

– Długo będę czekać?

– Nie – odrzekł stanowczo – napiszę, że to pilne.

– A to jest pilne? – spytała zaskoczona. – Powinnam się martwić?

– Pewnie nie – zapewnił z uśmiechem – ale musimy to sprawdzić. Tymczasem przepiszę tramadol, jest skuteczny na ból pleców.

Wzięła receptę i podziękowała.

– Pozdrów Eddiego – poprosił, gdy wstała, a ona obiecała to zrobić. – Nie widuję go za często.

– Eddie nigdy nie choruje – odparła Mass.

Potem wzięła numerek do laboratorium, przed nią było wielu ludzi i teraz już zupełnie nie mogła się zrelaksować. Kiedy w końcu weszła, nie odważyła się o nic zapytać. Na koniec spytała tylko, kiedy może się spodziewać wyników i czy przyjdą pocztą.

– Lekarz dostanie wyniki i skontaktuje się z panią.

Jeszcze raz podziękowała za pomoc i wsiadła do samochodu. W aptecce wykupiła tabletki. Kiedy wróciła do domu, Eddie zapytał, gdzie była.

– Musiałam załatwić parę spraw – odparła – w banku i takie tam. I na poczcie.

– O Boże – jęknął Eddie – tyle czasu w banku?

Nie odpowiedziała. Poszła do kuchni, z przyzwyczajenia zajrzała w kąt, ale Shiby już nie było. Żadne z nich ani słowem nie wspominało o psie.

Zaledwie tydzień później otrzymała list ze szpitala. Dostała termin w zakładzie badań obrazowych i pojechała tam, jeszcze spokojna. Weszła głównym wejściem, wjechała windą na górę i znalazła właściwy gabinet. Tym razem nie czekała długo, badanie trwało chwilę, zrobili zdjęcia jej pleców i bolącego nadgarstka.

Te wyniki też miał otrzymać jej lekarz. Po południu zabrała Eddiego do chińskiej restauracji. Nie powiedziała mu jeszcze o badaniach. Cały czas powtarzała sobie, że to jakiś drobiazg. Dzięki tramadolowi prawie zapomniała o dolegliwościach. Kiedy lekarz rodzinny zadzwonił z informacją, że ma już wszystkie wyniki, była pewna, że w końcu będzie miała spokój.

Usiadł z rękami na kolanach i spojrzał na nią, po czym zdjął okulary.

– Wyjaśnię ci, co znaleźliśmy – zaczął – obawiam się, że czeka cię jeszcze więcej badań. W szpitalu.

Mass nie odważyła się odpowiedzieć, jej oczy były utkwione w lekarzu i tak mocno ścisnęła torebkę, że pobielaly jej knykie.

– Znaleźliśmy coś w próbkach krwi i na zdjęciach – kontynuował. – Zobaczyłem też coś, kiedy spojrzałem w twoje oczy. Masz żółtaczkę.

– Co takiego?

Wpatrywała się w niego bez zrozumienia.

– Białka twoich oczu są żółte. Nie zauważyłaś tego?

– Ale co to oznacza? – dopytywała.

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć, dlatego chcę cię skierować dalej. Ale jest jeszcze coś – dodał – może cię to zaskoczyć. Okazuje się, że masz złamanie dolnej części nadgarstka. W kości promieniowej. Dlatego pomyślałem od razu o nadmiernej łamliwości kości. Takie urazy są bardzo częste w osteoporozie.

Mass zamknęła oczy, zrozpaczona.

– Słyszałam o kobietach, które łamią kości, po prostu przewracając się w łóżku na drugi bok – powiedziała – albo kiedy na coś wpadają. Na drzwi albo meble.

– Tak – przyznał niechętnie lekarz – tak może być. Ale teraz nie jestem pewien, czy właśnie to ci dolega. Kiedy ból pleców jest najgorszy?

– Kiedy leżę nieruchomo w łóżku. Nie wtedy, kiedy się ruszam. To takie nielogiczne.

– Złamania mogą faktycznie wystąpić spontanicznie i tak być może stało się w twoim przypadku.

– Ale skąd to się wzięło? Czy to jakaś choroba?

– Nie mogę orzec nic pewnego – stwierdził – muszę to zostawić specjalistom. Jak zwykle wypiszę skierowanie. W szpitalu zrobią ci dalsze badania krwi. USG, rezonans i tomografię. Potem może jakieś biopsje.

Wnętrznosci ścisnęły się jej ze zmartwienia. Co się z nią działo, co miała powiedzieć Eddiemu? Postanowiła nic nie wspominać, dopóki nie dowie się więcej. Poszła do domu, próbowała skoncentrować się na obowiązkach domowych, ale okazało się to zupełnie niemożliwe. Siedziała nad gazetą, nie czytając, jadła, nie czując smaku, oglądała telewizję, ale widziała tylko migające obrazy. W nocy prawie nie spała, brała coraz więcej tramadolu i chociaż lek jej pomagał, nie potrafiła się tym cieszyć. Eddie myślał, że tak strasznie opłakuje Shibę. Niepokoiło go to, wydawała się taka niespokojna. Zasugerował nawet, że mogą kupić nowego szczeniaka, ale Mass odmówiła bez wahania.

– Tym razem nie uda ci się mnie przekonać – rzekła stanowczo.

Pojechała znów do szpitala, gdzie została poddana niekończącej się serii nowych badań. Wszędzie była przyjmowana życzliwie. Zastanawiała się, czy widzą, jak

bardzo jest zaniepokojona, prawdopodobnie nie, przyjmowali tu przecież tak wielu ludzi, to była dla nich rutyna. Kiedy wreszcie skończyła, ubrała się, zjechała windą na dół i usiadła w kawiarni. Miała odtąd czekać na kolejny list. Ciągłe bolał ją brzuch, znacząco schudła. Kiedyś by się z tego ucieszyła, ale teraz rozumiała, że to objaw czegoś złego. Siedziała nad filiżanką kawy i gapiła się na wszystkich ludzi. Wydawało jej się, że poruszają się w zwolnionym tempie, wszystkie głosy zamieniły się w jednostajne buczenie. W końcu pojechała z powrotem do domu, do Eddiego. Nie powiedziała mu ani słowa o tym, przez co przeszła.

*

Pewnego dnia pojawił się z gazetą, wszedł do kuchni i położył pocztę na stole przed matką.

– Dostałaś list od Zakładu Opieki Zdrowotnej Vestre Viken – zauważył. – Idziesz na mammografię?

Wyobrazil sobie ciężką pierś matki, ściśniętą między dwiema płytami, pewnie nie lubiła tak stać półnaga przed nieznanymi.

– Nie – bąknęła wymijająco – to coś innego.

Wzięła list i odłożyła go na kuchenny stół, bez otwierania.

– Musisz to otworzyć – nalegał – co to jest?

Siedziała z kopertą w dłoni.

– Podaj mi nóż kuchenny – poprosiła ze znużeniem. – To tylko wyniki badań.

Wzięła nóż i otworzyła kopertę, przeczytała kilka linijek. W związku z wykonanymi badaniami i pobranymi próbkami została poproszona o stawienie się na konsultację w szpitalu, w gabinecie doktora Bromanna.

– Tak jak myślałam, mam odebrać wyniki badań – przekazała odważnie Eddiemu. – Muszę tam iść w piątek i porozmawiać z lekarzem.

– Chcę jechać z tobą – rzucił szybko Eddie. Nie podobała mu się biała koperta ani wymijająca mina matki.

– Nie ma mowy, idę sama – zdecydowała – nie musisz mnie trzymać za rękę, jestem dużą dziewczynką.

– Przecież wiem. Pomyślałem tylko, że może potrzebujesz towarzystwa.
Potrząsnęła głową i odłożyła list. Nie mogła spojrzeć synowi w oczy.

*

Na półkach stało mnóstwo książek, wszędzie leżały grube stosy papierów. Bromann siedział na krześle z wysokim oparciem. Miał dużą, smutną twarz i kilka cienkich kosmyków siwych włosów. Kiedy Mass pojawiła się w drzwiach, podszedł, by się przywitać.

– Proszę usiąść – poprosił uprzejmie – mamy o czym rozmawiać.

Postawiła torebkę przy krześle i czekała na wyrok.

– Więc tak. Przeszła pani serię badań. Na pewno były dosyć męczące. I dezorientujące.

– Tak – przyznała – jestem zmęczona.

– Musieliśmy jednak dokładnie panią zbadać i znaleźliśmy kilka niepokojących rzeczy. Wyjaśnię to po kolei, postaram się unikać specjalistycznej terminologii.

Milczała. Zdała sobie sprawę, że zaraz wydarzy się coś, czego zawsze się obawiała.

– Przede wszystkim ma pani żółtaczkę – powiedział – a także bóle brzucha. Zanotowaliśmy także spadek wagi. Ponadto odczuwa pani ból w plecach, najgorszy, gdy leży pani nieruchomo. Ma pani anemię i wysokie ciśnienie krwi. Zauważyliśmy także zmiany w obrazie rezonansu magnetycznego kości. A także w badaniu USG.

– To brzmi bardzo poważnie – stwierdziła Mass z niepokojem.

– Tak, można powiedzieć, że sytuacja jest poważna.

Spojrzał jej prosto w oczy. Nie drgnął ani przez sekundę. Mass zauważyła kilka szczegółów – że jego okulary nie są czyste, a ich mostek ma małe pęknięcie. Czuła się tak, jakby stała nad brzegiem morza, a ściana wody zbliżała się z ogromną siłą.

– Niestety muszę panią poinformować, że choruje pani na zaawansowanego raka trzustki – oznajmił.

Mass z trudem złapała oddech.

- Mam nowotwór? Złośliwy?
- Tak. Widzimy kilka ognisk.
- Ale może można je usunąć chirurgicznie?
- Niestety nie.
- Dlaczego?
- Często da się operować, ale nie w tym przypadku.
- Boże, dlaczego nie? Proszę mi to wytłumaczyć!

Opadła z powrotem na krzesło z wysokim oparciem.

– Niestety, rak zaatakował szpik kostny. Choruje pani od dawna. Ta choroba ma nieliczne i rozproszone objawy.

Ogromna fala uderzyła w Mass. W ciągu kilku sekund zdała sobie sprawę, że umrze. Czuła, że zaraz zemdleje, a doktor Bromann będzie musiał ją złapać silnymi ramionami.

- Eddie – jęknęła. – Nie poradzi sobie sam.
- Pani mąż?
- Nie, on odszedł. Mam tylko syna. Mieszka ze mną, potrzebuje pomocy i jest na rencie.

Bromann skinął głową. Współczucie dla kobiety siedzącej teraz naprzeciw niego i mającej wkrótce umrzeć niemal wytrąciło go z roli.

- Jaką ma diagnozę?
- Żadnej – odparła z rozpaczą Mass – ale jest niepełnosprawny. Nie mieści się w żadnej szufladce, ale ze mną, w domu, jest bezpieczny.
- Czy może pani opowiedzieć trochę o tym, co może, a czego nie może zrobić?
- Jest bardzo powolny i ostrożny, ale jego mózg daje radę. Zawsze, kiedy wychodzę z domu, jest niespokojny. Kiedy był mały, miał lęk separacyjny i do dziś boi się obcych. Rzadko wychodzi. Ma dwadzieścia jeden lat i będzie mieszkał w domu do mojej śmierci. A teraz mówi mi pan, że to już wkrótce. Bo to właśnie pan mówi? – Spojrzała na niego z nieszczęśliwą miną. – Może da się mi zrobić przeszczep szpiku kostnego?
- Nie – odrzekł Bromann – jest już za późno.
- Kiedy umrę?

– Rozumiem pytanie, ale musi pani wiedzieć, że trudno to określić. Niemniej jednak nie zostało już dużo czasu. Musimy zacząć chemioterapię.

– Wtedy stracę włosy?

– Bardzo to panią martwi?

– Nie, nigdy nie byłam próżna. Ale Eddie będzie taki przerażony.

Podniosła torebkę, otworzyła ją i szukała chusteczki, ale nie miała żadnej, więc rzuciła torebkę z powrotem na podłogę.

– Mam tylko kilka miesięcy? A może rok?

– Zwykle liczymy od trzech do sześciu miesięcy. Ale w pani przypadku może to pójść dużo szybciej.

Mass siedziała z zamkniętymi oczami. Tonęła, tonęła i tonęła. Eddie sam w domu, nie, nie ma mowy, by to się udało. Kompletnie nie miał pojęcia o obowiązkach domowych. Czy w ogóle byłby w stanie gotować dla siebie?

Czuła mdłości. Miała sucho w ustach.

– Czy mogę umrzeć w domu? – zapytała piskliwie.

– Tak – powiedział Bromann – jeśli tego pani chce, ale może być ciężko. Będzie pani pod opieką oddziału paliatywnego, tutaj w szpitalu. Zapewnią wizyty domowe i wszelką niezbędną pomoc i wsparcie. Jeśli chodzi o pani syna, postaramy się o pomoc z gminy, trzeba wysłać wniosek jak najszybciej. Pomoc domowa na pewno mu się przyda.

– Nie – zaprotestowała Mass. – Nie ma pan pojęcia, jaki on jest!

Lekarz zapytał, czy ma z kim porozmawiać, poza synem. Odpowiedziała, że nie. Wstała, ale nogi ledwie ją niosły.

– Co powiem Eddiemu?

Bromann odprowadził ją do drzwi.

– Musi pani powiedzieć prawdę. Nie można go trzymać w niepewności. Przez coś takiego musicie przejść razem. I może macie jakieś niezłatwione sprawy.

Kiedy Mass w końcu wróciła do domu, zastała Eddiego na kanapie, pod kocem. W telewizji leciał stary amerykański film, a on leżał, wgrzyzając się w ogromną tabliczkę czekolady. Odrzuciła torebkę na podłogę i zniknęła w kuchni, otworzyła szafkę. Wyjęła szklanekę i wypełniła ją lodowatą wodą. Usta miała suche jak papier ścierny, więc wypila wodę wielkimi łykami, napełniła szklanekę ponownie i usiadła przy kuchennym stole.

– Wyniki w porządku? – Eddie stanął w drzwiach i wpatrywał się w matkę szeroko otwartymi oczami.

– Tak, tak – zapewniła Mass, nie patrząc na niego. – Ale mam anemię i trochę za wysokie ciśnienie. Dostałam lekarstwa. Zróbmy kolację.

Wstała i otworzyła lodówkę, wyjęła paczkę z trzema kotletami schabowymi – jeden dla niej, dwa dla Eddiego. Podczas posiłku zaproponowała, żeby pojechali do kościoła Geirastadir, na groby babci i dziadka. Eddie chętnie na to przystał. Był kwiecień, wreszcie można było sadzić, słońce przygrzało i stopiło śnieg. Wpadli po drodze do ogrodniczego. Eddie wniósł do samochodu pudełko z czterema małymi roślinami i pojechali na cmentarz. Mass szła przodem między grobami. Oddychała z otwartymi ustami, jakby nie mogła złapać wystarczającej ilości powietrza. Ona sama będzie tu leżeć już za kilka tygodni. Nie mogła w to uwierzyć. Eddie szedł z tyłu z kwiatami, a matka trzymała w dłoni małą łopatkę. Teraz miała tylko wkopać je w ziemię, jej wzrok był sztywno utkwiony w brukowanej ścieżce. Spojrzała na swoje stopy, miała wrażenie, że nie należą do niej.

– O cholera! – krzyknął ze złością Eddie, kiedy dotarli do grobu. Mass spojrzała z przerażeniem na pochylony do przodu ciężki nagrobek z imionami dziadków. Odłożyła łopatkę i podeszła, kładąc ręce na nagrobku, by sprawdzić, czy się rusza. Nie udało jej się go przesunąć.

– Co zrobimy, jeśli się przewróci? – zapytał z konsternacją Eddie. – Czy ktoś go pchnął?

– Nie, to niemożliwe, kto by zrobił coś takiego. To chyba zdarza się od czasu do czasu, porozmawiamy z zarządcą cmentarza.

Przyklękła. Wbiła łopatkę w ziemię i kopała z wielką wytrwałością. Ziemia, pomyślała, ciemność. Za kilka lat same kości. Eddie wyjął niebieskie kwiaty z pudełka, podniósł je pod nos, pachniały słodko. Gdy rośliny były już na swoim

miejscu, Mass wstała i położyła dłoń na bolącym krzyżu. Chociaż nie mogła zobaczyć swojej twarzy, czuła, że jest blada.

– Niemożliwe, że ten ból to tylko od sprzątania – powiedział Eddie.

Mass uśmiechnęła się odważnie. Wrócili do samochodu. Zapięli pasy i wyjechali na jezdnię. W głowie się jej kotłowało, wiedziała, że kończy jej się czas, miała jeszcze wiele rzeczy do załatwienia, dopóki starczyło jej sił.

*

Sierpień 2005

Sejer i Skarre opowiedzieli Henny Hayden o czerwonym samochodzie widzianym w pobliżu miejsca zbrodni. Wiedziała już o tym z gazet, które pilnie czytała.

– Czy wie pani o kimś z otoczenia Bonnie, kto jeździ czerwonym samochodem?

– Nic zupełnie – odparła – nie sądzę zresztą, żeby to był ktoś bliski Bonnie. Mój Boże, kto to mógł być?

– Zobaczymy – stwierdził Sejer – będziemy informować na bieżąco.

– Więc te czerwone samochody to jakiś ślad?

– W pewnym sensie tak.

– Ale nikt nie widział, kto siedział w środku?

– W jednym przypadku owszem, kierowca wysiadł z auta. I jest coś w tym człowieku, co nas interesuje.

– Co takiego? – zapytała szybko.

– Był ubrany nietypowo, wyróżniał się tym. Widziano również, że szedł w kierunku Skarven.

– W dzień ich śmierci?

– Tak. I to w czasie, który pasuje do chwili zbrodni. Ale proszę nam powiedzieć, jak pani się ma. Czy ma pani przyjaciół, może liczyć na ich wsparcie?

– Tak, mam kilkoro dobrych przyjaciół. Ale nie dają rady rozmawiać z nimi, nie dopuszczą ich do siebie. Nie wiedzą, co mają powiedzieć, brakuje im słów. Prawie nie mogą na mnie patrzeć. Kiedy spotykam ich w sklepie, odwracają wzrok, próbują uciec.

- Chyba jest pani dla nich zbyt surowa.
- Ależ nie, po prostu nie dają już rady!
- Jak się miewa pan Henrik? – spytał Sejer.
- Znika coraz bardziej – wyznała – nie wiem, co robić.

Niewiele mogli uczynić, by ją pocieszyć. Zapytali tylko o Bonnie, rozumieli, że to o córce najbardziej chciała rozmawiać.

– Czy była ostatnio czymś szczególnie zajęta? Czy wspomniała o czymś niezwykłym, co panią zastanowiło? Może się czymś martwiła?

Henny wpatrywała się w przestrzeń za Sejerem. Wyteńczyła umysł, by przypomnieć sobie cokolwiek ważnego, ale nic kompletnie nie przychodziło jej do głowy.

Nie było nic takiego. Przynajmniej nic im nie powiedziała. Często martwiła się o Simona, był niespokojnym chłopcem. Niepokoiła się też o wszystkich staruszków, do których chodziła każdego dnia. I o ojca.

– A ci, o których już mówiliśmy? – spytał Skarre. – Jak na przykład jej były, Olav. Nie przyszło pani do głowy cokolwiek, co mogłoby nam pomóc? Strasznie ciężko zniosła zerwanie z nim, prawie nie chciała go widzieć?

– Taka właśnie była Bonnie. Kiedy przywiązywała się do kogoś, była to sprawa życia i śmierci.

Sejer zwrócił uwagę na słowa „życie i śmierć”.

– Już raz została zawiedziona, wtedy była tylko nastolatką. To był jej pierwszy chłopak, kompletnie straciła głowę na jego punkcie. Dużo stała przed lustrem, nie byliśmy do tego przyzwyczajeni. Ale potem, po dłuższym czasie, zerwał z nią. Wtedy całkowicie się załamała, była niepokieszona.

– Znali go państwo?

– Nie. Nigdy nie przyprowadziła go do domu. Myśleliśmy, że to dlatego, że Henrik był taki surowy. Myślał, że jest o wiele za młoda, by mieć chłopaka, czasami miałam wrażenie, że tylko czeka, aż to minie, żeby odetchnąć. Tacy są ojcowie.

– Czy pamięta pani, jak miał na imię?

– Jørgen.

– Czy kiedykolwiek się z nią potem kontaktował?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ulotnił się jak kamfora. Tak jak Olav.

Wtedy Sejer coś skojarzył.

– Kiedy Bonnie była nastolatką, rozwinęły się u niej poważne zaburzenia odżywiania – zaczął. – Czy kiedykolwiek wiązała to pani z rozstaniem? Z Jørgenem?

– Tak, faktycznie tak było. Ale i tak mieliśmy szczęście, wyszła z tego bez trwałych dolegliwości i znowu zaczęła jeść. Czasami baliśmy się, że może nigdy nie zajść w ciążę, rozmawialiśmy o tym z lekarzami. Z powodu choroby. Niedożywienia. Ale lata mijały i w końcu urodziła Simona. Czasami dziecko może dać nam zupełnie nowe życie.

*

Kwiecień 2005

Pewnego dnia Bonnie Hayden otrzymała list. Stała chwilę przy skrzynce pocztowej i studiowała kopertę, rzadko dostawała listy, na szczęście nie był to kolejny rachunek, przynajmniej tak jej się wydawało. Dlatego od razu poczuła ulgę. Była to żółta, dość elegancka koperta, z niebieskim napisem na dole po lewej stronie, krętym pismem: „Kancelaria adwokacka Falck”.

Kancelaria? Zdumiała się. Nie mogła pojąć, czego chciał od niej adwokat. Z jakiegoś powodu poczuła się nieswojo, zbliżyła się do schodów, gdzie czekał Simon, otworzyła drzwi i weszła do środka, położyła list na kuchennym stole. Na początku chciała go rozedrzeć, ale nagle poczuła lęk. Było coś złowrogiego w liście od adwokata. Co może od niej chcieć? Usiadła na kuchennym krześle i położyła przesyłkę na kolanach, Simon stał w drzwiach i obserwował ją.

– Musimy zapłacić jakieś pieniądze? – zapytał z niepokojem.

– Nie wiem – stwierdziła krótko.

– Musisz go otworzyć.

– Później. Najpierw musimy zjeść.

Położyła list na lodówce i zabrała się za obiad. Potem sprzątnęli ze stołu i usiedli na kanapie. Bonnie podniosła list do lampki, zbliżyła go do żarówki, żeby zobaczyć

coś przez kopertę. Ale pismo wewnątrz stworzyło tylko czarne, niewyraźne linie. W końcu rozdarła ją i przeczytała zawartość.

„W związku ze śmiercią Erny Margrethe Vibe 17 marca tego roku oraz jej pisemną i poświadczoną ostatnią wolą prosimy o jak najszybsze przybycie na spotkanie w naszym biurze. Prosimy o telefon w celu umówienia spotkania. Z wyrazami szacunku, Christian Falck”. Na dole był dokładny adres i godziny otwarcia biura.

Odłożyła list. Zupełnie czego innego się spodziewała. Ostatnia wola Erny, co to może oznaczać? Przecież tylko tam pracowała, nie były spokrewnione. Nasunęła jej się zabawna myśl, że mogła odziedziczyć na przykład jakieś filizanki do kawy albo sztuce. Jeśli to sztuce, to sprzedam je natychmiast, pomyślała z uśmiechem. Simon zobaczył uśmiech matki. Nadszedł już czas na czytanie bajki. Tej nocy Bonnie długo nie mogła zasnąć. Myślała o Ernie. Czasami wydawało jej się, że jej miejsce jest na oddziale psychiatrii, bo ubierała wszystkie meble w skarpetki. Ale miała przecież dzieci, to one były prawowitymi spadkobiercami. Kiedy zasnęła, śnił jej się Alex, którego tak bardzo polubiła w krótkim czasie. Całkiem nieźle grała też w szachy. Co prawda jeszcze nie zwyciężyła, ale obiecała sobie, że kiedyś się jej to uda.

*

Kancelaria Falck mieściła się w dzielnicy Engene, Bonnie stała właśnie przed nią i patrzyła przez łukowate okna. Była wystrojona i pachniała Chanel numer pięć. Za dębowymi drzwiami z ciężką mosiężną klamką znalazła poczekalnię z grubymi dywanami i pięknymi skórzanymi fotelami. Na ścianach wisały zdjęcia i dyplomy, przed oknami stały bujne rośliny w donicach. Cały dzień myślała o Ernie. To nie pierwsza jej klientka, która zmarła, poza tym była jedną z najtrudniejszych, zawsze się bała wizyty u niej. Siedząc tam, zaczęła się trochę tego wstydzić, co ona może wiedzieć o starzeniu się, może sama stanie się niemiłą suką, kiedy nadejdzie ten czas. Jeśli w ogóle do tego dojdzie, pomyślała, nie każdy się starzeje. Znalazła w torebce pudełko miętówek, wrzuciła jedną do ust. Kiedy adwokat Falck otworzył drzwi, zauważyła, że przypomina mężczyznę na opakowaniu pastylek, śpiewaka

operowego Ivara F. Andersena. Jakby w każdej chwili miał wykonać arię. Wyglądał na przyjaznego mężczyznę, był wysoki, włosy miał ciemne, dobrze ubrany i dużo starszy od niej samej. Szła po grubym dywanie, jej sandały zatapiały się w gęstym włosiu, lekko się kołysała. Podała mu dłoń na powitanie, następnie weszła za nim do eleganckiego gabinetu. Nigdy nie widziała takiego biurka ani tak pięknych skórzanych foteli, były czarne, z detalami z ciemnego drewna. Na blacie zielona lampa z miękką skórą.

– Pewnie zastanawia się pani, dlaczego napisałem – zaczął.

– Nie da się ukryć. Szczerze mówiąc, byłam trochę zdenerwowana – wyznała Bonnie. – Obawiałam się, że ktoś czegoś ode mnie chce.

– Nie ma pani powodu do zmartwień – uspokoił. – Dobrze znała pani Ernę, a ja nie. Ale z informacji od rodziny zrozumiałem, że potrafiła być trudna. To pani ją znalazła, prawda?

– Tak – potwierdziła Bonnie – leżała w łazience. Nie wiem, co było przyczyną śmierci, ale uderzyła się w głowę. Byłam na pogrzebie, uznałam, że tak wypada.

– Rozmawiała pani z jej rodziną?

– Nie, nigdy ich nie poznałam. Nie mogli wiedzieć, kim jestem, było tam sporo ludzi. Nie poszłam też na stypę, spieszyłam się do kolejnego klienta.

– Kiedy traci pani klienta, to natychmiast przypisują kogoś nowego, prawda? – spytał Falck.

– O tak, mamy długie listy oczekujących.

Rozejrzała się po gabinecie. Były tam długie rzędy książek, także tutaj stały zielone rośliny, o wiele ładniejsze niż jej własne. Rozpoznała paproć, monstere i sukulentę.

– Zaraz wyjaśnię pani, skąd to spotkanie – rzekł Falck z uśmiechem. – Nie wszyscy starzy ludzie piszą testament. Ale Erna Vibe sporządziła taki dokument. Zostało to zrobione z dużym wyprzedzeniem i bardzo szczegółowo. Testament został podpisany przez kilku pełnoletnich świadków, więc nikt nie może go kwestionować. Pewnie wie pani, że często właśnie tak się dzieje. Prawo spadkowe to nie żart. Jest pani beneficjentką testamentu.

– Ach, tak – powiedziała Bonnie, ale jednocześnie potrząsnęła głową, nigdy nie czuła się kochana przez Ernę, tak jak na przykład przez Gjertrud.

– Jeśli chodzi o sam dom, meble, ruchomości i tym podobne – wyliczył – zostaną one przekazane rodzinie. Ale zostawiła też pieniądze. I tutaj część przypada pani.

– Pieniądze? – powtórzyła zdumiona Bonnie. – Nie wiedziałam, że w ogóle je ma, była bardzo oszczędna.

– Wszyscy starzy ludzie są oszczędni. – Uśmiechnął się Falck. – Bez względu na to, jak dobrze im się powodzi. Dlatego stają się bogaci. A Erna była bardzo majątna.

– Ach – szepnęła Bonnie. – Nie wiedziałam. To po mężu, tak? Zmarł wiele lat temu.

– Tak – potwierdził Falck – był odnoszącym sukcesy biznesmenem. A Erna zadbała o spadek po nim. Niektórzy bogaci starzy ludzie przekazują swoje pieniądze różnym fundacjom – dodał – Erna przekazała też sporą kwotę do gminnej służby opieki domowej. Której jest pani częścią. Ale część pieniędzy trafi bezpośrednio do pani. Wspomniany jest również pani syn, Simon. Pomyślała o was obojgu.

Bonnie nigdy w życiu nie była tak zaskoczona. Pomyślała o pięciu buteleczkach perfum i o tym, jak bardzo się z nich ucieszyła.

– Jest pani gotowa? Siedzi pani wygodnie? – spytał Falck. Bonnie spojrzała na niego ze zdumieniem.

– O tak – powiedziała z lekkim śmiechem – ma pan bardzo dobre krzesła.

Pochylił się nad biurkiem, zauważyła, że ma na palcu szeroką złotą obrączkę, a zamiast krawata czarną muszkę. Pachniał dobrymi perfumami. Rozpoznaje ten zapach, pomyślała. Olav.

– Erna przekazała pani dwa miliony koron.

Nastąpiła chwila ciszy. Jego uśmiech był niemal figlarny.

– Nie – zaprzeczyła Bonnie automatycznie. – Nie, nie wierzę, to musi być pomyłka.

Wydawało jej się, że dach faluje i lekka bryza porusza liśćmi roślin.

– Pomyłka? – uśmiechnął się Falck – dlaczego pani tak mówi?

– Erna miała przecież dzieci. Nie może odmówić im spadku, istnieją chyba zasady dotyczące takich rzeczy?

– Dzieci też dużo dziedziczą, jak powiedziałem, była bardzo bogata. Nie mają na co narzekać i też tego nie robią. Poprosili mnie również, abym panią pozdrowił i podziękował za wszystko, co pani zrobiła dla ich matki na przestrzeni lat. Erna bez przerwy o pani mówiła. O tym, jaka jest pani pomocna. Była pani niezastąpiona i sumienna pod każdym względem.

Spojrzał na zaskoczoną twarz Bonnie. Siedziała, cały czas kręcąc głową. Nie mogła w to uwierzyć, takie rzeczy działy się innym, w rodzinach, które miały bogatych wujków w Ameryce.

– Musiała pani wiele dla niej znaczyć – zaznaczył – i z pewnością zasłużyła pani na każdy grosz. Rodzina też tak uważa, pozostaję z nimi w kontakcie. Gratulacje – dodał, śmiejąc się. – Dwa miliony pozwolą na wiele. Co prawda, zanim pieniądze zostaną przelane, minie trochę czasu, potwierdzę szczegóły nieco później. Oczywiście potrzebuję pani numeru konta. A teraz myślę, że powinna pani wyjść i kupić sobie butelkę dobrego szampana.

Kiedy Bonnie wstała, nogi ledwo ją utrzymywały, musiała złapać Falcka za rękę, poczuła się słabo. Jakby patrzyła na siebie z boku.

– Któregoś wieczoru to do pani dotrze – obiecał Christian Falck. – Na razie nie jest pewne, czy zaśnie pani tej nocy.

Bonnie jakby unosiła się nad ziemią. Musiała się roześmiać. Podziękowała mu i wyszła do poczekalni, otworzyła ciężkie dębowe drzwi i znalazła się na brukowanym chodniku, pod błękitnym niebem. Już nigdy w życiu nie osądzę ani jednej osoby, obiecała sobie. Erna była prawdopodobnie nieśmiała i bała się okazywać emocje. Stara szkoła, pokolenie wojny, ci, którzy nigdy nic nie dostali. Trzymali wszystko w środku. Zdecydowała się pójść do Sydney Grill. Zamówiła cheeseburgera, wskoczyła na jedno z wysokich krzesel i wyjrzała na zewnątrz. Nagle ogromnie pokochała to miasto. Rzekę i wszystkie mosty, promenadę. Świętego Hallvarda i jego żonę w łodzi, stary teatr. Brązowe kawiarnie Lauritz i Dickens oraz Kongens våpen. Stary browar, który nocą był oświetlony. Z kolejki po drugiej stronie rzeki wyglądał jak zamek Soria-Moria. Gołąb zabłąkał się na ulicę, prawdopodobnie z głównego placu. Szedł pasem zieleni, pośród trawy, szybki i piękny. To nie był szary gołąb z niebieskimi piórami. Ten był kredowobiały z kilkoma złotymi plamkami. Czy to nie takie właśnie symbolizują pokój?

*

– Niektórzy starszycy odkładają wszystkie pieniądze – wyjaśniła. – A potem, kiedy umierają, trzeba je wszystkie rozdać. Ty i ja dostaliśmy ich dużo. Ale jeszcze ich nie mamy, minie trochę czasu, zanim dotrą do banku.

– Ile dostaniemy? – zapytał Simon z szeroko otwartymi oczami.

– Całkiem sporo – odparła. – Oboje kupimy sobie coś ładnego. Ty dostaniesz nowy rower, a ja nowy samochód.

– Och! – Uradował się. – To naprawdę dużo pieniędzy!

– Może nawet polecimy na Gran Canarię – dodała ze śmiechem Bonnie.

Simon siedział i się gapił. Wiadomość uderzyła mu prosto do głowy, był czerwony na twarzy, pod lokami.

– Chcę pojechać do Afryki – powiedział z nadzieją.

Bonnie się zastanowiła.

– Dobrze, jedźmy do Afryki, zobaczmy lwy. Ale musimy przyjąć kilka zastrzyków. Wiesz, szczepionek. Inaczej zachorujemy.

– Tak – wykrzyknął Simon, klaszcząc w dłonie – przyjmę dużo zastrzyków!

Zaczął biegać po pokoju z gumowym lwem w dłoni, a Bonnie poszła do kuchni, żeby otworzyć szampana.

Było tak, jak mówił Falck. Jeszcze to do niej nie dotarło, i nie mogła spać, nie, absolutnie, nie w taki dzień jak ten.

*

– Któregoś dnia odejdę – zaczęła Mass z powagą. – Dom będzie dla ciebie za duży. Może przeprowadzimy się do małego mieszkania?

– Odejdiesz? – Eddie przewrócił oczami. – To przecież jeszcze dużo czasu! Możemy poczekać, aż się zestarzejesz.

Mass spojrzała na brązowe loki syna. Wielkie białe pięści i podwójny podbródek. Gdyby jeszcze miał rodzeństwo, ale tak się nie stało, a teraz na wszystko było już za późno. Chciała wyruszyć na przejażdżkę, posiedzieć z nim

blisko w samochodzie, była ładna pogoda. Pojechali do Tangen i Frydenlund, Mass wskazała bloki, zauważyła, jak tam ładnie, duże balkony z miejscem na skrzynki z kwiatami.

– Nie będziesz musiał odśnieżać – zauważyła.

Wsiadli z powrotem do samochodu, przejechali mostem nad rzeką i dalej pod górę. Tutaj były tylko duże domy jednorodzinne, ale miło było pojeździć, Mass to lubiła. Eddie zatrzymał się przy kiosku i kupił sobie colę, teraz siedział obok niej, bekając przy każdym łyku. Zawsze ją to irytowało bez końca, ale teraz nie zwracała już na to uwagi. Był jej synem i zawsze miała do niego cierpliwość.

Niepokój przychodził falami, wtedy z trudem oddychała. Eddie popijał colę i obserwował otaczający krajobraz, wszystko lśniło i pięknie błyszczało w złocistym wiosennym słońcu.

– Niedługo zakwitną krokusy – powiedział z zapalem. – I tulipany. Wtedy będziesz miała co robić.

Mass pomyślała o kwiatkach, które chciała zobaczyć po raz ostatni. Wszystko było po raz ostatni. Ostatnia wiosna, ostatnie lato. Powiedziała doktorowi Bromannowi, że wolałaby umrzeć we własnym łóżku. Ale im więcej o tym myślała, tym bardziej stawało się dla niej jasne, że to niemożliwe. Eddie by tego nie zniósł. Muszę się z tym zmierzyć dzień po dniu, pomyślała, oby tylko ból nie stał się zbyt silny. Przez ostatnie kilka dni wyobrażała sobie, jak leży w szpitalnym łóżku i krzyczy, a Eddie siedzi obok niej przerażony. Nagle zapragnęła wrócić do domu. Niepokój wziął górę, teraz chciała ugotować mu obiad, coś dobrego. Wszystko powinno być jak zwykle, dopóki się da.

Wieczorem siedzieli razem przed telewizorem, wstąpiła do sklepu i kupiła dużą torbę słodczy, w której jej syn chciwie się wgryzł. Kolorowe papierki tworzyły stos na stole. Eddie podniósł gazetę, przejrzał dzisiejszą krzyżówkę i wziął ołówek.

– Tak się cieszę, że masz hobby – powiedziała Mass. – Krzyżówki. I komputer. Jesteś świetnym zawodnikiem.

– Wiem o tym – potwierdził radośnie Eddie – zawsze to wiedziałem. A ty jesteś świetną zawodniczką w kuchni.

Tak, pomyślała Mass, teraz możemy sobie powiedzieć kilka miłych słów, póki jeszcze czas. Potrzebuje pewności siebie, wszystkiego, co tylko mogę mu dać. Ale w głębi duszy bała się, że syn bez niej zginie. Cały jego świat się zawali, Eddie

schowa się w ciemności bez kontaktu z innymi ludźmi. Wtedy wszystko może się wydarzyć.

– Kupić mieszkanie – powiedział Eddie. – Nie słyszałem większej bzdury. Coś ci się pomieszało w głowie.

Mass zacisnęła pięści z rozpaczy, to była przecież prawda. Choroba była jak uderzenie młotkiem, zamieszała jej w głowie. I wkrótce, już za chwilę, ból miał zacząć się na poważnie.

*

Dni mijały, a Bonnie przyzwyczaiała się do myśli, że jest milionerką. Wiedziała, że jej życie zmieni się na zawsze. Simon nie poznawał matki. Cały czas była radosna, chodziła szybko i lekko, tak ładnie się ubierała, nawet do sprzątanania, i śmiała się ze starego opla, który wkrótce miał pójść na złom. Kaja pokazała mu Afrykę na globusie. Było tam wiele małych i dużych krajów, nie wiedział, który dokładnie mają odwiedzić.

– Nie wybierzemy się sami – wyjaśniła matka.

– Babcia i dziadek jadą z nami?

– Nie, musimy pojechać z biurem podróży. Będziemy mieć przewodnika, który nas poprowadzi. Wszyscy razem będziemy jeździć samochodem terenowym bez dachu.

– A kiedy? Czy to jeszcze długo?

– Nie, nie sędzę. Jak tylko przyjdą pieniądze, wyjeżdżamy.

– Ale kiedy przyjdą? – zapytał niecierpliwie.

– Powiedzieli, że to może zająć trochę czasu. Chodź, teraz idziemy do centrum handlowego, możemy przejść się po sklepach, a jeśli znajdziemy coś ładnego, wrócimy i kupimy to później, dobra?

Odpaliła starego opla, Simon wyjątkowo usiadł z przodu. Pas sięgał mu do szyi, to raczej nie był dobry pomysł, ale normalne prawa i zasady już nie obowiązywały. Teraz był nowy świat.

Śnieg stopniał i niebieskie znaki z wózkami inwalidzkimi były wyraźnie widoczne, więc zaparkowała bezpiecznie na dostępnym miejscu. Gdy tylko weszli, Simon poczuł zapachy z piekarni, a Bonnie kupiła mu dużą bułkę z rodzynkami, którą zjadł ze smakiem. Potem wjechali ruchomymi schodami na drugie piętro i zaczęli wędrować. Przez długi czas wchodzili i wychodzili ze sklepów, aż Bonnie zdała sobie sprawę, że już w ciągu zaledwie kilku tygodni będzie mogła kupić wszystko, czego chciała, zarówno dla siebie, jak i dla Simona. Oglądała sukienki. Oglądała biżuterię, torby i buty. Oglądała koce, poduszki i pościel, wszystko, co miała, było zużyte, teraz w końcu mogła wszystko odświeżyć. Simon też wybrał wiele rzeczy, ale zdawał sobie sprawę, że musi poczekać. Gdy mieli już dość wrażeń na piętrze, zeszli na parter i ruszyli dalej. Po drodze zatrzymali się przy sklepie zoologicznym, a Simon wpadł w osłupienie, gdy doszedł do miniaturowych królików.

– Chciałbym mieć takie dwa – powiedział stanowczo. Bonnie się roześmiała.

– Jakoś to zorganizujemy – obiecała – są takie słodkie.

Poszli dalej do sklepu sportowego. To tutaj Simon naprawdę wyraził wszystkie swoje życzenia. Matka nigdy nie była tak zgodna, był całkowicie przytłoczony. Mieli rowery i deskorolki, noże i latarki, kaski i małe hulajnogi, trampki w wesołych kolorach i świetne plecaki. Na najdalszej ścianie wisały wszelkiego rodzaju wędkę. Na koniec obejrzeliby ubrania sportowe. Przeglądając stojaki, Bonnie wybrała niebieską wiatrówkę, a Simon znalazł dres.

– Musimy poczekać – przypomniała mu.

– Ale wtedy kupi go ktoś inny – obawiał się Simon. – Proszę!

Bonnie pogłaskała go po włosach.

– No dobra – uśmiechnęła się – ale będzie owsianka do końca tygodnia.

Kiedy dotarli do domu, Simon wyjął dres z torby. Wziął nożyczki i odciął metki, przymierzył nowe ubranie przed lustrem w przedpokoju i wrócił do salonu.

– Jak ci ślicznie – powiedziała Bonnie – w czerwieni, bieli i błękitach. Wyglądasz jak norweska flaga.

Sierpień 2005

W regularnych odstępach czasu Sejer i Skarre odwiedzali Henny Hayden. Zbadali też okoliczności związane ze spadkiem, który otrzymała Bonnie, ale nic nie wskazywało, by została zamordowana dla pieniędzy. Inni spadkobiercy Erny Vibe zostali należycie przesłuchani, to był ślepy zaułek. Według Henny tylko nieliczni w ogóle o tym wiedzieli.

– Czytam gazety – powiedziała z rozpaczą. – Piszą, że to bardzo trudna sprawa.

– To prawda. Ale to nie znaczy, że jej nie rozwiążemy. Najpierw musimy znaleźć mężczyznę, którego zauważono w pobliżu miejsca zbrodni. Tęgi facet, który jeździ czerwonym samochodem. A potem musimy powiązać go z gospodarstwem Skarven. I znaleźć motyw.

– Pracują tam obcokrajowcy – rzuciła szybko Henny.

– Wiemy o tym, rozmawialiśmy z nimi wielokrotnie. Wygląda pani na zmęczoną – dodał. – Czy pani w ogóle śpi i je?

Po wizycie u Henny udali się do gospodarstwa Skarven. Wojciech, Stanisław, Jürgen i Tomasz siedzieli na trawniku przed swoim mieszkaniem i jedli lunch, na który składały się mocna kawa w termosie i grube kromki chleba z szynką. Wszyscy zdjęli koszule w tym upale, odsłaniając umięśnione klatki piersiowe.

– Panie Wojciechu – spytał Skarre – czy widział pan znowu czerwony samochód?

– Nie. Tylko ten jeden raz. Byliśmy na grobach – dodał. – Ładne.

Miał na sobie czarno-żółte szelki podtrzymujących solidne robocze spodnie, a na nogach wszyscy czterej mieli ciężkie skórzane buty. Podeszwy były już dawno zbadane, żadna nie miała charakterystycznego wzoru, który znaleźli na podłodze przyczepy.

– Kiedy jedzie pan do domu? – spytał Skarre.

– W listopadzie. Rodzina czeka. Będziemy budować dom – wyjaśnił Wojciech. – Nieduży. Mam troje dzieci.

Następnie Sejer i Skarre poszli przez pola do miejsca, gdzie stała przyczepa. Randen w końcu ją wywiózł. Wędrowali po polu, pogrążeni w rozmyślaniach. Były oczywiście nierozwiązane sprawy, choć nie tak wiele, ale były też takie, które będą ich gryzły na zawsze.

- On też śledzi sprawę w gazetach – powiedział Skarre i spojrzął na inspektora.
- Oczywiście – potwierdził Sejer. – Nie jest pewne, czy śpi spokojnie w nocy.

Kiedy wrócił do mieszkania na trzynastym piętrze, Frank napadł go radośnie w drzwiach. Sejer usiadł na podłodze i wziął jedną z miękkich łap w dłoń. Oczy, ledwo widoczne zza wszystkich zmarszczek, były czarne.

– Potrzebujesz liftingu – powiedział mężczyzna czule. – Ale to chyba będzie za drogie.

Wstał i wszedł do kuchni, zaczął postukiwać garnkami, a Frank podążył za nim, żeby zebrać. Sejer niepewnie podał mu kawałek parówki. Nigdy się nie nauczę, pomyślał przygnębiony. Gdyby tylko Elise mnie widziała.

*

Kwiecień 2005

Bonnie najchętniej opowiedziałaby każdemu, kto chciał słuchać, o nadchodzącym spadku, tak była nim przejęta. Ale coś ją powstrzymało. Wielu z jej klientów było emerytami i borykało się z problemami finansowymi, tak jak ona, ale młody Alex został wtajemniczony w sekret. Kiedy usłyszał o hojności Erny, był szalenie podekscytowany.

– Zabierzesz mnie do Bagatelle? – zapytał z nadzieją. – Na jedenaście dań?

– O tak – zapewniła. – Pójdziemy jesienią. Elisabeth wybierze się z nami. Ale najpierw muszę pozbyć się długów.

Byli w środku partii szachów.

– Chciałabym mieć pionka na kołach. Z pierwszeństwem przejazdu – powiedziała ze śmiechem.

Odpowiedział natychmiast wyśmienitym ruchem. Odchylił się na wózku i spojrzął na nią. Chciałby zwierzyć się tej pięknej kobiecie, której brakowało zaledwie trzech lat do czterdziestki i która co tydzień przychodziła tu, by mu

pomóc, że była najważniejszym wydarzeniem tygodnia. Był jednak zbyt dumny i nieśmiały, by okazywać uczucia.

– Mam starą ciotkę – zaczął – ma trochę ziemi. I border collie o imieniu Bonnie, ten pies jest absolutnie niemożliwy.

Bonnie nieźle się uśmieła.

– Czego pragniesz najbardziej? – zapytała – to znaczy, tak na przyszłość?

– Mieć własne dziecko – odpowiedział natychmiast. – Chcę tego, co ty masz. Syna. Będzie biegał i załatwiał dla mnie sprawy. A potem, oczywiście, zostanie szachistą. Jeśli chodzi o ostrą jazdę, wpoję mu, że musi się od tego powstrzymać.

– A czemu nie córkę? – spytała Bonnie.

– Nie ma powodu. Po prostu chcę syna.

– A wiesz, czy możesz mieć dzieci?

– O tak. Działamy i planujemy. I mamy ciebie – powiedział z uśmiechem. – Mam nadzieję, że wytrzymasz ze mną długo. Nie możesz mnie zawieść, chociaż teraz jesteś bogata.

– Nigdy – zapewniła Bonnie, ruszając skoczka.

Alex odgarnął grzywkę z czoła. Jego policzki były gładko ogolone, ładnie pachniał.

– Uważaj na królową – ostrzegł. – Włóż pizzę do piekarnika. Robimy sobie przerwę.

Simon Hayden przypominał swojego ojca Olava, był tak samo chudy i miał cienkie kostki. Te same niebieskie oczy, ten sam niepokój w ciele. W dorosłym życiu chciał pracować na morzu, jak ojciec. Każdego ranka, kiedy siadał na ławce pod ślimakiem w przedszkolu, patrzył na mamę i pytał: czy myślisz, że pieniądze wkrótce przyjdą?

– Tak – mówiła Bonnie – to nie potrwa długo.

– Ale czy na pewno przyjdą?

– Tak, na pewno przyjdą. Falck to obiecał. A on takie rzeczy wie, bo jest prawnikiem.

Simon już dawno opowiedział Marcie o wielkim szczęściu, o wszystkim, co dostanie, i o wycieczce do Afryki. I o tym, że musi przyjąć dużo zastrzyków i że

wróci do domu ze zdjęciami lwów. Marta stwierdziła, że może zostać zjedzony, ale Simon odparł, że kierowca samochodu na safari ma broń. Kaja zobaczyła, że rozkwitł, że otworzył się na inne dzieci, a rozdzierające serce pożegnania po odejściu matki się skończyły. Czasami biegał po sali i był nie do zatrzymania. Nawet musiała przyznać, że jest nieco zazdrosna, nie było mowy, żeby kiedykolwiek dostała taki spadek. Mimo to cieszyła się szczęściem Bonnie.

Britt była również bardzo podekscytowana tym, co się stało. Życie Bonnie miało wrócić na właściwe tory i nie widziała jej tak szczęśliwej od czasu, kiedy była z Olavem. A opieka nad starymi, zgorzkniałymi ludźmi była czymś, czego ona sama nigdy by nie wytrzymała. Podobała jej się ekscytacja w lotniczym pogotowiu ratunkowym, pierwsze decydujące minuty, fakt, że jej wysiłki mogą ratować życie i że jest ważna. Bonnie też była ważna, ale w inny sposób. Widywały się teraz częściej. Bonnie zarobiła sporo pieniędzy, zatrudniła matkę do opieki nad dzieckiem, a potem pojechały na miasto. Nie obchodziło jej, że robi się późno, gdy rano zadzwonił budzik, od razu zrywała się i budziła Simona, często piosenką. On też szybko wstawał z łóżka. Razem czekali na lato, które miało wkrótce nadejść.

*

Choroba zaczęła siać spustoszenie w jej ciele. Ból kości się nasilił, nadal traciła też na wadze. Nic jeszcze nie powiedziała Eddiemu.

Chodził ze zdziwioną miną, obserwując, jak jego matka chudnie, ale Mass uspokoiła go, tłumacząc, że po prostu się starzeje.

- Wiesz, starzy ludzie nigdy nie są grubi.
- Ale ty przecież nie jesteś jeszcze stara.
- No – odparła. – Niedługo będę.

Pewnego dnia, gdy Eddie siedział przy komputerze, Mass weszła do salonu z dwiema torbami na zakupy. Było jedzenie i picie, gazety i owoce, dla Eddiego czekolada, której nigdy nie miał dość. Mass długo nie było, miała kilka spraw do załatwienia. Z wielką siłą wróciło do niej wspomnienie z zimy, kiedy skończyła trzynaście lat. Postanowiła wtedy zrobić trwałą, ponieważ kilka dziewczyn w klasie ją miało. Ona sama miała proste włosy. To prawda, były długie i grube, ale proste

jak druty. Po długim marudzeniu spełniło się jej życzenie, ale po wizycie u fryzjera wróciła do domu z czymś, co najbardziej przypominało wełnę z czarnej owcy. Kiedy następnego dnia przyszła do szkoły, chłopcy z klasy wyli ze śmiechu, krzyczeli, wrzeszczeli, wytykali ją palcami, beczeli jak owce. Bili pięściami i rzucali w nią gumkami, krzyczeli: „Murzynka! Dzikuska!”. Po ostatniej lekcji wymknęła się do domu, czerwona ze wstydu. Zrozpaczona usiadła przed kominkiem i obcięła włosy nożyczkami tuż przy głowie. Wrzuciła loki do ognia, wciąż pamiętała tamten smród. Kiedy później spojrzała w lustro, wyglądała jak poturbowany ptak. I jakby tego było mało, zrzuciła też z siebie ubrania, też poszły w ogień. Myślała o tym teraz. Stała na środku salonu z zieloną chustą na głowie, a Eddie patrzył na nią ze zdziwieniem, bo matka nigdy nic takiego nie nosiła.

– Taka jest teraz moda? – spytał zdumiony.

– Tak – odparła Mass – miejmy nadzieję, że tak.

– Ale masz takie piękne włosy, nie możesz tego ukrywać.

Odwrócił się z powrotem do ekranu i stukał palcami po klawiaturze.

Mass opadła na krzesło, spojrzała na szerokie plecy syna, na brązowe włosy, które pięknie kręciły się mu na karku.

– Gdzie byłaś? – zapytał, odwracając się ponownie. – Długo cię nie było. Jeśli planujesz dłuższą nieobecność, musisz o tym uprzedzić. Siedzę tu i czekam, i nic nie wiem.

– Byłam u fryzjera – wyjaśniła słabo Mass.

– Co?

Eddie siedział z rozdziawioną buzią.

– Masz na sobie chustę. Fryzura nie wyszła?

– Nie.

Odwróciła się. Zrozumiała, że już nie może unikać rozmowy. To było tak, jakby jakiś zwierz stanął między nimi i warknął, że teraz musi już przejść do sedna. Tchórz.

– Nie mam już włosów – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Co takiego? Nie masz włosów?

– Ogoliłam je – wyjaśniła. – Bo zaczęły wypadać.

– Ale dlaczego? – Eddie był przerażony. – Czy to jakaś choroba? Musisz nosić perukę?

– Nie będę nosić peruki. Włosy wypadają mi przez leki, które biorę.

W końcu Eddie zrozumiał. Odetchnął najpierw raz, potem jeszcze trzy lub cztery razy, a jego głos, zwykle tak potężny, stał się bardzo słaby.

– No tak – powiedział nerwowo – ale odrosną. Widziałem takie rzeczy.

Pokręciła głową.

– Nie – odparła. – To się nie stanie.

– Ale dlaczego nie? Będzie znowu dobrze. – Próbował opanować panikę, która w nim narastała. – Rak? – spytał ostrożnie.

– Tak – potwierdziła. – Rak. Zaczęło się od trzustki. A teraz rozprzestrzenił się wszędzie.

– Siedemdziesiąt procent tych, którzy zachorują na raka, przeżywa – powiedział stanowczo. – Czytałem to w internecie.

– Tak – potwierdziła – wiem o tym. Ale ja nie należę do tych siedemdziesięciu procent. Umrę, Eddie, i prawdopodobnie będzie to niedługo.

– Nie! – pisnął.

– Tak.

– Lekarze często się mylą – zauważył Eddie – a ty jesteś silna, wiem, że jesteś silna. Jesteś twarda jak skała.

Uderzył pięścią w stół.

– Ale rak jest silniejszy. Zostaniesz sam, Eddie, i będziesz potrzebował pomocy. Musisz przyjąć tę pomoc. Ludzie będą tu przychodzić, a ty musisz współpracować. Wiesz, asystent, pomoc domowa. Ludzie z gminy.

Wstał, nie wyłączając komputera.

– Mam trochę oszczędności – ciągnęła – ale od tej pory musisz żyć tylko z renty. I nie możesz żyć na coli i słodyczach. Musisz sobie gotować prawdziwe jedzenie, inaczej będziesz niedożywiony. Słyszysz, co mówię?

– Na pewno się mylisz! – krzyknął z oburzeniem. – Ludzie często się mylą.

Mass wstała z trudem. Czuła intensywny ból kości, wiedziała, że będzie tylko gorzej. Rak zajmie każdą komórkę jej ciała. Nie mogła spojrzeć synowi w oczy, miała tak ogromny ciężar na sercu i w głowie. Poszła do kuchni i otworzyła

lodówkę, chciała usmażyć jajka na bekonie, Eddie poszedł za nią w swoich kapciach w kratę. Usiadł przy kuchennym stole, położył pięści na blacie, przełknął ślinę. Za każdym razem, gdy w jego głowie kształtowała się jakaś myśl, przerywała ją nowa, jak wtedy, gdy płonie ogień, a iskry lecą w niebo, deszcz iskieł trwa tylko tak długo, jak długo jest ogień. Matka martwa w ziemi. Nieznajomi pod drzwiami, którzy żądaliby od niego rzeczy niemożliwych. Żeby wyszedł między ludzi, spróbował dostosowanej do niego pracy. Teraz myślał o wszystkim, co matka zrobiła dla niego przez te wszystkie lata, uważał to za coś oczywistego. Myła, sprzątała i gotowała, robiła zakupy i utrzymywała porządek, ścieliła łóżka. Dbała, by w toalecie był papier, oddawała samochód do serwisu. Płaciła rachunki i wypełniała zeznania podatkowe, których nie rozumiał, kontrolowała jego wydatki.

– Musisz jechać do szpitala? – zapytał z niepokojem.

– Za jakiś czas. Przemyślałam to dokładnie, bo wolałabym leżeć we własnym łóżku. Ale nie możesz się mną tutaj opiekować, to będzie dla ciebie za dużo.

– Ale mogę iść na zakupy i takie tam – powiedział – do apteki po lekarstwa dla ciebie. A jeśli powiesz mi z łóżka, jak coś zrobić, na pewno dam radę.

Podeszła do niego i pogłaskała go po policzku.

– Zrobiłabym wszystko, co się tylko da, żebyś nie musiał przez to przechodzić – szepnęła. – Jesteś moją wielką radością, jesteś moją wielką pociechą, zwłaszcza po odejściu Andersa. Ale teraz musisz być silniejszy niż kiedykolwiek. Musisz dać sobie radę. Możesz się starać, ale musisz mieć kogoś do pomocy. Musisz zorganizować pogrzeb i takie tam, nie dzwoń do Jølstad, to taki drogi zakład.

Eddie nie mógł już mówić. Ojciec go porzucił, a teraz jego matka robi to samo.

– Szczerze, mamó – zaczął. – To nie pójdzie zbyt dobrze.

– Nie wolno ci mówić takich rzeczy – powiedziała z rozpaczą – nie to powinnam usłyszeć przed śmiercią. Do Kopenhagi pojechałeś przecież sam. Pomyśl o tym.

– Może jest życie po śmierci – jęknął z nadzieją. – Nie wiemy takich rzeczy na pewno.

– Nie. Ja wiem to na pewno. Nie ma mowy, żebyśmy dalej żyła, ani tu, ani tam. Tylko w twoich myślach – dodała. – Musisz się z tym pogodzić.

Jedli jajka w milczeniu. Eddie maczał chleb w żółtkach, szurając nerwowo stopami po podłodze. Po posiłku wrócił do komputera, zaczął szukać i uzyskał

wiele trafień. Przez długi czas siedział i czytał o raku trzustki i o tym, jak ostatecznie przerzuca się do szpiku kostnego. Objawy zostały dokładnie wyjaśnione i rozpoznał je. Niekiedy da się operować, ale nie zawsze. Często wykrywa się go za późno. Ostatnia rzecz, którą przeczytał, wystraszyła go. Wśród lekarzy choroba była znana jako cichy zabójca.

*

Czerwiec 2005

Wstał i ubrał się, otworzył drzwi do pokoju mamy i zapytał, czy nie chce jogurtu na śniadanie, miał truskawkowy i melonowy. Mógł oderwać dla niej wieczko i przynieść łyżeczkę. Odmówiła. Wstała z łóżka i z trudnością przeszła przez pokój, jej koszula nocna była przezroczysta, widział chore ciało przez materiał. Poprzedniej nocy spakowali torbę, stała gotowa przy drzwiach, zawierała niewiele rzeczy. Podczas gdy matka ubierała się w łazience, Eddie siedział na krześle i czekał. Wyobraził sobie, że mogliby znaleźć lekarza innego niż doktor Bromann, kogoś, kto wiedziałby lepiej, może mogliby pojechać do Chin, słyszał, że Chińczycy wiedzą wszystko o medycynie. Potem zganił samego siebie. Nie bądź idiotą, Eddie, Chiny są za daleko i za drogo. Ona też by tego nie zniosła, była taka słaba. Wyłoniła się z łazienki i poszli do samochodu. Nie obejrzała się na dom, jej oczy były utkwione w drodze przed samochodem.

Po godzinie Eddie się pożegnał. Znalazł samochód na parkingu, ślimaczył się ostrożnie ulicami. Przed domem zatrzymał się przy skrzynce pocztowej, żeby odebrać gazetę. Ansgar szedł w jego kierunku szybko, a Kennedy deptał mu po piętach.

– Byłeś się przejechać, Eddie? – spytał zaciekawiony.

– Tak.

– No tak... Teraz, wczesnym latem, jest sporo do załatwienia.

Wyjął własną gazetę i stał dalej przy skrzynce, uważnie przyglądając się Eddiemu.

– Dawno nie widziałem twojej matki, czy wszystko w porządku? Nie jest chyba chora czy coś?

Eddie spojrzał na znenawidzonego sąsiada. Ciemne, prawie czarne oczy, nieznosny uśmiech. Jego skóra miała żółty odcień. Eddie wiedział, że Ansgar służył w Afganistanie i był z tego niezmiernie dumny.

– Tak – przyznał – mama jest chora.

– O? Leży w szpitalu?

– Tak. Pojechaliśmy tam rano.

– Ale to nic poważnego, mam nadzieję? – Ansgar zdawał się zaniepokojony. Eddie mocno ścisnął gazetę w dłoni.

– To bardzo poważne. Ona umiera.

Wreszcie, chociaż raz, Ansgar zaniemówił. Wziął Kennedy’ego na ręce i patrząc z przerażeniem na Eddiego, odwrócił się i ruszył z powrotem, aby przekazać żonie szokującą wiadomość.

Eddie zamknął się w domu. Położył pocztę na kuchennym stole i poszedł do salonu. W domu panowała śmiertelna cisza. Ale wydawało mu się, że słyszy nutę, głęboką, złowieszczą, jakby uruchamiała się jakaś wielka i ciężka maszyna. Syczały rury, stukały tłoki, trzaskały ciężkie drzwi, już nigdy miały się nie otworzyć.

*

Czerwiec był zimny i wietrzny. Simon nadal chodził do przedszkola w cienkiej czapce. Dużo też padało, musiał więc nosić kalosze. Przestał pytać o pieniądze, prawie się poddał. Wieczorami siedział smutny przed telewizorem, podczas gdy Bonnie robiła wszystko, co w jej mocy, aby podnieść go na duchu. Ale takie już były dzieci, nie miały cierpliwości. Nie mogły się doczekać Bożego Narodzenia, urodzin, wakacji. Zabrała go więc do biura podróży, usiedli w osobnych fotelach, a Bonnie wyjaśniła, że potrzebują pomocy w zaplanowaniu podróży do Afryki.

– Jeszcze nie zamierzamy wyjeżdżać – powiedziała – czekamy na przelew i nie bardzo wiemy, kiedy nadejdzie. Ale wkrótce. Jakiego kosztu powinniśmy się spodziewać? Dla nas dwojga, na dwa tygodnie? Na safari?

Ekspedient wyszukał coś na komputerze.

– Polecilibym Tanzanię lub Kenię – powiedział – najpierw lot bezpośredni z Gardermoen na Heathrow. Następnie z Heathrow do Nairobi. Wtedy będziecie mieć tydzień na sawannie z przewodnikiem, a potem tydzień dla siebie w dobrym hotelu. W Mombasie. Nad Oceanem Indyjskim.

– To brzmi bardzo drogo. – Zaśmiała się Bonnie, czuła się bardzo swobodnie. – Jakiego kosztu powinniśmy się spodziewać?

– Myślę, że około pięćdziesięciu tysięcy. Za wersję *all inclusive*, z jedzeniem i wszelkimi wygodami.

– Będziemy mieszkać w namiocie? – zapytał Simon z nadzieją.

– Nie, w małych domkach, są bardzo ładne. Mają dachy kryte strzechą i trzeba się wspiąć po małej drabince. Żeby zwierzęta nie dostały się do środka. I nie wolno karmić małp – dodał z powagą – to surowo wzbronione.

– Gryzą?

– Tak, gryzą i kradną jedzenie. I można od tego zachorować. Wybierając się do Kenii, trzeba podjąć mnóstwo środków ostrożności. Potrzebny jest zestaw szczepień. Są takie miejsca, gdzie fotografowanie jest zabronione, przewodnik o tym poinformuje.

Zabrali gruby katalog i jeszcze tego samego wieczoru usiedli na kanapie, by go przejrzeć. Bonnie wskazywała i wyjaśniała. Simon odzyskał nadzieję, że wkrótce nadejdzie duży spadek, wyobraził sobie, jak prawnik Falck zanieś pieniądze w wielkiej torbie do banku. Był tak podekscytowany, że prawie nie mógł spać, mama musiała mu przeczytać kilka książeczek, nim w końcu się uspokoił. Bonnie też była podekscytowana. Chyba oszalałam, żeby podróżować tak daleko z pięciolatkiem. Pocieszała się, że będą przecież przemieszczać się z grupą. Każdy krok był zaplanowany. Nim położyła się spać, zadzwoniła do Britt i długo rozmawiały o wszystkim, co miało się wydarzyć. Britt i Jens lecieli na Krete, bywali tam od wielu lat i wracali zawsze bardzo opaleni.

Czuła, że dni mijają szybko. Jeździła od drzwi do drzwi i śledziła prognozę pogody na wypadek, gdyby miało się zacząć upalne lato. Meteorolodzy obiecywali fantastyczny lipiec, być może z tropikalnymi upałami. Powiedziała Simonowi, że wszystko będzie lepiej w lipcu, wtedy też miał urodziny, w czwartek, dziesiątego.

– Będziesz miał już pięć lat – dodała – a to już połowa drogi do dziesięciu. Jak to możliwe, że jesteś taki duży? Na zimę możesz mi pomóc odgarniać śnieg, jestem pewna, że dasz radę, nabrałeś już mięśni.

Objęła go delikatnie. O tak, był bardzo silny. Babcia Henny powiedziała kiedyś, że to on jest panem domu i że musi pomagać mamie, jak tylko może. Teraz chodził po pokojach krokiem dorosłego mężczyzny, czekając na ciepło Afryki.

*

Pewnego wieczoru, gdy Eddie wrócił do domu, po długim siedzeniu przy łóżku matki, stało się coś, co go przeraziło. Stojąc w drzwiach do sypialni, zauważył dziwny kształt zwisający z karnisza. W pokoju było ciemno, żaluzje jak zawsze opuszczone. Zapalił światło. Nie mógł pojąć tego, co zobaczył, to było coś zupełnie obcego. Przypominało zgniły owoc. Albo martwego ptaka. Wydawało mu się, że widzi nogi i parę dużych uszu. Wisiało tam zupełnie nieruchomo, więc cofnął się do salonu i zamknął drzwi. Zorientował się, że okna w kilku pokojach były otwarte przez cały dzień i przez nie wdarło się jakieś paskudne stworzenie. Nie wiedział, co robić. Może powinien położyć się w łóżku matki i po prostu poczekać, aż problem sam zniknie. Ale nie zniknął, wisiał tam jak zły omen. Zebrał się w sobie i poszedł do kuchni, znalazł w szufladzie latarkę i wrócił do pokoju. Stał przez chwilę w drzwiach i patrzył, zbliżył się do stworzenia wolnym krokiem i zapalił światło. Wiązka światła prześlizgnęła się przez zasłonę, w końcu zrozumiał. Nagie zwierzę, bez piór i futra, za to z małymi uszami i cienkimi złożonymi skrzydłami. Nietoperz. Eddie wiedział, że nietoperze to dzikie stworzenia. Mogą ugryźć, jeśli poczują się zagrożone, i bywają nosicielami wścieklizny. Musiał więc pozbyć się tej bestii, matka nie mogła już mu pomóc, jednocześnie nie śmiał się zbliżyć, więc ponownie opuścił pokój. Przyniósł długą miotłę z pralni. Otworzył drzwi i okna, podszedł ostrożnie i szturchnął zwierzę kijem. I nagle zaczął się szalony spektakl. Eddie odsunął się zaskoczony, nietoperz latał histerycznie po pokoju, zataczając szybkie kręgi wokół lampy, nigdy nie widział takiej prędkości. Stał na środku salonu i czekał ze swoją długą miotłą uniesioną jak broń. Oszalałe zwierzę nie mogło znaleźć wyjścia, było wszędzie. Nagle pojawiło się tuż przed nim. Machał dziko

rękami, aż z wielką ulgą zobaczył, że nietoperz w końcu zniknął za otwartym oknem salonu. Natychmiast podbiegł, aby je zamknąć. Postanowił nigdy więcej, nawet latem, nie otwierać okien, na zewnątrz były nie tylko nietoperze, ale i osy. Potem usiadł na krześle pod lampą i oglądał uważnie ramiona. Na lewym nadgarstku żyły były cienkie, biegły na zewnątrz w kierunku dłoni jak trójzębny widelec. Ale na drugim nadgarstku wyglądało to inaczej, żyły wydawały się większe, może dlatego, że to dominująca ręka. Od lewej do prawej biegła gruba niebieska żyła. Przyłożył palce i wyczuł tętno, biło szybko.

*

Staruszkowie obawiali się wakacji, bo wtedy Bonnie miała mieć wolne i musieli pogodzić się z zastępstwem, które może im się nie spodobać. Gjertrud bała się, że będzie musiała schować butelkę okowity, nie miała przecież pojęcia, kto zapuka do drzwi. A Alex znów tracił partnera do szachów. Bonnie próbowała się trochę bardziej postarać, solennie obiecała wrócić, ale kiedy powiedziała im, że jadą do Kenii, wzbudziła spory niepokój.

– Tam jest kara śmierci – rzucił Alex. – Student ukradł kiedyś komputer na uniwersytecie i został powieszony.

– To straszne – powiedziała Bonnie ze śmiechem. – Ale ja nie jestem przecież przestępcą, nie zamierzam ukraść nawet kokosa. Będziemy bardzo grzeczni.

Wieczorami siadała z Simonem i pisała długie listy. Co mieli ze sobą zabrać, co musieli załatwić, Britt dała jej wiele dobrych rad i obiecała dzwonić co wieczór. Henny także się niepokoiła.

– Czy nie mogłabyś zamiast tego polecieć na Majorkę? – spytała. – To chyba wystarczy.

– Nie – odparła Bonnie – chciałam, żeby Simon zdecydował. Do tej pory nie mogłam spełnić wielu jego życzeń.

*

Niekiedy Eddie spacerował po ogrodzie i przyglądał się wszystkiemu, co tam rośło. Matka nauczyła go nazw kwiatów, pierwiosnków omszonych, floksów i tulipanów, serduszek okazałych i frezji. Od czasu do czasu starał się pielnić, nie radził sobie z tym dobrze, ale nadal pielęgnował ogród najlepiej, jak potrafił. Miał też problemy z pralką, chociaż wciskał wszystkie guziki, nie startowała. Migła tylko na czerwono małą lampką. Dlatego dzień w dzień chodził w bluzie z rottweilerem. Zastanawiał się, czy może nie powinien poinformować Ingi Nielsen, mógłby zapytać matkę, ale znał jej odpowiedź, więc odłożył to na później. Był dwudziesty czerwca i czekały go letnie upały. W niektóre dni wiał jeszcze ostry wiatr.

Matka odczuwała teraz tak silny ból, że nie mogła się ruszyć. Małe, przezroczyste kropelki morfiny kapały z woreczka kroplówki prosto do jej żył. Nie rozmawiali już za dużo. Eddie siedział pogrążony we własnych myślach, a Mass leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami.

To były jej ostatnie dni.

Eddie nie opuścił miejsca przy jej łóżku, trzymał ją mocno za rękę, siedział pochylony do przodu na krześle, aż bolały go plecy. Pielęgniarki cały czas do niego zaglądały, mówiły mu miłe słowa.

– Wolałbyś być sam?

– Tak.

– Boisz się?

– Tak.

Od czasu do czasu matka otwierała oczy, jakby chciała sprawdzić, czy nadal tam siedzi. Czowała, że ścisnął jej dłoń, ale nie miała siły odwzajemnić uścisku. Jej usta stały się suche i spierzchnięte, a bezwłosa skóra głowy przybrała kolor wosku. Eddie przygotowywał się na śmierć, która miała wkrótce nadejść. Kiedy zapadł wieczór, stało się jasne, że matkę coś męczy. Próbowała odwrócić głowę, żeby złapać jego wzrok.

– Eddie – zaczęła – muszę ci coś wyznać.

– Tak, mamo, zrobię wszystko, co zechcesz.

– Nie, nic nie możesz zrobić. Ale jest coś, o czym musisz wiedzieć. Nie mam już czasu.

Eddie pochylił się nad łóżkiem.

– Anders – szepnęła. – Anders Kristoffer. On nie był twoim ojcem.

Eddie puścił rękę matki jak oparzony.

– Mówisz od rzeczy – stwierdził. – Byłem na jego grobie!

– Tak. Ale on nie jest twoim ojcem. Nie takim prawdziwym.

Eddie zakołysał się na krześle. Pomyślał o dwóch zdjęciach wiszących na ścianie w jego sypialni, na które patrzył każdej nocy przed zaśnięciem. Ojciec i on sam. Inga i Mads. Teraz odebrała mu to wszystko w ciągu sekundy.

– Ale kto jest w takim razie moim ojcem? – zapytał słabo. Mass zamknęła oczy.

– Nigdy go nie znajdziesz, Eddie, zostaw to w spokoju.

– Czy on też nie żyje?

– Nie wiem. Nie wiem, gdzie on jest. Zapomnij o tym.

– Czyli się puszczałaś? – zapytał. – Ilu ich było?

– Nie. To nie tak, jak myślisz.

Myśl o szukaniu nowego ojca prawie zapała mu dech w piersiach. Nie ma ojca, nie ma brata w Nowym Jorku. Ale najbardziej martwił go fakt, że matka go okłamała. Żył w kłamstwie przez całe życie i nie wiedział, czy zdoła jej wybaczyć. Chociaż może miała jakieś powody, by zachować to w sekrecie. Wyglądała, jakby spała. Pomyślał, że może już nie żyje.

Ale po chwili się ocknęła. Zakaszła bez siły, a w kąciку jej ust pojawiła się pojedyncza kropla krwi.

– Musisz mi wybaczyć, Eddie – szepnęła. – Chciałam dla ciebie jak najlepiej. Prawda nie zawsze jest najlepsza. Świetnie się razem bawiliśmy, ty i ja, czyż nie?

– Tak.

– Dlatego musisz zachować spokój, kiedy powiem ci coś jeszcze.

Eddie nie wiedział, czy odważy się słuchać.

– Nie jestem twoją matką, Eddie – powiedziała Mass. – Nie taką prawdziwą.

*

Długo siedział na krześle jak sparaliżowany.

Podszedł do okna. Daleko w dole zobaczył parking ze wszystkimi samochodami. Za nim znajdowało się zielone wzgórze, na które mieszkańcy miasta chodzili na spacerów zarówno latem, jak i zimą. On sam był tam z Mass, najpierw jako dziecko, w niebieskim samochodzie sportowym simo, później na własnych nogach. Aby dostać się na szczyt, musieli przejechać przez tunel, który nazwali Spirala, pośrodku tunelu stał duży troll. Odwrócił się z powrotem do łóżka.

– Nie mogłam mieć własnego dziecka – mówiła Mass. – Na początku byliśmy rodzicami zastępczymi, Anders i ja, miałeś wrócić do biologicznej matki. Ale ostatecznie tak się nie stało. Po roku formalnie cię adoptowaliśmy. Powinieneś wiedzieć, że byłam bardzo szczęśliwa, Eddie, zawsze byłam.

Podszedł do łóżka i pochylił się nad matką.

– Ale moja prawdziwa matka – powiedział zdeorientowany. – Dlaczego mnie nie chciała?

– Było kilka powodów. Nie wszystko da się tak łatwo wytłumaczyć.

– Ale jak ona się nazywa? Gdzie mieszka? Czy tego też nie wiesz? Musisz wiedzieć, mamó, ja muszę wiedzieć!

Mass gmerała po kołdrze dłońmi. Krew słabo płynęła w jej żyłach, ledwo biło jej serce.

– Nie jestem pewna, czy powinieneś jej szukać – powiedziała. – Nie ma pewności, że takie spotkanie pójdzie dobrze. Pamiętasz Adelinę Susann, która podróżowała do Lahore?

– Ale dlaczego miałyby nie pójść dobrze? Czy może jest biedna?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Będzie przecież szczęśliwa, że mnie zobaczy, prawda?

– Miała zaledwie piętnaście lat, kiedy zaszła w ciążę – wyjaśniła Mass – i szesnaście, kiedy się urodziłeś. Oddała cię, nie mogła cię zatrzymać, była o wiele za młoda.

Eddie wybuchnął. Na kilka sekund stracił panowanie nad sobą, Mass nie rozpoznawała jego głosu, był ochrypły, jakby zardzewiały. Pochylił się nad łóżkiem i położył pięści po obu stronach jej głowy.

– Powiedz mi, kto to jest! – wrzasnął. – Natychmiast!

*

Mass umarła tak cicho. Z sekundy na sekundę oddalała się od niego, żadnej walki, żadnego ruchu, tylko małe westchnienie. Jej oczy były otwarte, ale już go nie widziała.

Skontaktował się z domem pogrzebowym Eiker i poprosił o pomoc.

Wolał przyjść do biura, w domu nie chciał nikomu otwierać drzwi, a obiecali, że wszystko załatwią zgodnie z jego życzeniami. Długo siedział i przeglądał katalogi. Zdecydował się dość szybko i zamówił najtańszą białą trumnę za sześć tysięcy koron. I absolutnie najtańszy nagrobek od zakładu kamieniarskiego Kruttverket. Nie chciał stypy, i tak prawie nikt by na nią nie przyszedł, poza tym to kosztowało, a jego nie było na wiele stać. Nie znał też psalmów ani nie chciał iść za trumną do grobu, inni mogli ją wynieść, sam chciał jechać prosto do domu i lizać rany. Powiedzieli, że może wystąpić o wsparcie w NAV, że pomogą mu wypełnić formularze i powiadomią wszystkie instytucje publiczne o śmierci matki. Eddie się zgodził. Poprosił, żeby zamówili prosty wieniec bez wstęgi, bo nie miał nic do napisania. Nie było też mowy o śpiewach, po prostu chciał mieć to już za sobą.

Tego samego wieczoru, kiedy wszystko było już postanowione, usiadł w domu na fotelu. Policzki mu płonęły. Położył na nich dłoń i poczuł, że są ciepłe, a po chwili podszedł do lustra w łazience, żeby się przyjrzeć.

Był czerwony na twarzy i szyi. To, co wyznała mu Mass, rozpaliło w nim ogień. Jego prawdziwa matka oddała go, bo go nie chciała, oddała jako niepotrzebnego śmiecia, przeniosła go jak paczkę, a teraz prawdopodobnie miała inne dzieci, które kochała bardziej. Usiadł z powrotem na fotelu i zgasił wszystkie lampy. Policzki nadal płonęły i szczypały, przecież nie wychodził nigdy na słońce, nie rozumiał. Siedział bardzo nieruchomo i czuł ten ogień, samotny w ciemności.

*

Ansgar pojawił się na pogrzebie, ale miał dość rozsądku, żeby usiąść z tyłu. Eddie nawet na niego nie spojrział. On sam z wielkim trudem patrzył na białą trumnę. Wiedział, że w środku jest Mass, ale nie mógł tego pojąć, a kiedy organy grały

żałobne tony, miał wrażenie, że kościół się kurczy. Skulił się na twardej ławce. Pomyślał, że pastor jest źle ubrany, w prosty strój i ze sznurem wokół talii. Nie znasz Mass, pomyślał, nie wiesz, o czym mówisz. Bóg nie miał z tym nic wspólnego.

Po nabożeństwie pastor chciał podać mu dłoń. Po tym słabym uścisku dłoni, bez przekonania, Eddie ruszył do wyjścia. Kiedy stał przy samochodzie, podszedł Ansgar, by powiedzieć mu kilka słów. Eddie zacisnął usta, otworzył drzwi samochodu i wsiadł. Sąsiad wsadził głowę do środka.

– To okropne, Eddie – powiedział – co teraz z tobą będzie? Dasz radę sam czy pójdiesz do jakiegoś ośrodka?

*

Pod koniec czerwca w końcu zrobiło się ciepło, wielu czekało na lato, teraz wreszcie nadszedł ich najlepszy czas. O tym marzyli przez całą długą, mroźną zimę. Pewnego dnia Bonnie odebrała ważny telefon. To Christian Falck zadzwonił z informacją, że spadek został wreszcie przekazany. Życzył jej powodzenia. Odłożywszy słuchawkę, Bonnie uniosła Simona w powietrze.

– W końcu – płakała i tańczyła w salonie. – Jutro jedziemy do biura podróży i rezerwujemy wycieczkę do Afryki.

Otworzyła drzwi i okna, nie mogła się już powstrzymać, zadzwoniła, by sprawdzić saldo. Potem poszła do łazienki i spojrzała w lustro na szczęśliwą Bonnie. Pomyślała, że może powinna powiedzieć Olavowi, dzięki swojemu nowemu bogactwu stała się tak ugodowa, że mogła wszystko wybaczyć. Odrzuciła jednak ten pomysł. Poradzę sobie bez ciebie, pomyślała. Zobaczysz.

Wycieczka do Afryki została zarezerwowana na połowę sierpnia. Dlatego wzięła tylko tydzień urlopu od pierwszego lipca. Spłaciła długi w banku, kupiła Simonowi nowy rower, a sobie drogą sukienkę, białą, w biedronki. Jesienią planowała kupić nowego opla prosto z salonu. Poszła do fryzjera i przycięła długie jasne włosy, które Olav zawsze tak lubił. Kiedy zbierała je w długi warkocz, Olav zawsze ściągał gumkę, tak że włosy spływały jej kaskadami na ramiona. Teraz nadeszła jej kolej, by wyjść na słońce.

*

Eddie wsiadł do samochodu i pojechał do Blåkollen. Otrzymał dokładny adres w informacji. W niewielkiej odległości przed domem zjechał na bok i się zatrzymał. Był mały i żółty, z zielonymi framugami, wyglądał na dosyć stary. Pod ścianą stały dwa rowery, a na żwirowym podjeździe zaparkowano starego opla. Jestem na miejscu, pomyślał. Tego się nie spodziewałaś. Nie puścił kierownicy. Słyszał swój przyspieszony oddech. Kiedy tak siedział i rozmyślał, z domu wyszedł mały chłopiec z kaskiem pod pachą. Podszedł do roweru i założył kask na głowę, a na schodach pojawiła się piękna blondynka.

Oto ona. Była jak anioł. Była harfą, była płomieniem świecy, klejnotem. Zeszła na żwir, kołyszącym krokiem. Położyła rękę na głowie chłopca z czułością i oddaniem, jak ksiądz błogosławiący niemowlę. Wyglądało to tak, jakby dawała chłopcu wskazówki, gdzie wolno mu jeździć. Więc miał brata, małego szkraba. Który teraz przejął wszystko, co należało do niego. Bonnie Hayden.

Tam mieszkali, we dwojkę, zawsze mieli być razem. Tego synka nigdy nie odda. Wróciła do środka. Chłopiec wytoczył rower na drogę i gdy już miał na niego wsiąść, Eddie wysiadł z samochodu. Podszedł kilka kroków i przyjrzał mu się uważnie.

– Jak masz na imię? – zapytał, stając przed chłopcem.

– Simon.

– A twoja mama ma na imię Bonnie?

– Tak.

Wyraźnie chciał odjechać, ale Eddie położył wielką dłoń na kierownicy.

– A ile masz lat?

– Pięć.

Odwrócił się i spojrzał na dom, jakby chciał, żeby matka go uratowała, ale Eddie nadal go trzymał. Zmrużył oczy, spoglądając na jego zaniepokojoną twarz, zauważył każdy najmniejszy szczegół, loki i niebieskie oczy, był tak piękny jak jego matka. Eddie potrząsnął mocno kierownicę roweru. Chłopczyk z trudem utrzymywał równowagę, twarz mu pobladła ze strachu. Eddie nadal szarpał rowerem, cały czas obserwując chłopca z czarnymi oczami. Potem go puścił

i wrócił do samochodu, usiadł i śledził dziecko wzrokiem. Rower zakołysał się trochę i zniknął na drodze.

Wrócił tej samej nocy, o trzeciej. Zaparkował w pewnej odległości i poszedł w stronę domu, myśląc, że teraz oboje śpią, może blisko siebie, może w tym samym łóżku, jak on i Mass, kiedy był mały. Wszedł po schodach i przeczytał tabliczkę na drzwiach, wyglądała na wykonaną ręcznie. Tu mieszkają Bonnie i Simon. Potem znowu zszedł na dół i zrobił rundkę wokół domu. Z tyłu była duża klatka z dwoma małutkimi królikami, gapił się na nie przez chwilę. Siedziały tam, ściśnięte, równie przerażone jak chłopiec, Eddie uderzył kilka razy pięścią w siatkę. Wtedy skuliły się w najdalszym kącie, blisko siebie. Wpatrywał się w ciemne okna, zastanawiając się, gdzie jest sypialnia, nie dało się zajrzeć do środka. Potem znów usiadł na schodach. Czuł, że ma prawo tam siedzieć, to powinien być jego dom. Tkwił tak, aż zaczęło się przejaśniać, wkrótce oboje mieli wstać. Wtedy odjechał na koniec ulicy i czekał. O siódmej jasnoniebieski opel ruszył z miejsca. Obserwował ich, gdy go mijali, potem podążał za nimi w pewnej odległości.

Do przedszkola Simona nie było daleko. Zatrzymał się tuż przy bramie i zobaczył, jak Bonnie wysiada z samochodu, pomaga Simonowi, po czym razem wchodzi do środka. Mass była zawsze w domu, pomyślał, opiekowała się mną.

Po pięciu minutach wyszła ponownie. Było gorąco, miała na sobie sukienkę i białe sandały. Podążył za nią do centrum, gdzie zniknęła w jakimś domu. Po godzinie oczekiwania odjechał. Wszedł do sypialni Mass, otworzył jej szafę. Wpatrywał się w płaszcze i sukienki, na dole stało kilka par butów. Przez chwilę wachał ubrania, a kiedy skończył, zamknął drzwi szafy. Jej łóżko wyglądało tak samo jak w dniu, w którym poszli do szpitala, teraz chciał je wreszcie pościelić. Zrobił, co mógł, wygładzając prześcieradło i spulchniając poduszkę, a na końcu przykrył wszystko narzutą. Nigdy więcej nie chciał wchodzić do tego pokoju, nigdy. Skoncentrował się na Bonnie i swym bracie, Simonie, śledził ich przez kilka dni, obserwował ich rutynę. Cały czas pilnował, aby parkować w pewnej odległości, choć nie bał się, że zostanie zauważony. Mógł podejść do niej i powiedzieć, że jest jej synem. I zapytać ją, dlaczego go oddała, zobaczyłby rozpacz w jej oczach. Wstyd i hańbę. Jak u matki Adeliny Susann nad rzeką Ravi.

W końcu zorientował się, że pracuje jako jakaś pomoc domowa, chodziła od domu do domu, może sprząta, pomyślał. Po pracy odbierała Simona z przedszkola, po czym jechali do sklepu po jedzenie. Simon często trzymał w ręku bułkę, żuł ją i podgryzał. Zawsze byli we dwoje. Bonnie trzymała Simona za rękę, głaskała go po włosach i policzku, a czasem podnosiła go i przytulała. Było w niej coś troskliwego i szczerego, od czego on stawał się coraz bardziej zgorzkniały i miał coraz cięższe serce. Przez cały czas jego policzki płonęły, gorzej niż kiedykolwiek. Ogień rozprzestrzenił się na głowę i serce.

Była niedziela i Bonnie miała dzień wolny. Zabrała Simona i pojechali do Geirastadir. Simon miał małą torbę na plecach, zniknęli w kierunku Svarttjern. Eddie został w samochodzie i śledził ich wzrokiem.

*

Sierpień 2005

Pewnego dnia pod koniec miesiąca gospodarz Randen przyszedł do domu robotników, aby porozmawiać z Wojciechem. Dzwonił zarządca cmentarza z Haugane, potrzebował kogoś do pomalowania długiego ogrodzenia. Człowiek, który pierwotnie miał to zrobić, uszkodził kręgosłup i nie mógł pracować, a drewno było już suche i potrzebowało warstwy ochronnej. Wojciech od razu się zgodził, potrzebował każdego grosza i podobały mu się okolice kościoła Haugane. Lubił pracować na zewnątrz, od razu zabrał się do roboty. Ogrodzenie miało być białe, jak kościół. Klęczał w zielonej trawie i pracował pilnie, jak zawsze, gdy czegoś się podejmował. Wojciech był szczęśliwym człowiekiem, dobrze mu się żyło. Był zdrowy i silny i miał rodzinę, idealnie. W regularnych odstępach czasu ludzie przychodzili na cmentarz pielęgnować groby, nosili konewki, łopaty i kwiaty, klękali i sadzili. Ciągłe widywał starszą kobietę opiekującą się grobem dwojga zabitych w Skarven. Widział, jak idzie ciężko między pomnikami, z pochyloną głową i skulonymi plecami. A potem powoli, powoli przez kutą żelazną bramę.

Pewnego dnia, gdy właśnie skończył pracę i miał wsiąść do samochodu, zauważył mężczyznę, który zaparkował obok. Wyszedł i skierował się w stronę

cmentarza, a Wojciech śledził go wzrokiem, nie bardzo wiedząc dlaczego. Było coś dziwnego w pracy jego nóg. Był ciężki i powolny, ubrany całkowicie na czarno. Nie miał też nic ze sobą, ani kwiatów, ani łopaty, ani konewki, ale nie był też tylko na spacerze, zmierzał w konkretne miejsce. Wojciech czekał. Mężczyzna stanął przy grobie Bonnie i Simona. Po prostu stał i patrzył, jakby nie do końca wiedział, co robić. Oczywiście wiele osób odwiedzało szczególnie tę dwójkę, czasem z ciekawości. Sprawa była tak przerażająca, że przyciągnęła uwagę nawet daleko poza granicami kraju. Wojciech obejrzał uważnie zaparkowany obok niego samochód. Jak wszyscy inni, czytał gazety, wyłapał wiele rzeczy, więc starał się być czujny. Mężczyzna stał tam, grzebiąc w ziemi piętą, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach. W końcu wrócił na parking i wsiadł do samochodu. Zniknął w klonowej alei.

Wojciech pojechał prosto do komisariatu. Miał czas, nie innego do roboty nie zaplanował. Tam poprosił o rozmowę z Sejerem, wszedł do jasnego gabinetu i przywitał się z Frankiem.

– Muszę zgłosić jedną drobnostkę – powiedział skromnie. – Pracuję przy kościele. Maluję ogrodzenie. Ludzie przychodzą na groby. Tak, do tych dwojga. Dzisiaj przyszedł mężczyzna. Nie widziałem go wcześniej.

– I zwrócił pana uwagę? – spytał Sejer. – Dlatego tu pan jest? Co pan zauważył?

– To nie był drobny facet. Wysoki i potężnie zbudowany. Stał tam przez długi czas, a ja usiadłem w samochodzie i się przyglądałem.

– Czy widział, że jest obserwowany?

– Nie, był jakby nieprzytomny.

– A ile mógł mieć lat?

– Poniżej trzydziestki. Nie miał siwych włosów. Czarna bluza i buty. Dziwne, wysokie buty przy tym upale. Jego samochód stał obok mojego. Czekałem. Jechał bardzo wolno drogą.

– Innymi słowy, widział pan ten samochód z bliska – powiedział Sejer – może to być dla nas bardzo ważne.

– Tak – potwierdził Wojciech. – Ten samochód wyglądał jak ten, który widziałem kiedyś. Obejrzałem go dokładnie, zanim właściciel wrócił.

Sejer skinął głową. Nie mógł utrzymać rąk w bezruchu, otwierał je i zamykał, siedział i bębnił palcami po mapie świata, którą miał przed sobą.

– Co to był za samochód? – zapytał.

Wojciech wydawał się dumny.

– Opel omega kombi – powiedział. – Czerwony.

Sejer wiedział już, że sprawa zostanie rozwiązana. Był tego pewien przez cały czas. Nie czuł radości ani triumfu, tylko ulgę i satysfakcję. Miał wrażenie, że zrobił coś ważnego, coś znaczącego. Dla Henny i Henrika Haydenów. Dla wszystkich, których to dotknęło, dla całej wioski Haugane. Dla służb, do których należał, oraz dla Bonnie i Simona. Wojciech szykował się do wyjścia, ale najpierw wyjął komórkę z kieszeni zielonych roboczych spodni. Wpisał coś i położył telefon na mapie świata – a dokładniej na Krakowie.

– Numer – powiedział – proszę. Zanotowałem go.

*

Henny Hayden zawsze była bystra, rozumiała ludzi. Wyłapywała szczegóły i niuanse, tak, miała intuicję. Na widok dwóch inspektorów od razu zrozumiała, że coś się stało.

– O co chodzi? – spytała.

– Zaraz wyjaśnimy – odparł Konrad Sejer. Zaprosiła ich do środka.

Powiedzieli jej o samochodzie pod kościołem, że mają numer rejestracyjny, że to ten czerwony samochód, który widziano w pobliżu domu Bonnie i przedszkola. I że sprawdzili, kto jest jego właścicielem.

Henrik był w domu z wizytą, siedział przy oknie w szlafroku w czerwono-niebieskie paski, kiedy weszli, odwrócił głowę i uśmiechnął się niepewnie. Jak dziecko nierozumiejące, czego chcą dorośli, blady, chudy i bezbronny. Spomiędzy rozchylonych poł wyłaniała się pierś pokryta rzadkimi jasnymi włosami. Mięśnie, które miał w młodości, zamieniły się w tłuszcz. Za uchem przechodził przewód, jasny i cienki jak bawełniana nić, używał aparatu słuchowego.

Znów usiedli i spojrzeli na Henny.

– Zna pani nazwisko Malthe? – zapytał Sejer. – Thomasine Malthe?

Henny spojrzała na nich, wyraźnie zdezorientowana. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Malthe, nie, to nie była prawda.

– Spodziewaliśmy się, że będzie to mężczyzna – wyjaśnił Sejer – trudno nam uwierzyć, że Bonnie i Simona zamordowała kobieta. Ale Thomasine może mieć męża. Nasz świadek zauważył coś ważnego na cmentarzu. Mężczyzna jest stosunkowo młody, grubo poniżej trzydziestki.

Henny nadal była zdezorientowana. Potrząsała głową, jakby to, co się teraz działo, było nierealne, jakby kompletnie się pomylili. Dawne wspomnienie wstrząsnęło nią niczym grom.

– Zna ją pani? – powtórzył Sejer.

– Nie. Właściwie nie.

– Ale wie pani kim ona jest?

– Tak.

– Czy jest coś, co chciałaby pani nam powiedzieć, co pani przed nami ukrywała?

– Muszę?

– Tak.

– Ale przecież to nie ma nic wspólnego ze sprawą.

– Zobaczymy.

– Ma syna – powiedziała ostrożnie.

– Syna?

– Tak. Thomasine Malthe ma syna. A on ma dwadzieścia jeden lat.

– Wie pani coś więcej o tym synu?

– Tak. Skoro to ważne.

– To ważne.

– Powinam była powiedzieć od razu?

– Tak.

Nie patrzyła już na nich. Wydawała się przygnębiona i zawstydzona, jakby walczyła o życie.

– Proszę nam opowiedzieć o Thomasine i jej synu.

Wzięła oddech.

– W wieku piętnastu lat Bonnie miała chłopaka. Mówiłam już o nim, nazywał się Jørgen. Nigdy go nie poznaliśmy, nigdy nie przyprowadziła go do domu, bo Henrik był taki surowy. Po kilku miesiącach on zakończył ich związek i Bonnie całkowicie się załamała, nie mogliśmy uwierzyć, że tak ciężko to zniosła. Mogła przecież znaleźć kogoś nowego, bardziej pasującego do niej. Była najpiękniejsza ze wszystkich koleżanek. Wydawało nam się to bardzo dziwne. Dziewczyny w jej wieku nie wiążą się przecież na długo. Sama miałam pięciu chłopaków przed Henrikiem.

– Ale nie znalazła nowego chłopaka?

– Nie. Jakby w ogóle nie próbowała. Po kilku miesiącach prawdy nie dało się dłużej ukryć, Bonnie była w ciąży. Dlatego właśnie to zakończył, nie chciał dziecka, takim był tchórzem. Nie zauważyliśmy, że jest już w którymś miesiącu, Bonnie była dobrze zbudowaną dziewczyną. Wtedy.

– Kontaktowali się państwo z Jørgenem? – spytał Skarre.

– Nie. Nie chciała nam podać jego nazwiska, nigdy go nie poznaliśmy. Mimo to zamierzała urodzić to dziecko, uparła się. Robiła to jakby na złość, być może po to, by go ukarać. A Henrik był absolutnie wściekły, że nie chce podać jego tożsamości. Zapowiedział, że jeśli dowie się, kto to jest, zemści się na nim. Groził, że stłucze go na kwaśne jabłko.

– Ale nigdy tego nie zrobił?

– Nie.

– Więc Bonnie była w ciąży. Co było dalej?

– Musieliśmy wyznaczyć wszystkim w naszej rodzinie, że po prostu nie wiemy, kto jest ojcem. Jakby było dużo kandydatów, cała masa. Wstydziałam się wtedy za Bonnie, będę szczerą. Nie poznawałam jej, była jak opętana. Chodziła po domu, trzaskając drzwiami. Nie chciała rozmawiać, ciągle leżała w łóżku. Henrik był w szoku, nie mieliśmy pojęcia, jak się sprawy potoczą. Bonnie miała tak wiele planów. Miała studiować medycynę. Miała pracować na geriatricy, gdzie prawie nikt inny nie chciał.

– A potem urodziła syna?

– Tak. Miała szesnaście lat. Urodził się dość wcześnie i długo leżał w inkubatorze. W końcu pojawił się w naszym domu. Ale wtedy Bonnie nie chciała go widzieć. Nie chciała karmić piersią, nie chciała się nim zajmować, to ja

musiałam wszystko robić. A potem, jakiś czas po porodzie, przestała jeść. Z dnia na dzień. To było jak grom z jasnego nieba. A potem Henrik i ja mieliśmy tyle do załatwienia, że po prostu się poddaliśmy. To ten chłopczyk wszystko zrujnował, my też go nie chcieliśmy. Dlatego został umieszczony w rodzinie zastępczej, tu niedaleko. I mogliśmy skoncentrować się na ratowaniu życia Bonnie. Schudła poniżej czterdziestu kilogramów. Później chłopiec został formalnie adoptowany i nadano mu nazwisko Malthe. Po Thomasine i Andersie Kristofferze Malthem.

– I co dalej? Mieliście z chłopcem kontakt przez te wszystkie lata? Czy Bonnie miała z nim jakiś kontakt?

– Nie mogliśmy tego znieść. To okropne, co powiem, ale razem staraliśmy się o tym zapomnieć. Zadzwoiłam tylko raz, musiałam się upewnić, że nic mu nie jest, i nic nie powiedziałam Bonnie. Ale nie wszystko było dobrze. Miał jakieś zaburzenie osobowości, którego nigdy nie zdiagnozowali. Nie radził sobie sam. A ojciec znalazł sobie inną i wyjechał do Kopenhagi. Byli tylko we dwoje, Thomasine i on. Po tym miałam jeszcze gorsze wyrzuty sumienia, to było jak kara za to, co zrobiliśmy.

– Ale zanim go oddaliście, ochrzciliście go?

– Nadaliśmy mu tylko imię w urzędzie – wyjaśniła Henny. – Bonnie tam poszła, ale nie była to żadna uroczystość. Stała w starej kurtce i nic nie mówiła.

– Ale nadała mu imię, prawda?

– Nie, ja to zrobiłam. Ma na imię Eddie.

– Eddie Malthe?

– Tak.

– A ojciec dziecka? – spytał Skarre. – Jørgen? Nigdy go nie znaleźliście?

– O tak – wyznała – w końcu go znalazłam, musiałam zobaczyć, kim jest, tyle życia nam zrujnował. A kiedy Bonnie w końcu znalazła szczęście z Olavem i zaszła w ciążę z Simonem, była gotowa rozmawiać o wszystkim. Niechętnie, ale podała mi wreszcie jego nazwisko. Miał oczywiście swoją rodzinę i mieszkał tu, niedaleko, więc zdobyłam jego numer i od razu zadzwoniłam.

– Co mu pani powiedziała?

– Że chcę go poznać. Że chcę z nim porozmawiać o czymś ważnym.

– Ale nie wyjaśniła pani, o co chodzi?

– Wtedy by odmówił. Ludzie są ciekawi, więc zgodził się i umówiliśmy się na spotkanie w centrum handlowym, w kawiarni Christiania. Przyszłam tam sporo wcześniej, miałam na sobie czerwony szalik, żeby od razu mnie zauważył. Usiadłam i czekałam. Cały czas przychodzili nowi ludzie, ale nie widziałam nikogo, kto mógł być tym Jørgenem. Siedziałam jeszcze chwilę, bo kupiłam kawę, aż w końcu do stolika zbliżył się mężczyzna. W pewnym sensie był spokojny, jakby wszystko dokładnie przemyślał. Ale kiedy go zobaczyłam, byłam strasznie zaskoczona. Był dużo starszy od Bonnie. A kiedy rozmawialiśmy chwilę i zrozumiał, o co mi chodzi, okazało się, że ich związek zaczął się, gdy Bonnie miała piętnaście lat, a on sam ponad trzydzieści. Był już żonaty i miał dwoje dzieci. Nie powiedział jej tego, oszukał ją w najbardziej obrzydliwy sposób. Obiecał jej, że będą razem, ale muszą poczekać, bo ma sprawy do załatwienia. Kiedy zaszła w ciążę, wpadł w panikę i zostawił ją. Stwierdził, że nie wiedział, że potraktowała ten romans tak poważnie. Wyznał mi, że często zastanawiał się, czy to dziecko w ogóle się urodziło. Więc opowiedziałam mu całą historię, jak to się potoczyło. „Jesteś zdrajcą”, powiedziałam bez ogródek. Nieodpowiedzialnym, aroganckim i samolubnym. Całkowicie się ze mną zgadzał. Poprosił mnie, żebym pozdrowiła Bonnie, a ja odparłam, że to wykluczone, że ma trzymać się z daleka.

– Jak on się nazywa?

– Jørgen Jonsson. Mieszka w Gimle. Mają panowie zamiar z nim porozmawiać?

– Tak.

W salonie Henny zrobiło się cicho. Wydawała się zaniepokojona, a jednocześnie jakby jej ulżyło. Nie rozumiała jeszcze w pełni, co to wszystko może znaczyć, ale zdała sobie sprawę, że powiedziała coś ważnego. Widziała, że są na tropie czegoś, a ona im nie pomogła. Przez swój wstyd.

– Pojawił się na pogrzebie – zauważył Sejer – prawda? A pani go obsztorcowała. Była pani wściekła. Co mu pani powiedziała?

– Że ma się wynosić. Że nie ma tam nic do roboty.

– Czy Eddie wiedział, że został adoptowany?

– Mam nadzieję, na litość boską, nie jest przecież małym dzieckiem. Rodzice muszą mówić dzieciom takie rzeczy. Inaczej same się w końcu dowiedzą. Po prostu mają do tego prawo, nie sądzi pan?

Podeszła do mężczyzny siedzącego przy oknie i pogłaskała go po włosach. Odwrócił się do niej, ale nic nie rozumiał, chciał, żeby obcy sobie poszli, nie znał ich. W pokoju panowało zamieszanie, którego nie pojmował, coś niepokojącego.

– Czy to moja wina? – zapytała Henny.

– Nie. Ale musimy porozmawiać z Eddiem Malthem. Proszę uważać na siebie i męża. I dbać o groby.

*

Nadszedł lipiec, a wraz z nim długo oczekiwane ciepło. Bonnie i Simon spacerowali po polach przy Geirastadir. Wybrali ścieżkę na skraju lasu, Bonnie zbierała polne kwiaty, stokrotki, dzwonki i koniczynę. Pomogła Simonowi stworzyć duży kalendarz z kratką na każdy dzień poprzedzający sierpniową wyprawę do Kenii. Wieczorem stawiał krzyżyk i widział, że pustych kwadratów jest coraz mniej. Ten kalendarz cieszył go bardziej nawet niż adwentowy, który dostał w grudniu. Teraz mocno trzymał rękę matki, zawsze tak robił, kiedy byli poza domem, jej dłoń była taka duża, ciepła i bezpieczna. Kiedy zeszli trochę w dół i zbliżyli się do farmy Skarven, Simon zauważył przyczepę kempingową między drzewami. Zatrzymał się nagle i wskazał ją palcem, pytając matkę, czy ktoś tam mieszka, odpowiedziała, że raczej nie. Przyczepa była w złym stanie, z dużą ilością rdzy wokół okien, przed drzwiami znajdowały się małe schodki. W oknach widziała poszarpane firanki. Simon pociągnął ją za rękę, chciał wejść i zobaczyć. Bonnie się roześmiała. To było takie typowe dla Simona, uwielbiał takie małe domki, uwielbiał robić namioty z koców i kochał małego ślimaka w przedszkolu, z domkiem na grzbiecie. Otworzyli drzwi i zajrzeli do środka. Po lewej stronie stały dwie wąskie sofy, między nimi stół. Pośrodku mały aneks kuchenny z kuchenką gazową oraz szufladami i szafkami, a po skrajnej prawej stronie dwa łóżka bez pościeli. Przyczepa miała sześć okien, były brudne, śmierdziało tam.

– Niezbyt zachęcające – stwierdziła Bonnie, ale Simon się z tym nie zgodził.

– Możemy tu przenocować? – zapytał. – Tylko na jedną noc?

Bonnie wiedziała, że to pytanie nadejdzie. Teraz chciała tylko sprawić radość temu małemu dziwakowi.

– Ale to nie nasza przyczepa – zauważyła. Spojrzała w górę na gospodarstwo Skarven. – Może należy do rolnika, który tam mieszka. Wydaje mi się, że ta przyczepa nadaje się na złom, skoro tu stoi. Chodź, porozmawiamy z gospodarzem.

*

Jasnoniebieski opel wjechał na podwórko, Eddie zaś zatrzymał się kawałek dalej, podążając za nimi wzrokiem. Pomyślał, że może chcą kupić warzywa lub jagody, i postanowił zaczekać, przynajmniej jakiś czas. Ale kiedy drzwi samochodu się otworzyły, zobaczył ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że Bonnie ma na ramieniu dwie kołdry. Gospodarz wyszedł i rozmawiał z nią chwilę. Chłopiec skakał i tańczył, ciągnąc matkę za ramię. Pod jedną pachą miał misia, pod drugą jaśka w niebieskiej poszewce. Z jakiegoś kompletnie niezrozumiałego powodu ruszyli polami w dół. Wkrótce zniknęli mu z oczu, Eddie wyskoczył z samochodu, wybrał ścieżkę poniżej zabudowań gospodarczych i znów ich dostrzegł, matkę i brata. Nie obchodzi mnie, czy ktoś widzi mnie z okna, pomyślał, spoglądając na biały dom po prawej. Kiedy dotarł do rozwidlenia drogi, zamarł. W dole, przy lesie, stała biała przyczepa kempingowa. Bonnie otworzyła drzwi i zniknęli w środku. Będą tu nocować. Każde w swoim łóżku, chłopiec z brązowym misiem pod kołdrą. Może będą szeptać do siebie w oczekiwaniu na zmrok. Na pewno opowiadała mu bajki, może snuli plany na przyszłość.

Kiedy wrócił do domu, długo stał przed lustrem. Na jego czerwonych policzkach pojawiła się masa bąbli, w pasie talii miał tę samą bolesną wysypkę. Jakby ktoś wylał na niego garnek wrzącego oleju. Próbował to zignorować, ale nie dało się, jednocześnie kierowała nim silna motywacja. Zdecydowanym krokiem ruszył do kuchni. Otworzył jedną z szuflad i przejrzał zawartość. Po długim namyśle wybrał nóż do filetowania z drewnianą rączką. Ostrze było długie i wąskie. Obok noża znalazł elektryczną ostrzałkę, którą podłączył do kontaktu.

*

Sierpień

Sejer i Skarre udali się pod adres Thomasine Malthe. Najpierw zatrzymali się przy garażu w poszukiwaniu samochodu. Skarre wszedł bocznymi drzwiami, wyłonił się po chwili i potwierdził obecność czerwonego opla. Zobaczyli twarz w oknie i odsuniętą zasłonę. Minęło dużo czasu, zanim ktoś otworzył drzwi. W drzwiach stał mężczyzna. Wysoki i ciężki, ubrany całkowicie na czarno. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, była wściekła wysypka na jego twarzy, przypominająca oparzenie.

Nic nie mówił, po prostu stał. Miał na sobie brudną bluzę i kraciaste kapcie.

– Przyszliśmy porozmawiać z Thomasine Malthe – wyjaśnił Sejer. – Czy jest w domu?

– Nie – odparł krótko. – Ona nie żyje.

– Och, nie żyje? – zdziwił się Sejer. – W takim razie przepraszam bardzo, tego nie wiedzieliśmy, czy może stało się to niedawno?

– Tak, całkiem niedawno.

– Czy może jesteś jej synem, nazywasz się Eddie?

– Tak. Jestem Eddie Malthe. Mieszkam tu teraz sam, zawsze tu mieszkałem.

– Musisz nas wpuścić – rzucił Sejer. – Musimy cię zapytać o kilka rzeczy.

Nic już nie powiedział. Zostawił otwarte drzwi i wszedł do domu, policjanci podążyli za nim. W salonie panował kompletny chaos, wszechobecny bałagan, na oparciach krzeseł leżały ubrania i worki ze śmieciami. Pomimo nieznośnego upału wszystkie okna były zamknięte, w domu panował nieznośny smród. Skarre zajrzał do kuchni, gdzie na blacie stały duże stosy brudnych talerzy i szklanek, na podłodze zaś chwiejna wieża pudełek po pizzy. W oknach trochę zwiędłych roślin.

– Czy wiesz, dlaczego przyszliśmy? – zapytał Sejer.

– Wiem.

– Pojedziesz z nami do komisariatu. Musimy poważnie porozmawiać.

Eddie Malthe skinął głową. Poruszał się powoli, cały czas miał się na baczności, od czasu do czasu kładł dłoń na rozgrzanych policzkach. Kiedy stali w małym korytarzu, Skarre zauważył duże, czarne skórzane buty. Podniósł jeden i natychmiast rozpoznał wzór z wypukłymi kropkami.

– Musimy wziąć te buty, Eddie – powiedział. – Masz jeszcze inne?

– Tylko kapcie.

– Będziesz musiał pójść w nich.

Eddie usiadł z tyłu w radiowozie i przycisnął twarz do szyby. Kiedy skręcili w drogę, dostrzegł Kennedy'ego. Siedział w rowie i coś gryzł, może mysz. Ansgar stał przed domem i z ciekawością śledził wzrokiem radiowóz, dłonią zacieniając oczy. Jesteś następny, pomyślał Eddie, jak tylko wyjdę. Minie dużo czasu, może wiele lat, ale wrócę i cię załatwię.

*

Frank podszedł się przywitać. Eddie nie był zainteresowany, odepchnął psa kapciem. Wkradł się z powrotem pod biurko.

– To najbrzydsze zwierzę, jakie w życiu widziałem – oznajmił Eddie.

– Cóż – odrzekł z uśmiechem Sejer. – Wielu się z tobą zgadza.

– Jest stary?

– Nie.

– Ale kiedyś będzie. I wtedy dostanie zastrzyk. I wtedy trzeba stać i patrzeć, jak umiera. To przykre.

– Na pewno – odparł Sejer. – Co ci się stało w twarz?

– Nie wiem.

– Pomożemy ci z tym.

Eddie zauważył figurkę z masy solnej pod lampą. Masa wyschła i się kruszyła. Podniósł ją i obejrzał uważnie, trzymając ją ostrożnie w pięściach, przekręcając i obracając.

– Nie przypomina pana.

– Nie.

– Rozpada się, za krótko była w piecu. I powinna być polakierowana. Amatorka.

– Znasz się na masie solnej, Eddie?

– Mass robiła dla mnie taką masę, kiedy byłem mały. Zachowałem wszystkie figurki, są w szafce w domu.

– Mass – powiedział Sejer – twoja przybrana matka?

– Tak.

– A twój przybrany ojciec?

– Też nie żyje, zmarł w Kopenhadze. Prawie go nie pamiętam, odszedł, kiedy byłem mały. Ludzie są dziwni – dodał. – Ciągłe znikają. Tchorze.

– Czy dlatego zostałeś w domu? By dotrzymać Mass towarzystwa?

– Nie radzę sobie sam. Nie ma dla mnie znaczenia, że siedzę w domu – dodał – wszystko mi jedno, gdzie jestem.

Sejer przyglądał mu się badawczo. Chłopak nie okazywał niepokoju, wydawało się, że coś skończył.

– Jak ich znalazłeś, Eddie?

– Mass powiedziała mi, jak ona się nazywa i że mieszka w Blåkollen. Potem już nic nie powiedziała. Z jej ust wypłynęła tylko mała kropla krwi. Nikt nie mówił mi prawdy. Nikt mnie nie chciał.

– Wiesz, kto jest twoim prawdziwym ojcem?

– Mass powiedziała, że nigdy go nie znajdę. I że nie powinienem go szukać.

– Ja wiem, kim on jest, Eddie, mieszka w Gimle, nazywa się Jørgen. Masz trójkę rodzeństwa.

– Przyrodniego – poprawił Eddie. – Nie potrzebuję przyrodniego rodzeństwa.

Sejer położył ręce na podkładce biurkowej, dużej mapie świata. Utkwił wzrok w malutkiej Danii, mniej więcej w punkcie, w którym on sam się urodził, pięćdziesiąt pięć lat temu. Piękne miasto Roskilde. Często chodził z ojcem do katedry, trzymał go mocno za rękę, wiedział, że ma przy sobie kogoś znacznie silniejszego.

– Chcesz go poznać, Eddie?

– Nie.

– Straciłeś Mass – powiedział Sejer – co się stało?

– Miała raka trzustki z przerzutami do szpiku kostnego. Ostatnio ledwo oddychała. Widziałem jej kości pod skórą. Nie miała włosów.

Nastąpiła chwila ciszy. Słyszeli tylko ruch uliczny na zewnątrz i dzwoniący gdzieś daleko telefon.

– Zadam ci kilka prostych pytań – wyjaśnił Sejer. – I musisz na nie odpowiedzieć.

- Dobrze.
- Gdzie byłeś piątego lipca?
- W Geirastadir.
- A dokładniej?
- Na polach gospodarstwa Skarven.
- Znalazłeś przyczepę?
- Tak.
- Jak na nich trafiłeś?
- Śledziłem ich. Przez kilka dni.
- Miałeś coś wspólnego z morderstwem?
- Nie musi pan pytać – odparł Eddie – już pan wie.
- Czy pamiętasz wszystko, co się wydarzyło?
- Tak.
- Możesz nam wyjaśnić, dlaczego do tego doszło?
- Nie potrzebujecie dalszych wyjaśnień. Jesteśmy przecież tutaj, macie mnie.
- Na razie jesteś podejrzanym – powiedział Sejer. – Zostaniesz zatrzymany na osiem tygodni. Będziesz miał prawo do obrońcy i zostaniesz umieszczony w areszcie. Eksperci psychiatrii sądowej będą cię obserwować, aby ustalić, czy jesteś poczytalny.
- Jestem.
- Twoja sprawa trafi następnie do sądu, gdzie zostaniesz uniewinniony lub skazany. Potem czeka cię więzienie, ograniczenie wolności lub przymusowe leczenie psychiatryczne. Jeśli sąd będzie miał wątpliwości co do winy, trzeba je rozpatrzyć na twoją korzyść i sąd musi cię uniewinnić. Jeśli przyznasz się do winy, prawdopodobnie otrzymasz wyrok skazujący na tej podstawie. Rozumiesz mnie?
- Nie jestem idiotą.
- Ani przez chwilę tak nie pomyślałem. Chce ci się pić? Mogę ci coś przynieść.
- Cherry coke – odparł Eddie krótko. – Chociaż pewnie jej nie macie.
- Cherry coke? Czy to cola o smaku wiśniowym? To nie brzmi smacznie.
- Nie ma pan pojęcia o takich rzeczach. Może być woda. Jeśli nie ma nic innego.
- Dostaniesz wodę. Ale najpierw muszę zadać ci jeszcze jedno pytanie. Kiedy stałeś tam w przyczepie... kiedy tak stałeś i patrzyłeś na tę dwójkę przy stole, gdy

w końcu znalazłeś swoją matkę i brata. Co im powiedziałaś?

Eddie nie miał problemu z patrzeniem Sejerowi w oczy. Właściwie uniósł podbródek, jakby chciał zapisać mu się w pamięci.

– Na pewno coś powiedziałaś. Na pewno chciałaś to wszystko jakoś wyjaśnić. Co powiedziałaś?

Milczała.

– Kogo zabiłaś pierwszego?

– Simona. Stał w drzwiach.

– I co powiedziałaś Bonnie?

– Może pan pytać i drążyć. Ale to, co im powiedziałem, to nie pana sprawa.

*

Piąty lipca 2005, gorąco.

Mężczyzna szedł szybko przez pola w okolicach Geirastadir.

Wzrok miał utkwiony w ścieżce, ciężkie buty nie zostawiały śladów na suchej ziemi. Machał wielkimi dłońmi jak wiosłami, policzki piekły i paliły, w głowie się gotowało. Teren był pokryty tłustymi czarnymi wronami. Kiedy się zbliżył, poderwały się i zniknęły, kracząc. W końcu dotarł. Ślina miała smak krwi i żelaza.

– Możemy tu przespać jeszcze jedną noc? – zapytał Simon.

– Nie, musimy wrócić do domu, do królików. Babcia będzie dla nich zbierać mlecze, gdy będziemy w Afryce.

– Co to za czarne kropki – zapytał, szturchając paznokciem składany stolik z laminatu.

– Kupy much – wyjaśniła Bonnie – nie przejmujemy się tym. Słuchaj, przyniosłam talię, nauczę cię grać w szalone ósemki. To bardzo łatwe, a ty jesteś mądry. Prawda, że jesteś mądry, Simonie?

– Tak – ucieszył się. – Jestem mądry i bogaty.

Bonnie się roześmiała.

– Najpierw musisz nauczyć się czterech kolorów. – Rozłożyła karty na stole.

– Ale są tylko dwa – zauważył – czerwony i czarny.

– Nie, w kartach kolory to coś innego – wyjaśniła. – Trefl, karo, pik i kier, czy widzisz różnicę?

Skinął głową.

– W tej grze chodzi o pozbycie się wszystkich kart – tłumaczyła. – Odkładasz je na stół, a każdy kolor musi leżeć na karcie tego samego koloru. Czyli trzeba położyć serce na sercu. A pik na pik. Możesz zmienić jeden kolor na inny. Ale tylko ósemką. Trzeba zmienić na ten kolor, którego masz najwięcej. Tak, aby pozbyć się jak największej liczby kart. Rozumiesz, prawda?

– Rozumiem.

– Rozdam karty – powiedziała – resztę wyjaśnię później. Nie możesz mi ich pokazywać, nie zobaczę ich, to tajemnica.

Simon miał na sobie swój nowy czerwono-biało-niebieski dres. Na oknie nad stołem przykleił duży kalendarz, który pokazywał, kiedy mają wyjechać do Afryki. Małymi palcami próbował zrobić wachlarz z kart, tak jak robiła to jego mama, karty były gładkie i delikatne, a on trzymał je przy nosie, ładnie pachniały. Jego głowę wypełniały afrykańskie lwy i matka w białej sukience z biedronkami.

Ułożył karty najlepiej, jak potrafił, ale ciągle wymykały mu się z rąk i w końcu kilka z nich spadło na szare linoleum.

– Nie patrz – powiedział do matki – muszę je pozbierać.

Poczekala, aż uklęknie i podniesie karty. Kiedy pozbierał już wszystkie, wstał i wspiął się z powrotem na kanapę. Wtedy zauważył mężczyznę idącego przez pola.

– Ktoś tu idzie – zauważył – to mężczyzna.

Bonnie skinęła głową.

– Pewnie wyszedł na spacer – stwierdziła – pewnie idzie od Geirastadir.

Simon ukląkł na kanapie i wpatrywał się w zbliżającego się człowieka. Wiedział, że już go spotkał, niedaleko domu. Próbował przewrócić rower, stanął przed nim jak troll i śmiertelnie go przestraszył.

– Idzie tu – meldował – idzie tu do nas!

Bonnie delikatnie skinęła głową. Nie bała się już ludzi idących do jej drzwi. Niczego się nie bała, może miała dostać kolejną dobrą wiadomość.

– W takim razie to jeden z Polaków – zgadła – pewnie ma dla nas jakąś wiadomość.

Wygładziła spódnicę sukienki i wyprostowała plecy.

– Simonie – powiedziała podekscytowana. – Biegnij do drzwi i zobacz, kto przyszedł!